

# Panna z mokrą głową



KORNEL MAKUSZYŃSKI

## Panna z mokrą głową

### I

Życie słynnych ludzi opisuje się zwykle od chwili ich narodzin; jest zatem rzeczą słuszną, by żywot „Panny z mokrą głową”, którą należy zaliczyć do najwybitniejszych postaci naszego wieku, rozpocząć od owego dnia, kiedy ujrzała ona światło słoneczne. Był to dzień szary, bardzo zwyczajny i niczym niewyróżniający się z pospólstwa dni, chociaż powinien załsnąć w kalendarzu, wybuchnąć jak wulkan i zakrwawić wielką luną chmurne i przepaściste niebo historii. Tak się bowiem często działo w bardzo dawnych czasach, że kiedy na świat przychodził ktoś taki, co miał zaważyć na jego losach — jakiś potężny król, wspinały geniusz czy też potwór, który miał rozlać morze krwi — dziwne w naturze działy się rzeczy: ziemia trzęsła się, jakby w wielkiej trwodze, padały góry, jakby chciały czołem uderzyć o struchlałe padoły<sup>1</sup>, morze występowało z brzegów, lwy ryczały na pustyni, wybuchały pożary, a wszystkimi ludźmi wstrząsał tajemniczy dreszcz. Nic podobnego — ku powszechnemu zdumieniu — nie stało się w owej chwili, kiedy „Panna z mokrą głową” zjawiła się na świecie. Być może, że natura dlatego nie objawiła swojej oszalałej radości czy też groźnej trwogi, że w pobliżu miejsca narodzin owego stworzenia nie było ani wulkanu, który by zapłonął, ani oceanu, który by wzniosł fale pod niebo, ani lwa, który by zaryczał. W pobliżu były jedynie konie i krowy, które nie kiwnęłyby ogonem, nawet gdyby się w ich obecności narodził chiński cesarz, i była jedna, jedyna, bardzo z natury smutna koza, tak obojętna wobec wielkich zdarzeń, że pod tym względem mógł ją prześcignąć jedynie taki arcybałwan, jakim z dziada pradziada zwykł być baran.

Jedynym szczególnym zdarzeniem w owym dniu było pojawienie się dwóch wron, które, przysiadłszy na dachu, pokryły dom cały czarnym krakaniem. Nie można było jednak temu faktowi przypisać historycznego znaczenia, nie zwrócono też nań większej uwagi. Rozważywszy to wszystko, przyznać należy ze smutkiem, że „Pannie z mokrą głową” stała się krzywda już w pierwszym dniu jej istnienia, bo — jak się to później okaże — godna była małego trzęsienia ziemi. Nic nie zapowiedziało narodzin istoty wyjątkowej. Więcej na świecie czyni się hałasu, kiedy się narodzi cieć o dwóch głowach, mało zaś kto rozprawiał o tym, że się narodziła dziewczyna, której bujne dzieje postanowiliśmy opisać. Nie zdumiała ludzi tym nawet, czym zasłynął tuż po urodzeniu jeden z francuskich królów, który się narodził z czterema zębami<sup>2</sup>, jak gdyby pragnął od razu zapowiedzieć Paryżowi, że będzie jadał więcej niż najmniej dziesięciu jego poddanych, a zapowiedź sumiennie spełnił.

O ludziach błękitnie i beztrosko szczęśliwych mówi się, że urodzili się w czepku. Nadaremnie usiłowałem dowiedzieć się, czy to nie zdarzyło się naszej dziewczynce. Osoby, które pamiętają chwilę jej narodzin, zgodnie przeczą temu, jakoby widziały czepek na jej małej głowie. Słyszano jedynie przenikliwy wrzask, pełen rozczarowania i gniewu. „Panna z mokrą głową” wyznała później, nauczwszy się boskiej sztuki mowy, że kiedy ujrzała światło słońca, usłyszała słowo, które ją przejęło zgrozą, zdumieniem i gniewem: oznajmiono światu, że narodziła się dziewczynka. Było to tak przeraźliwe dla niej nie-  
szczęście, taka dla jej bujnej i rozwichrzonej duszy niespodzianka, że postanowiła raczej umrzeć od razu, niż być dziewczynką. Ponieważ nikt z obecnych ani nie rozumiał, ani nie

Narodziny

<sup>1</sup>padół (daw.) — tu: ziemie położone niżej od otaczającego je terenu. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>jeden z francuskich królów, który się narodził z czterema zębami — dwaj królowie francuscy urodzili się z tzw. zębami noworodkowymi: Ludwik XIV (1638–1715) i Ludwik XVI (1754–1793). [przypis edytorski]

mógł pojąć głębi jej rozpacz, że nie urodziła się chłopcem, gwałtownie utrzymo ją przy życiu. Nie mając więc innego sposobu, ogłosiła protest przeciwko fatalności i przemocy przeraźliwym krzykiem, do którego dołączyła po niewielu dniach wierzganie nogami. Nieustanny, a żadnym rozumnym argumentem nieuzasadniony wrzask, dał jej piastunce sposobność do wygłoszenia zwięzłego proroctwa, które ujęte w formę uroczystą brzmiało tak: „Nie daj, Boże, ale pyskata to będzie panienka”. Ponieważ piastunki mylą się rzadko kiedy, przyszłość młodej istoty zapowiadała się w wysokiej tonacji, groźnej dla wieczornej ciszy świata i dla spokoju spracowanych nocy.

Młoda osoba uciszała się czasem. Mądrą uprawiając politykę, doszła do przekonania, że nie warto krzyczeć wtedy przede wszystkim, kiedy nikt nie słyszy, bo po co nadaremnie zdierać sobie płuca? Tym potężniejsze wydawała z siebie wrzaski, rozsądnie wypoczęta, kiedy zbliżano się do niej. Zauważyła równocześnie, że nie należy drzeć się nieustannie, gdyż nieprzerwana, ciągła awantura traci na sile, staje się nudna i można się do niej przyzwyczaić. Nową więc wymyśliła metodę i chytrze wszystkich zwiódłszy, czekała cierpliwie i w wielkiej ciszy takiej chwili, kiedy jej nagły, niespodziewany wrzask musiał sprawić wrażenie i zrywał wszystkich na nogi. Była to diabelska przemyślność dziewczyny obrażonej na cały świat, że nie narodziła się chłopcem. W objawach tej niechęci tkwiła widoczna przesada, bo nawet chłopak, mocnymi obdarzony płucami i głosem najbardziej przeraźliwym, nie mógłby tego dokazać, co dla niej było drobnostką.

Aby ukoić to wrzące źródło najbardziej rozkrzyczanych namiętności, usiłowano je zasypać prośbami i groźbami. Przemawiano do wrzaskliwego berbecia<sup>3</sup> płci żeńskiej słowami pełnymi słodyczy, miodu i konfitur. Czarne oczki patrzyły przedziwnie roztropnie, tak że się wszystkim zdawało, iż z osobą patrzącą tak rozumnie można pogadać „na rozum”. Przeraził to było złudzenie. Osoba wysłuchiwała pochlebstw, słodkich słówek, rozkosznych przyrzeczeń i obietnic, a kiedy ostatnie słowo spadło na nią jak ciężka i złota kropla miodu, rozpoczynała nowy koncert na znak, że wolnej duszy, która chce wrzeszczeć, nie można przekupić cukierkowym gadaniem. Wtedy usiłowano wolną duszę pogłębić strachem i przywalić brzemieniem groźby. Wywoływano niewinne, białe w sercu i czarne na gębie widmo kominiarza, z najodleglejszych krajów zwoływano czarownice, zbójców i niedźwiedzie. Na rozkrzyczanej panience nie czyniła ta piekielna menażeria<sup>4</sup> najmniejszego wrażenia z tego przede wszystkim powodu, że zupełnie nie znała ani osób, ani z widzenia wszystkich tych strachów; i nowym krzykiem prosiła uprzejmie pochylone nad nią zgromadzenie, aby jej nie zwracano głowy historiami, których nie rozumie i nie ma zamiaru zajmowania się nimi aż do czasu dojścia do jakiegoś takiego rozsądku, co wedle jej obliczeń powinno nastąpić dopiero za lat siedem.

Zrozumiano wreszcie, że ta dziewczyna nie jest zwyczajnym dzieckiem, lecz opinia ta podzielona była na dwa bardzo rozmaite głosy. Jeden obóz, złożony z matki i ciotek, oświadczył, że jest to dziecko wyjątkowe, niepospolicie mądre, dowcipne i odrobinę przekorne. Obóz drugi: niańka, służąca i obcy, którzy widzieli i słyszeli niemowlę starające się zagłuszyć lokomotywę — dając świadectwo ponurej prawdzie — mówili po cichu, że jest to niemowlę pomyłone, czarnooki diabeł, zbrodniczy berbeć, przedziwnie mądry, co swoim zachowaniem wstyd przynosi słodkiej płci niewieściej. Ten drugi obóz, któremu nie można było odmówić słuszności i rozsądku w rozumowaniu, wiele nadziei pokładał w akcie chrztu świętego i w tajemniczej mocy wody. Oczekiwano więc niecierpliwie owego dnia, w którym zwariowaną już w kołysce panienkę miano wprowadzić w szeregi spokojnych i ciszę miłujących chrześcijan. Stało się to po pokonaniu najdziwniejszych przeszkód, niemowlę bowiem usiłowało na wszystkie sposoby trwać w pogaństwie, tym zapewne zatrwożone, że po chrzcie świętym będzie musiało przerwać swoje niecne praktyki, słuchać starszych i przestać budzić wśród nocy dobrych ludzi. Trzeba było użyć połączonej przemocy, aby to dziewczynisko, wierzgające wszystkimi kończynami na wszystkie strony świata, obezwładnić i owinać w poduszki jak w kaftan bezpieczeństwa. Widząc wreszcie czarnymi jak główki szpilek oczyma, że przeciwko zrzeszonej przemocy niczego nie zdoła dokonać, przestała wierzgać przeciw ościeniowi<sup>5</sup>. Piastunka, która już

Chrzest

<sup>3</sup>berbeć (pot.) — małe dziecko. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>menażeria — tu: grupa rozmaitych dziwadeł. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>oścień (daw.) — zaostrzony kij do popędzania bydła; także widelki do połowu ryb. [przypis edytorski]

umiała czytać w owych mądrych oczach, byłaby przysięgła, że wyczytała zaczajoną w nich groźbę: „Dobrze, dobrze! Prawdziwe przedstawienie odbędzie się w kościele!”.

Z wielkim więc strachem niosła ją do wiejskiego kościółka, dokoła którego rosły potężne lipy pachnące miodem, a nieprzeliczone mnóstwo pszczoł mruczało sennie swoje żółte, pracowite modlitwy. W kościele tym jak w drewnianej chacie mieszkał siwy Pan Bóg niczym sędziwy bartnik, zbierając miody dla najbiedniejszych ludzi na czas wielkiego głodu. Ksiądz proboszcz, dobry i wierny jego służka — z wyglądu taki staruszek, jakby jednych lat był z Panem Bogiem — przechadzał się pod lipami i burczał na pszczołę, co usiadła na rękawie jego sutanny:

— Po co tu siedzisz i czas tracisz? Na takiej jak ja pokrzywie miodu nie znajdziesz.

Wobec tego pszczoła usiłowała usiąść na jego ustach, na których wiele było słodczy, ale ją spędził ręką, gdyż orszak z pobliskiego dworu wchodził właśnie na kościelną ziemię, niosąc diablika, aby go zmienić w anioła. Ksiądz proboszcz wiedział już coś niecoś o niezwykłych bojowych zdolnościach tego niemowlęcia, albowiem zła jego sława, wędrując opłotkami, doszła i do jego ciszy. Przebrany na uroczystość, spojrzał na nie ciekawie i uśmiechnął się do czarnych oczów dziewczynki swoimi oczyma, tak niemal siwymi jak jego włosy. Wtedy stało się coś bardzo dziwnego. Dziewczynka, która miała serdeczny zamiar urządzenia piekielnej awantury w domu bożym i niebywałego skandalu podczas podniosłej uroczystości, spojrzała ciekawie w twarz tego olbrzymiego, uśmiechniętego staruszka i — uśmiechnęła się również. Było to wyraźnie powiedziane: „Podoba mi się twoja twarz, więc będzie spokój. Co się odwlecze, to nie uciecze!”.

Chrzest odbył się w podniosłym nastroju; w pewnej chwili słońce, zajrzawszy przez okno i dostrzegłszy okruszynę właśnie Bogu ofiarowaną, ucałowało ją w czoło złotym, gorącym pocałunkiem. Nie należy jednak ukrywać, że równocześnie w owej pięknej chwili dokonane zostało jedno z najgłośniejszych kłamstw w historii ludzkości; najbardziej bowiem rozwrzeszczanemu niemowlęciu na kuli ziemskiej nadano imię Ireny, a nikomu do głowy nie przyszło, że „Irena” znaczy „pokój”.

Od stworzenia świata nigdy i nikt nie widział bardziej niespokojnego pokoju. Gdyby istniało imię Wiercipięta, byłoby ono jeszcze za dostojne i zbyt poważne dla tej Ireny, której święta patronka w dniu tym usiadła na welnistej chmurze i skarżyła się gwiazdom, że jej opiece powierzono niemowlę więcej z siebie wydające hałasu niż gromada oszalałych srok przed deszczem.

Irenkę odniesiono do domu z największą ostrożnością, aby nie budzić licha, które albo naprawdę śpi, albo tylko udaje, że śpi. Widać jednak, że razem z promieniem słońca spadła na nią łaska boska i ukoili niedowarzony<sup>6</sup> jej rozum. Brak piątej klepki, o który z wielkim prawdopodobieństwem pomawiano to dziecko, nie był już tak bardzo widoczny. Piastunka patrzyła na nie nieufnie, z mętną i płochliwą radością, niosąc je ukwieconą drożyną wśród pola do wielkiego, białego domu. Był to dom wspaniały, a tak stary, że jak człowiek wiekiem potężnym zgarbiony na kijach się wspiera, tak on wsparł się na sześciu kolumnach, aby się nie pochylić ku ziemi, która jest grobem ludzi i domów. W tej chwili otworzył szeroko drzwi na przyjęcie radosnego orszaku, a oczami okien patrzył ciekawie, jak ostrożnie niosą nowego, małego człowieka, co przez całe swoje życie ma tutaj mieszkać i kochać go tak, jak go liczne przedtem kochały pokolenia. Dusza starego domu, piastunka odwieczna, zgarbiona i siwa, wzruszona była i pełna szczęścia. Za chwilę usłyszy, jakie w innym domu, należącym do Pana Boga, nadano imię tej okruszynie. Dom musi wiedzieć wszystko o wszystkich. Uradował się, kiedy narodziło się maleństwo, i z wyrozumiałym, mądrym spokojem słuchał jego płaczu i wrzasków, teraz zaś nadstawia uszów, aby usłyszeć, jak na nie ma wołać. (Uszy domu są to dwa otwory w dachu, pomiędzy kominami, któredy koty wylażą ze strychu na dach).

Uroczystość przyjęcia Irenki do gminy chrześcijańskiej obchodzona była z wielkim przepychem. Piastunka pomyślała sobie, że radość powszechna jest zbyt mała, niezmiernie bowiem dowiedziono sztuki, skoro ta dziewczyna tak łatwo i bez potężnych protestów wyrzekła się diabła. Należało to zawdzięczać przede wszystkim temu, że ksiądz proboszcz, człowiek niemal święty, tak niezmiernie ma w sobie moce. Kto inny może nie dałby był rady tak szybko i skutecznie. Ona zna dobrze to dziecko i wie, co wie.

<sup>6</sup>niedowarzony — tu: niedogotowany. [przypis edytorski]

Na razie Irenka leżała spokojnie i cicho, jak gdyby chcąc dać poznać, że nie myśli mieć uroczystości, podczas której ona jest osobą główną. Gdyby to szło o kogoś innego, wtedy nie odbyłoby się wszystko tak spokojnie i zgodnie, chociażby dlatego tylko, że w ogromnym, zielonym salonie zebrano się wielu krewnych i sąsiadów; nie ma zaś nic przyjemniejszego na świecie, jak rozpocząć opętany wrzask wtedy właśnie, kiedy tylu zebrano się słuchaczy. W takich wypadkach każdy koncert ma nadzwyczajne powodzenie, ludzie spoglądają niespokojnie, podnoszą oczy ku niebu, błagają je o litość, a uszy zatykają rękami. Być może, że obecność tego słodkiego, starego człowieka, który podczas chrztu uśmiechał się do niej, powstrzymała Irenkę przed zbrodnictwem. Słyszała jego głos i postanowiła nie obrażać nikogo z obecnych. Wyznała znacznie później, że ją to wiele kosztowało trudu i że dała dowód wielkiego poświęcenia. Nie mogła jednak wtedy powstrzymać się od straszliwej myśli. Kiedy ją pokazano raz jeszcze w pełnej chwale wielu zebranych, otworzyła czarne oczy i przenikliwie spojrzała na całe zgromadzenie, stojące pod wielkim i ciężkim świecznikiem, który jak olbrzymi pajak zwiisał z pułapu. Pomyślała wtedy, że byłaby to awantura pierwszorzędna i godna tego uroczystego dnia, gdyby ten świecznik nagle zerwał się i spadł z hukiem pomiędzy uśmiechniętych i cmokających nad nią z zachwyty zebranych gości.

Widać z tego, że wprawdzie dziewczynka wyrzekła się diabła, ale diabeł nie tracił nadziei i krążył w pobliżu.

## II

Biały dom, na sześciu wsparty kolumnach, panował dawniej nad tak szerokim kręgiem ziem, że krańca ich nie można było dojrzeć z największego nawet komina. Skowronek Szaragrudka, na nich śpiewający, musiał wlecieć bardzo, bardzo wysoko, aby je ogarnąć bystrym spojrzeniem. Tak się z czasem zaczęły te ziemie kurczyć — bo z nich obcy ludzie całe zabierali połacie — że można je było zmierzyć oczyma: najpierw z okien pierwszego piętra, potem już z okien tych komnat, do których zaglądały wysoko urodzone kwiaty. Wreszcie, kiedy Irenka zjawiała się w białym domu na sześciu wspartym kolumnach, otoczony on był małym tylko skrawkiem ziemi — wyglądał jak świetny grobowiec, co włada już tylko trawnikiem i kilkoma ścieżynami. Jeszcze spozierał dumnie i wyniosłe, lecz serce domu toczyła zgryzota i czasem, kiedy nikt tego nie widział, w posępne noce jesienne grube łzy spływały po jego szklanych oczach. Wyglądał jak olbrzym, któremu odebrano jego moc; dumny i biedny był jak ów król Jan<sup>7</sup>, który zwał się „bez Ziemi”. Niwy dokoła domu zjadał czas, co wszystko pożera, i czarny, zachłanny smok, którego podjudziła wojna, aby pożarł las, jeden i drugi, potem słodkie łąki, aby wypił stawy, a groble rozdarł pazurami. Ojciec Irenki własnym ciałem zasłaniał te umiłowane ziemie i o każdą ich piędź<sup>8</sup> walczył z uporem, lecz jak rybak wątłą piersią nie zdoła powstrzymać naporu morza, tak i on nie mógł ziemi swojej zasłonić przed tą falą kąśliwą i żarłoczną, co wciąż gruda po grudzie zabierała ziemię i niosła między obcych ludzi. Z przerażeniem w struchlałym sercu czekał owej chwili, kiedy będzie musiał pozbyć się ostatnich zagonów, a wtedy fala daleka przepłynie aż do drzwi białego domu i będzie go szturmować jak skałę wśród morza, na której kilkoro ludzi mieszkało niczym mewy. Podczas bezsen-nych nocy nasłuchiwał, jak pluszcze i niecierpliwie wirem bulgocze — daleko jeszcze, lecz się już oznajmia, lecz nieuchronnie się zbliża. Obliczał, dodawał i mnożył; walczył o tę swoją ziemię i ostatkiem sił utrzymał jakby niezbyt rozległą wyspę z białym domem pośrodku.

Irenka nie знаła jeszcze tych zmartwień, bo nigdy czarnymi swymi oczyma nie widziała zmartwienia. Zmieniły się te oczy z czarnych główek od szpilek na dwa węgielki, w których czasem błyskały świetlne, złociste iskierki. Pomimo takiej piekielnej, smolnej czarności cały świat odbijał się w nich błękitnie i jasno. Wszystko wokół było uśmiechnięte i kwitło uśmiechem. Drzewa pokryte nim były jak kwiatami, wody śmiały się najśliczniej; każda trawka śmiała się i każde stworzenie: wiewiórka nosiła swój uśmiech na końcu wesołej kity ogona, pies gryzł swoją uśmiechniętą radość w białych, lśniących zę-

Dom, Upadek, Ziemia

Śmiech, Radość, Zwierzęta

<sup>7</sup>Jan bez Ziemi (1166–1216) — król Anglii, brat m.in. Ryszarda Lwie Serce; w odróżnieniu od starszych braci nie odziedziczył żadnych posiadłości ziemskich. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>piędź — dawna miara długości. [przypis edytorski]

bach, ptaki były pełne radości rozśpiewanej — prócz kury, która radość swoją objawia krzykliwie jak stara przekupka, co ma na sprzedaż jedno mizerne jajko. Irenka śmiała się do wszystkich, a wszyscy do niej. Najdziwniej śmiał się dom: stary był i nieruchomy, więc nie mógł, oczywiście, fikać kozłów, lecz objawiał swoją radość trzaskiem podłóg, brzękiem szyb i stukaniem drzwi. Śmiał się i cieszył jak staruszek ksiądz proboszcz, któremu też trzaskały palce, kiedy z wielkiej radości zacierał ręce. Mądre, czarne oczy Irenki szybko spostrzegły, że na świecie nie ma rzeczy martwych; są czasem nieruchome, lecz zawsze żywe. Wszystko żyje, a ponieważ żyje, więc albo cieszy się, albo smuci. Kamień jest smutno zadumany, bo nie może ruszyć się z miejsca. Zawodowo smutna jest wielka brama na zardzewiałych zawiasach, bo jej ciągle wyłamują stawy i nigdy nie zamkną jej dobrotliwym ruchem, lecz z silnym, nagłym trzaskiem. Żuraw przy studni mógłby być wesoły, gdyby mu dano odpocząć, jakże jednak nie ma skrzypiec albo czasem jęknąć boleśnie, skoro sto razy dziennie zanurzają nieszczęsny jego dziób w zimnej wodzie? Niewiele poza tym istot okazuje smutek — więcej, stokroć więcej jest takich, które radują się życiem. Czynią to jedne mądrze i roztropnie, inne bez opamiętania. Są też takie boże stworzenia, które radość z życia okazują w sposób całkiem wariacki i do niczego niepodobny; do nich przede wszystkim należy cieł, którego formy radości wszelkie dozwolone przekraczają granice i budzą niesmak nawet w osłe wożącym beczkę z wodą, objawiającym swoją radość w sposób wzniosły i rozumny: rykiem niespodziewanym i pełnym serdecznej rozpacz.

Najdziwniej objawiał swoją radość zaprzysięgły i najwierniejszy przyjaciel Irenki: pies nazwany „Drab”. Nigdy więcej prawdy nie było w psim imieniu. Gdyby psy sądzono wedle ludzkiej sprawiedliwości, Drab powinien być skazany co najmniej dziesięć razy na śmierć przez powieszenie. Najłagodniejszy sędzia podpisałby taki wyrok szybko i bez drgnienia ręki, nie było bowiem na sto mil dokoła większego złodziejaszka, urwipolcia, rzezimieszka, włóczykija, łgarza, kurokrada i fanfaron<sup>9</sup>. Kiedy w okolicy ukradziono konia, było rzeczą oczywistą, że pies nie mógł ukraść potężnej kobyły, mimo woli jednak patrzono podejrzliwie najpierw na Draba. Był to kundel z nieprawdziwego zdarzenia. Nie wiadano, skąd się wziął. Znalezione pod płotem, wychudzony jak szkielet i więcej umarły niż żywy, zdołał pocziwym spojrzeniem tak ocyganić Irenkę, że został oddany pod jej opiekę. Był to pierwszy dzień jego grzesznego żywota. Mądry był nad podziw i nieskończenie brzydki. Minę miał zawsze uśmiechniętą, po kilku zaś dniach wiedział wszystko, a sto razy więcej niż psy miejscowe, z dawna tu osiadłe. Poznał wszystkich na wylot, wybornie rozumiał, kogo należy unikać, a przed kim merdać ogonem. Najdokładniej zaś wiedział, gdzie, co i kiedy można ukraść tak zręcznie, że nigdy go nie schwytano na gorącym uczynku. Stare kury płakały rzewnymi łzami i straszliwymi głosami skarżyły się przed całym światem, bo najszlachetniejsze z nich, najbardziej tkliwe i przystojne ginęły bez śladu. Kiedy zaś szukano ich z wielkim rwetesem<sup>10</sup> i narzekaniem, Drab wzdychał ciężko i dawał do poznania, że serce w nim pęka z wielkiego żalu, bo nie może bez wzruszenia słuchać o mordowaniu niewinnych, skrzydlatych stworzeń. Groza padła na zające, które wytrzeszczały ślepią podczas miesięcznych nocy, nie wiedząc, skąd wychynie nagle i bez szelestu kudłate, obłudnie uśmiechnięte widmo tego piekielnego psa. Umiał on nie tylko śmiać się całą gębą, potrafił też i płakać i stroić śmiertelnie smutne miny. Świat nie widział tak przemyślnego oszusta, kradnącego w jasny dzień spod ręki i pomagającego w chwilę potem szukać złodzieja. Ten arcyzezimeszek umiał otwierać drzwi, wskakiwać do kuchni przez otwarte okna i wiedział dokładnie, kiedy klucznica<sup>11</sup> pójdzie na plotki do kucharza. W porze dojrzewania owoców stawał się jaroszem, przestawał kraść kury, a rabował za to z krzaków maliny i porzeczki. Kiedy był najbardziej obżarty, udawał głodnego i wypraszał żebraczą miną jakiś ochłap, który porzuczał na śmietniku. Mianował się psim władcą całej okolicy i jak gdyby miał sto oczów, wszystko widział i o wszystkim wiedział. Kiedy jego łajdactwa stawały się zbyt głośne, przepadał na czas jakiś i wracał po kilku dniach niezwykle wesoły, wierząc w krótką pamięć i dobre serce pocziwych ludzi. Szczytem jego perfidii było skierowanie podejrzeń w stronę niewinnego biedaczyny, starego psa na uwięzi: zakatrupiwszy mizerne kurczę, zaniósł je i podrzucił pod

Pies, Przyjaźń

<sup>9</sup>fanfaron (daw.) — pyszałek, zarozumialec. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>rwetes — hałas połączony z pośpiechem i bieganiną. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>klucznica — ochmistrzyni zarządzająca gospodarstwem domowym. [przypis edytorski]

budą starowiny, który, swoim kaprawym i zażawionym nie wierząc oczom, poczał zaja-  
dać nieszczęsnego kurczaka. Wtedy Drab narobił piekielnego hałasu i zwołał całą ludzką  
czeredę<sup>12</sup>, aby wszyscy jasno ujrzeli, kto jest złoczyńcą i kto morduje kury. Przez cały  
dzień uchodził za uczciwego psa największy wisielec, jakiego znają nowożytnie dzieje.

Nie uznawał żadnego pana prócz Irenki. Na pochwałę tego obwiesia powiedzieć należy,  
że dla niej byłby poszedł naprawdę na śmierć. Była to jego królowa i jego bóstwo. Dla  
niej byłby wymordował wszystkie kury świata i najmniej połowę zajęcy, sam zaś chętnie  
umarłby z głodu. Śmiał się na jej widok oczami, zębami i ogonem, wydawał z siebie  
niepojęte głosy radości i aż płakał czasem z zachwyty. Jej wolno było wszystko, na jej  
rozkaz ciskał się jak kula w głębię stawu, chociaż wodą gardził ponad wszelkie pojęcie,  
właził za nią na rosochate<sup>13</sup> drzewo i nie odstępował jej niczym kudłaty cień. Razem  
tworzyli groźną parę zabijaków — oboje włóczyli się po lesie i po wertepach. Pies rozumiał  
każde jej słowo: wyl na jej rozkaz i na jej rozkaz milczał. Wiedział, że go to bóstwo zawsze  
ochroni, skoro wpadnie w takie tarapaty, że sam wyłgać się nie zdoła. Przed nią nie  
łgał nigdy i wyszczekiwał swoją smutną prawdę jak skruszony morderca. Rozżalonym  
spojrzeniem obiecywał poprawę, zwalając ponure grzechy na swoją psią naturę i na brak  
uczciwego wychowania. Karę z jej rąk przyjmował z pokornym poddaniem, tym tylko  
zdzumiony, skąd to drobne ludzkie stworzenie mogło dowiedzieć się o tym, o czym nie  
wiedział ani kucharz, ani klucznica.

Irenka wiedziała o wszystkim równie dobrze jak sam Drab. Była na wszystkich stry-  
chach i na dnie studni, znała wszystkie zakamarki i schowki, wiedziała o każdej truskawce  
w ogrodzie i o najmniejszym słoiku konfitur w spiżarni. Czarnymi oczkami wypatrzyła  
najmniejszą szczelinę, wiedziała, gdzie się lęgną myszy i gdzie w stajni mają nory króli-  
ki. Znała każde gniazdo os i wszystkie ptasie. Można było mniemać, że rozumie mowę  
zwierząt i ptaków i że słyszy, jak trawa rośnie. Rozpacz z tego powodu, że urodziła się  
dziewczynką, osładzała sobie szaleństwami, będącymi wedle naturalnego porządku rzeczy  
udziałem chłopców bez piątej kleпки, bez której wycieka woda z głowy wraz z odrobiną  
rozsądku, danego znarowionym pędrakom<sup>14</sup> przez łaskawość nieba. Diabeł, odpędzony  
od tej dziewczyny za sprawą święconej wody, teraz wcielony w jej oszalałego psa, towa-  
rzyszył jej zawsze i wszędzie. W płonących, czarnych oczach Irenki przyczaiła się swawola  
najlepszego gatunku, wybrana z wybranych. Były to nieustannie uśmiechnięte oczy dra-  
pichrusta, który nie tylko łązi po drzewach jak zawodowe małpiątko, nie tylko wchodzi  
ustawicznie tam, gdzie go nikt nie posiał, i wszędzie wetknie swoje trzy grosze, lecz także  
nad tym rozmyśla, jak by to sprawić, aby cały dom stanął na głowie. Ta rogata dziew-  
czyna, śliczna jak anioł, mądra jak filozof — ale taki, któremu coś w mądrej pomieszało  
się głowie — wesola jak szczygieł o poranku, gotowa była na każde szaleństwo, łącznie  
z połamaniem rąk i nóg, aż do skrócenia karku. Więcej bowiem, mimo najszczerzych  
chęci, ani połamać, ani skrócić już nie było można. Człowiek nie jest stonogą i ma, li-  
cho wie dlaczego, ograniczoną liczbę kruchych członków. Gdyby istniał urzędowy wykaz  
oszalałych przygód tej dziewczyny z okresu jej wieku cięłego, kiedy dźwigała na so-  
bie straszliwe brzemień lat sześciu, musiałby być spisany na wołowej skórze, a w każdej  
przygodzie brakowałoby jej trzech ćwierci do śmierci.

Obok tysiąca zdarzeń tak zwyczajnych jak sińce, zadrapania, krew z nosa, przebiecie  
gwoździem bosej i na czekoladę opalanej nogi — grubymi literami pisane pyszniłyby się  
takie przygody jak: dwadzieścia siedem przypadków zlatywania z drzewa; czterokrotna,  
nieudana, próba utonięcia w głębokiej wodzie; trzykrotne wywrócenie się wozu z sia-  
nem, na którego szczycie siedziała Irenka i jej pies; cudowne jej ocalenie, kiedy mogła  
ugotować się w kotle, czemu przeszkadzono w ostatniej chwili przez schwycenie jej za no-  
gi; niedoszła śmierć od kuli, kiedy chcąc uczcić imieniny matki, dwukrotnie wystrzeliła  
z dubeltówki i nakryła się nogami z niezwyklego wrażenia; trzydziestokrotne zlatywa-  
nie z grzbiotu konia, wysokiego jak słoń; awantura ze zwariowaną krową, która powzięła  
niespodziewany, wesoły zamiar chwycenia jej na rogi; wielka wojna z gniazdem os, które  
wyprowadzone przez nią z równowagi postanowiły zjeść ją na surowo; wreszcie głośna na

Dzieciństwo, Dziecko,  
Zabawa, Wieś

<sup>12</sup>czereda — gromada ludzi. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>rosochaty — mocno rozgałęziony. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>pędrak (żart.) — małe dziecko. [przypis edytorski]

całą okolicę awantura, kiedy usiłowała na grzbiecie starej, statecznej kobyły wjechać po drabinie na dach stodoły — co się skończyło nagłym oblakaniem pocziwego zwierzęcia, złamaniem drabiny i dwóch panińskich żeber. Należy nadmienić, że strata pożytecznej drabiny była nieporównanie większa niż mizerna szkoda nadwężenia dwóch żeber. Ludzie w ogóle byli zdziwieni, że osoba zwana Irenką nie rozleciała się dotąd na drobne ułamki przy jej zwariowanym trybie życia, któremu nie dałoby rady dziesięciu zrzeszonych urwipolciów płci męskiej. Zdawało się czasem, że Irenkę przyniosą do domu w oddzielnych pakunkach — osobno głowę, osobno ręce i nogi, a ktoś litościwy będzie niósł na dłoni, jak ziarnka młodej kukurydzy, jej nieliczne jeszcze zęby. Straszliwa ta kobieta postanowiła bowiem zwiedzić ziemię i niebo, przekonać się naocznie, co się dzieje na dnie rzeki i stawu i co się odbywa na szczycie najwyższych drzew. Pienila się w niej żądza przygód jak rozrobione mydło w balii. Nie bała się niczego i nikogo. Kiedy cały dom, zasłoniwszy oczy ciężkimi powiekami okiennic, spał sprawiedliwie, małe półdiabły, ci cho gwizdnawszy na swego piekielnego towarzysza i współnika zbrodni, Draba, wyłaziło z nim przez okno, aby zapolować na starego puchacza, który na szczycie stajni popłakiwał rozdzierającym głosem. Wtedy nagle, wśród nocnej ciszy, rozpoczynał się diabelski rwetes: Irenka wykrzykiwała groźnie, Drab odchodził od zmysłów, a mądry puchacz, nie kiwnąwszy im nawet ogonem, odlatywał miękko, puszyście na kościelną wieżę. Nazajutrz odbywał się sąd, na który pies przezornie nigdy się nie stawiał, bo przeczuwając awanturę, zmykał przed srogim okiem sprawiedliwości; na Irenkę zaś sypały się klęski, groźby i narzekania. Stojąc potem długo w kącie miała wiele czasu, aby obmyślić wyborną wyprawę do lisiej nory, nieustraszona i przemyślna.

Wśród takich zajęć, wymagających natężenia umysłu i hartu serca, zaledwie zauważyła, że narodził się jej braciszek, którego nazwano krótko Janem. Dowiedziawszy się o tym, zdziwiła się powszechnej radości; wrzusiła ramionami, kiedy dostrzegła bezradne maleństwo, ssące gorliwie własny palec, pomyślała bowiem, że dużo wody upłynie, zanim takie chuchro wylezie na szczyt drzewa albo kamieniem będzie trafiało w szczura. Tym skwapliwiej wzięła się do roboty, westchnąwszy ciężko, gdyż musiała pracować za dwoje. Miała przed sobą dokładne zbadanie tej części strychu, do której dostęp był trudny i dokąd nie dotarł jeszcze żaden z uczonych geografów, badających nieznane ziemie. Przez dwa lata obmyślała drogę przez komin wiodącą przez wielki kominek w salonie aż na dach. Historia tej wyprawy została przerwana w połowie, kiedy Irenkę, prawie uduszoną, wydobyto z czeluści komina i prano długo w gorącej wodzie. Jej nieodłączny pies został wytrzepany z sadzy na sucho, przez czas długi jednakże żywo przypominał kosmatego diabła, zajętego przy fabrykacji smoły.

Był to okres wielkich w jej życiu burz i niepowodzeń. Wszyscy wielcy ludzie, potężni zdobywcy i nieustraszeni podróżnicy, mają takie chwile, kiedy ich ratuje cud i łaska boska. Ją uratował wtedy słodką mową ksiądz proboszcz, siwy gołąb, który miał niepojętą słabość do tego jastrzębiego pisklęcia. Dobry ten człowiek dawno już zapomniał o tym, że to kochane przez niego dziewczynisko, wpuszczone nieopatrznie do jego ubożuchnej spiżarni, aby sobie wzięło z półki odrobinę piernika, pozostawiło w spokoju żółty ze zgryzoty piernik, spustoszyło natomiast kilka słoików z konfiturami, w czym jej niepospolicie musiał pomagać hańbą okryty pies. Niemożliwą bowiem było rzeczą, aby człowiek, mający osiem lat, mógł zjeść tyle konfitur, że na jeden rok żywota jeden przypadał słoik. Wedle takiego rachunku człowiek siedemdziesięcioletni byłby smokiem, co potrafi pożreć siedemdziesiąt słoików. Święty ksiądz i o tym zapomniał, że jego ukochana Irenka, dobrawszy sobie kompanię basalyków<sup>15</sup>, pasących gęsi i krowy, wprawiła w jedno ciche, senne popołudnie wszystkie kościelne dzwony w ruch tak gwałtowny, że ludzie przerażeni przybiegli z pól, głośnie wołając boskiego zmiłowania, a z pobliskiego miasteczka przypędziła na złamanie beczki straż pożarna, wioząc dwa wiadra wody.

Ksiądz kochał tę dziewczynkę całym sercem, jak zawsze wielka mądrość kocha niewinną słodycz. Czarne Cyganiątko siadało nieraz obok świętego męża i słuchało z rozgorzałymi oczyma, w których zapalały się płomyki, gdy opowiadał o ziemi, którą kochał, i o niebie, do którego tęsknił. Mówił jej o pszczołach i o ptakach, i o tym, że najmniejsza trawka cierpi, i że gwiazdy śpiewają złotymi głosami, aby się spracowanej ziemi słodko

Ksiądz, Przyjaźń

<sup>15</sup>basalyk — tu: psotne dziecko. [przypis edytorski]

spalo. Opowiadał jej o Panu Bogu tak ślicznie, że oczarowana dziewczynka patrzyła na zapylone słońcem pola i łąki, szukając oczami tego Pana Boga, co chodzi po miedzach, kiście kłosów bierze w drżące dłonie i bada, czy w nich jest dość ziarna, aby głód nie przyszedł na ludzi; potem jednym skinieniem odgania chmury jak ciężkie, brunatne krowy, co leżą nierozumnie w szkodę, albo czasem krzyknie na pioruny jak na złe psy, aby poszły sobie precz i biednej wiosce nie czyniły krzywdy. O zwierzętach mówił przedziwnie pięknie i wzruszająco, że są bardzo czasem nieszczęśliwe i że należy być dla nich dobrym i miłosiernym. Już tego samego dnia, kiedy zapadł rosisty zmierzch, Irenka dała dowód, że święty ksiądz nie gadał do niej jak do obrazu: przekonana, że spętane konie zostały pokrzywdzone, zwołała tajną radę wyrostków i potęgą wymowy to sprawiła, że rozpętano konie, gwałtem i namową wpędzono je na zagony młodych zbóż, aby sobie biedactwa podjadły. Gruba się z tego uczyniła awantura, kiedy Irenka z wielką prawdą w piskliwym głosie oznajmiła przed trybunałem domowym, że dokonała zbrodniczej wyprawy, bo „ksiądz proboszcz tak nauczał”. Wszystkim sędziom ręce opadły, a oskarżyciel publiczny, ekonom<sup>16</sup>, uderzał głową o twardy róg stodoły, przekonany, że zmysły postradał i że nastąpił koniec świata, kiedy ksiądz proboszcz każe liczną czeredę koni pędzić w młodą pszenicę. Staruszek jednak nigdy nie gniewał się na tego małego herszta<sup>17</sup>, co najdziwniejsze wymyślał zbrodnie. Czasem srogo do niej zagadał i niby mocno burczał, kiedy wszyscy słuchali, uprosiwszy go, aby swoją siwą powagą przywiódł do opamiętania zwariowaną dziewczynę. Ona słuchała niezmiernie skruszona, ale kiedy nikt nie widział, mrugała znacząco w jego stronę, dając mu do poznania, że rozumie jego przykre położenie. Biedny staruszek urywał w połowie słowa, jękał się, bladł i czerwieniał, wreszcie, nie dokończywszy wzniosłej nauki, porywał kapelusz i parasol i uciekał, aby nie być współnikiem jakiegś wyrafinowanej awantury. Nazajutrz czekał niecierpliwie na dziewczynę i pytał zatroskany:

— Bardzo było gorąco?

— Troszeczkę — odpowiadała Irenka. — Sześć klapsów.

— Sześć? — zdumiał się ksiądz, drapiąc się za uchem. — Należało ci się dwanaście, ale, prawdę powiedziawszy, sześć to było za wiele.

Wobec tego szybko dreptał po pachnący miód, aby nim osłodzić boleść swojej dziewczynki, na której cała kopa<sup>18</sup> klapsów byłaby przyschła jak na młodym psiaku, a sześć najmizerniejszego na niej nie czyniło wrażenia.

Nad tym tylko staruszek pilnie czuwał, aby mu kiedy nie podpałiła przypadkiem jego białej plebanii, ukwieconej i pachnącej rumiankiem. Na razie nie leżało to w jej zamiarach, więc żyli sobie w rozkosznej zgodzie, bardzo w sobie rozkochani. Kiedy ten uprzykrzony pędrak zaczął rość szybko jak malwa pod oknami i doszedł dość już zażywej liczby lat dziewięciu, awantury działy się niepolicone i coraz bardziej zdumiewające. Przepłynąć rzekę w najgłębszym miejscu, siedząc jak małpa na grzbiecie przerażonej szkapy — było dla Irenki drobnostką. Podczas powodzi potrafiła, siadłszy okrakiem na belce, dotrzeć do płynącej po mętnych rozlewiskach chałupy i uratować z niej zapomnianego psa. Odprawiała sądy wśród wiejskich niedorostków, kiedy zaś nie można było zagmatwanej sprawy rozwikłać rozumem, staczała bój z winowajcą, który długo potem nosił jej pieczęć i podpis w kształcie sińca pod okiem. Wtedy to ksiądz proboszcz miał do niej długą mowę i usiłował wydobyć ze swoich siwych oczów dwa pioruny; już jej zagroził pogardą świata i gniewem bożym i już sięgał po piorun, kiedy Irenka rzekła:

— Albo się mylę, albo rój pszczoł siadł na jabłoni!

Ksiądz opuścił wzniesioną do karcenia rękę, piorun padł na trawę i bzykał w niej nieszkodliwie. Staruszek wołał zdyszany:

— Gdzie? Gdzie?

Irenka bardzo długo i pilnie patrzyła w stronę drzew.

— Zdawało mi się, to nie pszczoły — mówiła z wielkim żalem.

Staruszek na próżno starał się odnaleźć w sobie furię i pioruny. Machnął ręką i mruzczał:

— Ciebie to nawet w piekle nie przyjmą!

<sup>16</sup>ekonom — dawniej zarządca majątku ziemskiego. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>herszt — przywódca bandy. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>kopa (daw.) — 60 sztuk. [przypis edytorski]

— Tak? Za to, że się pomyliłam, to mi ksiądz proboszcz piekłem grozi? Mój Boże! Mój Boże!

Wsadzała piąstki w oczy i, uśmiechnięta, patrzyła przez palce, jak zacne, przedobre księżysko czerwieniał się jak piwonia i objawwszy straszliwie pokrzywdzoną, mówił szybko:

— Wcale tego nie powiedziałem! A jeśli powiedziałem, to w gniewie, boś mi pszczołami zawróciła w głowie... Nie płacz, na Boga, bo mi się serce kraje! Przestań, dzieciно...

Dziecina dawała się wreszcie ukoić i rzucali się sobie w objęcia, bo jedno bez drugiego żyć nie mogło — młody diabeł ze starym aniołem.

Ksiądz ją nazwał „Panną z mokrą głową”. Sprawiedliwe to nazwanie było odmianą popularnego określenia człowieka, który postradał piątą klepkę i wskutek tego najdziksze wyprawia swawole. O takim mówi się wesoło, że to „wariat z mokrą głową”. Wsadza łeb do wody bez najmniejszej potrzeby. Ponieważ Irenka była wspaniałym okazem tego gatunku, co łeb wsadziłby nie tylko do wody, lecz między pokrzywy, w mąkę albo w smołę, przydomek nie był dla niej zbyt krzywdzący. Przyjęła go z uznaniem, jak medal za waleczność, słusznie rozumując, że lepiej mieć mokrą głowę niż żadnej. Nazwanie pochodziło zresztą z najśodszych ust i serca pełnego miłości, więc zgodziła się na nie z radością i odtąd sława jej pod tą zaczęła się szerzyć firmą. Na dziesięć mil wokoło wiadano o „Pannie z mokrą głową”, co była śliczna, do Cyganiątka podobna, co nikomu — chyba sobie — nie uczyniła krzywdy i co odjęłaby sobie od ust ostatnią okruszynę chleba, aby nią nakarmić człowieka lub zwierzę. O tym, że posiadała maniery rozbrykanego cielaka, wiadano również; jednym było to obojętne, innych to gorszyło, ona zaś, ponieważ mało ją obchodziło, co mówią o niej „za granicą”, nie zwracała na to uwagi. Większe miała zmartwienia. Z wysokiej gruszy zleciał, jak dojrzała gruszka, pękaty Wojtek, jej adiutant, a koń kopnął kowala, swego żelaznego dobroczyńcę. Brata jej, Janka, bolał brzuch, więc w domu był rwetes i bolejąca awantura. Poza tym pan leśniczy głośno oświadczył, że przy pierwszym spotkaniu w lesie zastrzeli Draba, największą hańbę psiego rodu. Z tych wszystkich zmartwień najdotkliwsze było to, że lato przymykało już oczy i stawało się sennie; zmęczone było ogromnym urodzajem i spieczone na słońcu, więc, nie czekając końca dnia, owijało się o zmierzchu we mgły i oddychając ciężko, kładło się na spoczynek na posłaniu z pachnącego cudownie siana. Ze schyłkiem lata kończyła się wolność, ta obłędna i śliczna, łąząca po drzewach jak wiewiórka i jak srebrna ryba w srebrnej pluskającej się wodzie. Zbliżała się za to smętna niewola, chmurna jak jesień i niosąca pod pachą niezliczoną liczbę książek, a wśród nich najstraszliwszą, przemądrą, nielitościwą i nie znającą pomyłki: arytmetykę. Wszystko zwiastowało zbliżanie się uczonej pory i, widząc, przed nią chciały uciec mądre bociany, i przed nią wesołe uciekną jaskółki. Twarde jest życie. „Trzeba się uczyć”, przeminęło lato.

Lato, Wiosna

Irenka, płosząc nierozumne żaby, które skakały w wodę na łeb, na szyję, patrzyła, jak słońce siało się powietrzem przez przetak<sup>19</sup> nieba jakby złota mąka. Wałęsała się przez ścierniska, które orano. Pomyślała wtedy, że rzeka powinna wezbrać od ludzkiego potu, który spływa po twarzach i grzbietach tych, co w spiecu<sup>20</sup> słonecznej żeli niedawno zboże, a teraz orzą w trudzie.

W powietrzu latała srebrna przędza, z której w niebie robią sukienki dla Matki Boskiej. Jaskółki pokrzykiwały niespokojnie jak panny przed daleką podróżą. Dziki gołąb frunął niczym strzała, nieufny i szybki. Leniwy wiatr gonił laciaste chmury na zachód, jak senny pastuch pędzi krowy. Już pachniał zmierzch spaloną macierzanką i gorzkim dymem rozpalonego gdzieś na ściernisku ogniska. Było słodko i wonnie. Szczęśliwy dzień szedł wolnym, miękkim krokiem na spoczynek, a ziemia patrzyła w słońce jak w zegar, czekając tej godziny, w której będzie jej wolno przemyć oczy rosą i usnąć z uśmiechem. Okna białego domu, wspartego na sześciu kolumnach, wyłociły się i przenikliwym szkliły blaskiem, a niedaleko, wśród lip, żegnał się ze słońcem drewniany kościół i domek księdza, mrugający wesołymi oczkami małych szybek, które pannom małwom służyły za zwierciadła.

Irenka dojrzała białą głowę proboszcza. Wyszedł z domku pomiędzy ule i wędrując drożyną, czytał brewiarz<sup>21</sup>. Czasem przystanął i siwiutką głowę podnosił jak człowiek, co

<sup>19</sup>przetak — duże sito. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>spieka (daw.) — spiekota, upał. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>brewiarz — zbiór modlitw. [przypis edytorski]

patrzy na lot ptaków. Dziewczyna pomyślała, że te święte słowa, które wymawia, lecą jak ptaki w górę, a on, prostaczek boży, patrzy, czy nie zmyliły drogi i czy prosto kierują lot w niebo.

Podeszła bliżej i patrzyła przez badyle umierających malin, mając w roześmianych oczach wilgotne jakieś rozrzewnienie. Śliczny był ten srebrny staruszek, gadający sobie z Panem Bogiem dobrotliwie i mądrze. Chciała krzyknąć wesoło, ale nie śmiała, bo ksiądz patrzył wciąż jeszcze w brewiarz; czasem odpędzał ręką pszczoły wracające z daleka, czasem przystawał i trzęsąc się dłonią dotykał serca. Znowu iść zaczął, lecz jakoś niepewnie i jakby błędnie. Brewiarz wypadł mu z ręki. Irenka przesadziła płot jak sarna i w jednej chwili była przy nim. Właśnie się ślaniał i byłby upadł, gdyby go nie podtrzymała silnymi rękami.

— Drogi mój, złoty! Co księdzu proboszczowi?

On spojrzał na nią, jakby bardzo zdziwiony niespodzianym jej zjawieniem, i z trudem uśmiechnął się.

— Irenka! — szepnął ze słodyczą.

Usta miał bardzo blade i drżące.

Dziewczyna obejrzała się w stronę domku i zaczęła wołać.

— Daj pokój — szepnął ksiądz — nie ma nikogo.

Nie mógł iść, a ona nie miała dość sił, aby udźwignąć potężną jego postać. Pomogła mu ułożyć się na ciepłej trawie i głowę jego oparła o zielony ul, w którym drżało cicho rozssemrane, złote życie. Serce się w niej tłukło, kiedy pobiegła po wodę i kiedy poila go jak dziecko bezbronne i bardzo chore.

Przez lipy sączył się zmierzch jak różana woda i coraz bardziej gasły dalekie głosy z pól i łąk. Tylko spóźnione pszczoły brzęczały cichutko, lecz niespokojnie, i zaczęły krążyć nad jego głową. Czasem któraś, ciężka jak kropla miodu, padała w trawę, jakby chcąc być przy tym, który im królował. A on ciężko dyszał, coraz bledszy i bledszy, taki bez krwi — jak ten gasnący dzień.

Wielka, lodowata trwoga wionęła na serce tej dziewczyny, która nigdy nie zaznała strachu. Objąwszy ramieniem ukochaną, starą głowę, mówiła cichutko jak matka do dziecka:

— Czy księdzu lepiej? Co mam robić? O, mój złocisty! Przecież ksiądz nie umrze.

— Zdaje mi się, dziecinko, że umrę — mówił on z trudem.

— Matko Boska!

— Nie odchodź ode mnie... Zanim ktoś przyjdzie, już mnie nie będzie... Zbyt długo żyłem i zabierałem zbyt długo miejsce na bożej ziemi... Miło jest umierać pod lipami... Co to tak szumi?

— To pszczoły...

— Dobrze i pocziwe pszczoły. Czy ja ci nie ciężę, Irenko?

Dziewczyna nie odpowiadała, bo nie mogła złapać oddechu. Oczy jej napełniły się łzami, które ciężko zaczęły padać na jego twarz, białą jak ściana domku.

— Rosa pada... *Rorate coeli*<sup>22</sup>... Czy to już noc?

— Nie jeszcze...

— Ach, to moja lampa zagasła... Czy mnie słyszysz?

— Słyszę...

Serdeczny płacz wstrząsnął nią nagle jak burza młodym drzewkiem.

— Bardzo cię kochałem... Bądź zawsze dobra, dziecinko... Wariat jesteś, ale serce złote. Zostań już taka! Czasem cię zburzałem... Ale chyba mi przebaczysz...

— O, Jezus, Maria... — łkała dziewczynka.

On odpoczął, ciężko dysząc. Potem mówił cichutko:

— Módlmy się!

Zaczął szeptać jakieś urywane słowa, a ona, załzawionym spojrzeniem objąwszy jego świętą głowę, zaczęła się też modlić bez ładu i składu:

— Matko Boska, nie daj mu umrzeć! Panie Boże, jeśli chcesz, abym była jako taka, nie daj mu umrzeć! Lepiej niech ja umrę, bo jestem wariat, ale nie on, ale nie on. Co to za urządzenie, abym ja żyła, a ten najlepszy człowiek umierał? Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...

Modlitwa, Śmierć

<sup>22</sup>*Rorate coeli* a. *Rorate caeli* (łac.) — dosłownie „rosa nieba”, wstęp do mszy czwartej niedzieli Adwentu. [przypis edytorski]

O, już się uśmiecha! Bądź wola Twoja, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... Uśmiecha się, uśmiecha! Księżu proboszczu!

Już jej nie odpowiedział, choć ze słodkim uśmiechem patrzył na nią. Przytuliła do piersi jego głowę, zdumiona i niewiedząca. Już nie było w niej lęku. Czuła, że się stało niezmiernie nieszczęście i że pewnie umarł, bo jej nie odpowiada. Serce w niej dygotało, bardzo rozżalone i pełne płaczu. Oparła znowu jego biedną głowę o szumiący ul, podniosła się, pomyślała o czymś i błędnym krokiem poszła ku dzwonnicy. Ujęła sznur największego dzwonu i wszystkich z siebie dobywając sił, zaczęła dzwonić.

Serce dzwonu było takie ciężkie i rozplakane jak jej serce.

### III

Kiedy umarł zacny ksiądz, Irenka czuła się tak jak spartański wojownik, co postradał tarczę i nie ma czym zasłonić się przed chmurą barbarzyńskich pocisków. Wyteżyła zatem baczność — niczym drapieżca, co uszy nastawia pod wiatr — gotowa do zapamiętałej walki o swoją wolność, o której myślała, że ją można już było snadnie<sup>23</sup> sprzedać na publicznym przetargu. Biały dom, na sześciu wsparty kolumnach, począł buntować się jak małe państwo przeciw tyranowi, który spędzał sen z jego powiek. Najpierw nieśmiało, potem coraz wyraźniejsze słychać było głosy, niczym podziemne pomruki, że „dziewczyna z kretesem zwariowała”, że „cygańskie dzieci lepiej są wychowane”, że „między tą dziewczyną a diabłem nie ma zbyt wielkiej różnicy” i że „kto nie słucha starszych, ten posłucha psiej skóry”. Poetycka ta metafora oznacza bardzo złożony środek na poskromienie małej wietrznicy<sup>24</sup>: bierze się psa, oczywiście pozbawionego przedtem żywota, ściąga się z niego skórę, kraje się ją w cienkie paski jak makaron, wiąże się je w jeden pęk, przytwierdza do rzeczy tak niewinnej jak sarnia nóżka i tym aparatem łoi się skórę, w której, jak w skórzanym worku, mieszka duch przekory. W białym domu niewielu było zwolenników tej metody, łączącej w sobie psa i sarnę, wiedzano bowiem powszechnie, że gdyby ją zastosowano wobec Irenki, ta albo rzuciłaby się z dachu, albo skoczyłaby do wody, ale nie przeżyłaby hańby. Wiedziała ona zresztą wybornie, że w tej groźbie jest więcej łaskoty słów niż poważnych zamiarów. Pomimo jej szaleństw kochano ją gorąco, bo diabełka tego musiało się kochać. Prawda, że rządziła domem, lecz rządziła sprawiedliwie. Nie skłamała nigdy i jeśli trzeba było dobrze komuś uczynić, byłaby bez namysłu skoczyła w ogień. Dlatego ludek, przy białym domu żyjący, uwielbiał ją. Stary woźnica opowiadał z rozrzewnieniem, że czarna panienka zawsze pomaga mu chwytać konie i że wślazła po pas w bagienko na polnej drodze, aby uporządkować splątana uprzęż; biedna kobiecina, wśród najgorętszych i najbardziej skutecznych błogosławieństw, opowiadała, jak ta cudowna panienka uratowała jej berbecia, który z wysokiego nasypu wpadł do rzeki jak kamień; kucharcze nikt tak nie wytłumaczył zawiłych snów jak to najmędrze dziecko, a kiedy śniła się jej szafa, w której zamiast kożucha wisiał żywy baran i czytał książkę, jedna Irenka umiała wyjaśnić, że syn kucharki przyjedzie na święta ze szkół, co się nieomylnie stało i o czym wszyscy z góry wiedzieli, a jednak nikt na to nie wpadł — dziesięcioro ludzi opowiadało o tej dziewczynie, bo każdemu uczyniła coś dobrego. A Żyd, mleko kupujący, nic już nie mówił, tylko cmokał, z wielkiego zachwyty przymknąwszy oczy.

Wszystkie te historie nie czyniły jednakże zbyt wielkiego wrażenia w białym domu. Tam żądano, aby panienka dobrze wychowana wchodziła do domu przez drzwi, nie przez okno, nie wjeżdżała konno po schodach, a co najważniejsze, aby gościom nie mówiła prawdy w oczy, jak to uczyniła z panią Targową, która miała prawie siedemdziesiąt lat i malowała sobie brwi i rzęsy, bo chciała szósty raz wyjść za mąż. Do jej pokoju przysła Irenka i zamalowała zwierciadło wapnem.

— Po co to czynisz? — zapytała ją matka.

— Aby się ta pani nie przestraszyła, kiedy niespodzianie spojrzy w lustro! — rzekła Irenka uprzejmie.

Skutki tej uprzejmości skończyły się dla niej boleśnią.

Ojciec Irenki, pan Borowski, śmiał się ze wszystkich jej awantur. Był to dobry człowiek i tak zapracowany, że patrzył na tę dziewczynę jak na promyczek słońca, co do

Ojciec

<sup>23</sup>snadnie (daw.) — łatwo, bez trudu. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>wietrznica (daw.) — lekkomyślna, płocha dziewczyna. [przypis edytorski]

smutnego zabłąkał się domu. Największa sterta zboża na jego polu była jeszcze mniejsza od tej sterty trosk, która go przywalała. Irenka patrzyła czasem z wielką zadumą na ślicznym swym czole, jak on chodził błędnie, sam do siebie gadał i taką czasem miał minę, jakby mu się płakać chciało. Gładził ją po czarnej głowie, ale myślał o czym innym i patrzył gdzieś w dal, na drogę. Tą drogą przyjeżdżał często poważny pan i wtedy pan Borowski był najsmutniejszy, bo ten pan długo siadywał w kancelarii, potem szedł między stajnie i stodoły, oglądał konie i krowy i wciąż pisał, i pisał.

— Nie podoba mi się ten gość! — rzekła Irenka sama do siebie.

Poszła potem do pana Borowskiego i mówi:

— Tatusiu, czy chciałbyś, aby ten pan nigdy już tu nie przyjeżdżał?

— Dałby Bóg! — rzekł pan Borowski.

— To się da zrobić! — mrugnęła na niego Irenka.

— Jakżeż to można zrobić?

— Jest kilka sposobów. Jeśli tylko nie będzie o to awantury, to następnym razem ten pan wleci do potoku, bo mostek będzie rozebrany, a tam jest dość wysoko. Mogłabym też szepnąć słówko Drabowi, który będzie czekał na drodze przy lesie, a jakby już tu dojechał, to mogę mu wsadzić do kieszeni szczura, a do jego teki ze trzy...

— Ani mi się waź! — zawołał groźnie ojciec. — Przyjeżdża, bo musi.

— To wielka szkoda, że nie można — zasmuciła się Irenka. — Za wiele robi się ceremonii na święcie.

Matka Irenki pochodziła ze wspaniałej rodziny, co krzywo patrzyła na jej małżeństwo z panem Borowskim, bo był dla nich zbyt małą i zbyt nieznaczną figurą. Nikt z tej rodziny nie bywał w białym domu. Było to i lepiej, gdyby się bowiem ta wspaniała rodzina pogodziła nawet z panem Borowskim, straszne działyby się rzeczy, gdyby dostojne, senatorskie ciotki i karmazynowe<sup>25</sup> babki ujrzały Irenkę i jej psa. Dostojne ciotki i dostojniejsze jeszcze babki uciekałyby, jak gdyby zobaczyły zarazę, i zrozpaczonymi, popękanymi głosami wołałyby rozsrożonego gniewu nieba. Najbardziej atłasową panią, która przysięgła, że nigdy nie przebaczy hrabiance, że wyszła za mizeraka i byle szlachetkę, była jej ciotka, pani Zofia Opolska, strasznie bogata i siedząca na złocie jak kwoka na jajach. Irenka słyszała o niej często i przychodziły jej do głowy tysiąc dwa sposoby, których należało użyć, aby tę pozłacaną, mityczną postać nauczyć szacunku dla biedaków. Na wszelki wypadek zakarbowała ją sobie w pamięci i szepnęła Drabowi, że gdyby kiedyś spotkał panią Opolską, ma „wolną rękę” w działaniu. Drab mrugnął, że będzie pamiętał.

Pani Borowska zdrowie miała wątłe, a nieustanne zmartwienia głęboko kochanego męża sprawiły, że patrzyła smutno i uśmiechała się rzadko. Była to kwietna w jej życiu niedziela, kiedy mogła zaśmiać się głośno. Irenka uwielbiała tę cichą, smutną matkę, której oczy gasły, chociaż były jeszcze młode. Łzy mogą zgasić oczy najbardziej płonące. Irenka byłaby bez wahania wsadziła obie ręce w ogień, gdyby to mogło zdziałać, aby pani Borowska nie płakała.

Matka brała czasem czarną, murzyńską główkę Irenki w swoje ręce i tuliła ją z całej siły do piersi. Wtedy w dziewczynce działy się najdziwniejsze rzeczy: harde jej serce topiło się jak воск przy ogniu, a oczy napępniały się gorącymi łzami. Było jej wtedy niewypowiedzianie dobrze. Z obłąkanej radości wchodziła potem na najwyższe drzewo, aby cały świat widział, jak bardzo jest szczęśliwa. Matka wzywała ją czasem do opamiętania, a czyniła to głosem tak słodkim i ciepłym, że dzika wolność Irenki zaczynała mruczeć pieszczotliwie jak kot. Najmniej przez dwa dni potem „Panna z mokrą głową” okazywała maniery świetniejsze niż infantka<sup>26</sup> hiszpańska. Zawsze jednak tak zdarzało się, że trzeciego dnia trzeba było gołymi rękami łowić raki albo polować po dachach na kota, który dybał na gołębie. Trudno równocześnie łowić szczypiące raki i być hiszpańską infantką, co kiedy powie słowo, to się kłania, a kiedy wyjąka wreszcie całe zdanie, kłania się siedem razy. Zwariować można z takim ceremoniałem, podczas kiedy brodzenie po błocie jest sprawą zajmującą i zaostrzającą wrodzoną bystrość. Matka wiedziała, że Irenka jest to serce wśród złotych najbardziej złote, a Irenka wiedziała, że napuszona hrabina nie przyjedzie,

Matka, Rodzina, Bogactwo,  
Pozycja społeczna

<sup>25</sup>karmazyn (daw.) — szlachcic, który miał prawo noszenia karmazynowego żupana. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>infantka — zwyczajowy tytuł dziewczynki z rodziny królewskiej w Hiszpanii i Portugalii. [przypis edytorski]

więc nie warto krępować potężnego wołania wolnej duszy. Panowała wśród nich miłość najtkliwsza i wielka, wielka przyjaźń.

Brat jej, czteroletni Jaś, odgrywał w jej życiu małą rolę. Zgodziła się na to, żeby był. Usiłowała przez pewien czas natchnąć go duchem bohaterskim i nauczyć umiłowania swobody; kiedy jednak — wsadzony pewnego razu na szczyt dachu w tym celu, aby samodzielnie zlaźł i okazał hart woli i nieustraszoną — haniebnie stchórzył i krzykiem rozpacz napęłnił świat, machnęła na niego ręką. Uczyniła jeszcze drugą, łagodniejszą próbę i spuściła go w wiaderku na dno studni, aby ujrzał jej głęboką tajemniczość i aby oswoił się z grozą czeluści. Nierozumny berbec jednakże prawie stracił mowę ze strachu i omal nie postradał żywota.

— Nic z niego nie będzie! — rzekła Irenka.

Wszystkie jej nadzieje, że go wychowa na bohatera, rozwiały się. Trzeba było dalej pracować w pojedynkę i samej przerabiać świat, aby się zaczął kręcić w przeciwną stronę. Nie mogła jednak zapomnieć chłopcu tej słabości i dawała mu poznać na każdym kroku, że go nie uważa za mężczyznę. Kiedy rozplakał się raz z powodu urojonej jakiejś krzywdy, Irenka rzekła surowo:

— Czemu Janek tak się drze?

— Kiedy byłaś mała, krzyczałaś więcej niż on — odrzekła jej piastunka.

— Być może, ale ja miałam powody...

Ponieważ młodzieniec nie chciał uspokoić się i nie można było znaleźć na to rady, Irenka znalazła sposób:

— Przywiążcie go za nogę do sznura i niech na mrozie wisi przez całą noc za oknem.

Brat spojrział na nią z nagłym przerażeniem i oniemiał, jak gdyby już zamarzł.

Matka, ojciec i brat to była rodzina ścisła, koło której żyła liczna gromadka rozmaitych krewnych, przygarniętych na tym skrawku ziemi, co siódmego z siebie dobywał potu, aby wszystkich wyżywić. Należy przyznać sprawiedliwie, że najmniej jadła osoba czcigodna, co miała już około czterdziestu lat. Była to przyszywana babka pana Borowskiego, która zjechała tu przed dwudziestu laty w odwiedzinach na dwa tygodnie i została na amen. Dokładnie nie wiedział nikt, ile ma lat, a ona sama raz twierdziła, że ma sześćdziesiąt, a innym razem, że czterdziestu. Właśnie przed trzema laty miała tych czterdziestu, lecz z właściwej sobie kokieterii nigdy nie chciała przekroczyć stu. Co poniedziałek zapowiadała w wielkiej tajemnicy, że nie przeżyje już tego tygodnia, ale we wtorek zapominała o przyrzeczeniu i żyła szczęśliwie. Codziennie o piątej rano odziewała się starannie i udawała się na dłuższą przechadzkę do sąsiedniego pokoju, okrążała znudzony tymi spacerami stół i wracała do siebie. Zdejmowała czarny szal, rękawiczki i kalosze, codzienny swój spacerowy rysztynek<sup>27</sup>, i zaczynała odczytywać gazetę sprzed lat czterdziestu, w której był ulubiony jej opis trzęsienia ziemi z owego czasu. Potem rozmawiała godzinami sama ze sobą, czasem dość kłóliwie i podniesionym głosem. Mówić lubiła namiętnie, kiedy zaś wpadła w wyborne usposobienie, co się zdarzało codziennie, nie dopuszczała nikogo do słowa; nieraz zdarzało się, że ostatni jej cierpliwy słuchacz dawno poszedł spać, a ona mówiła jeszcze. Mało dbała o słuchacza, więcej za to o sztukę wymowy. Nosiła się godnie ta babka całego świata, gdyż nikt jej nie nazywał inaczej. Babką była nawet dla księdza proboszcza, który, przerażony niepospolitą płynnością jej wymowy, za żadne skarby nie byłby z nią pozostał sam. Coś się dobrej babinie pokręciło w bystrym niegdyś rozumie, a czas tak się jej pomieszał, że różnica jakichś tam stu lub dwustu lat bynajmniej jej nie przestraszała. Twierdziła z wielką mocą charakteru, że znała osobiście każdego, o kim tylko była mowa. Nic to nie znaczyło, że mowa była o nieboszczyku, od stu lat zasiedziały w niebie. Gadającej babki nie zdołałby nikt przekonać, że go nie znała i że nie utrzymywała z nim serdecznych stosunków. Ktoś na ten przykład był tak lekkomyślny, że w obecności babki wymówił dostojne słowo: „Kościuszko”<sup>28</sup>. A babka jak w dym:

— Kościuszko? Mój Boże! Znałam, znałam... I jeszcze jak znałam! Pamiętam, powiada on raz do mnie: „Panno Aniello, a gdybyśmy tak potańcowali?”. A ja mu na to: „Nie mogę, bo jestem w żałobie!”. Dałam mu wtedy kwiatek, aby się, biedaczysko, nie za bardzo

Rodzina, Starość

<sup>27</sup>rysztynek (daw.) — ekwipunek i uzbrojenie wojskowe. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>Kościuszko, *Tadeusz* (1746–1817) — polski inżynier wojskowy, Najwyższy Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej w czasie insurekcji kościuszkowskiej w 1794 r. [przypis edytorski]

zmarł, bo zaraz wszystko brał do serca. Co też się z nim stało? Dobrze się chłopiec zapowiadał...

— Babciu! — krzyczała Irenka, bo babcia była na lewe ucho mocno głucha, a na prawe trochę więcej. — Kościuszko dawno umarł.

— Dobrze zrobił! — rzekła z uznaniem babcia, która nie dosłyszała. — On był na to jak na lato.

W galerii bliskich znajomych babci był słynny skrzypek Paganini<sup>29</sup>, z którym (jak dziś pamięta) była w menażerii, kiedy raz do Suwałk<sup>30</sup> cyrk przyjechał; był jeden arcyksiążę, bardzo przystojny, z którym jeździła na odpust na Bielany<sup>31</sup> i który trzy razy jej się oświadczał, ale potem wyjechał. Szli parami w tym świetnym korowodzie wszyscy poeci, malarze, książęta i hrabiowie, atleci, połykacze ognia i tenorzy.

Ludzie słuchali tych opowieści z tysiąca i jednej zwariowanej nocy i kiwali głowami. Kto babci nie znał i słyszał ją po raz pierwszy, kazał sobie po dłuższej z nią rozmowie lać wodę na głowę i szczypał się w ucho, tym domowym sposobem sprawdzając, czy jest przy zdrowych zmysłach. Ci zaś, co ją znali, usiłowali wymyślić taką osobę, która, urodzona w Japonii, umarła na biegunie południowym, ale nie mogli dać rady. Babcia znała wszystkich na świecie, żywych, dogorywających i umarłych. Nienarodzonych znała też.

Asystę jej stanowiły dwie tak zwane ciotki, też dalekie krewne pana Borowskiego, które przytuliły się cicho do białego domu jak skromne malwy. Jednej było na imię Amelia, drugiej — Barbara. Imię pierwszej było poetyczne i jak gdyby pełne łez, dlatego też może ciotka Amelia pisała wiersze; w drugim była twardość, duma i hardość i może dlatego bujny ten duch zajmował się twórczością malarską. Poetessa hołdowała dawnym strojom i dawnym zwyczajom. Była cienka w pasie, od lat bowiem używała przedziwnej maszyny, zwanej „sznurówką”. Wyglądała tak, jakby ją straszliwy jakiś siłacz chwycił w kleszcze rąk i tak ścisnął w pasie, że jej poetyczny żołądek wypchnął w stronę szyi, na której z tego powodu powstało niewielkie wzgórze. Była to osoba pełna wielkiej słodyczy, rozmarzona i tęsknie patrząca byle gdzie — w powalę<sup>32</sup>, w szafę, w pień drzewa, ale nie tam, gdzie właśnie należało patrzeć. Kiedy zlatywał na nią anioł poezji, opuszczał ją zwyczajny ludzki rozum. Ciotka wpadała w natchnienie i w rów, nad którym właśnie znajdowała się, lub w wodę. Miewała potężne wizje i wtedy zamieniała się w wieszczkę, która potrafiła mówić niepojęte rzeczy o duchach, demonach i wrózkach. Dreszcz przechodził po grzbiecie słuchających, kiedy improwizowała i wołała: „Na kolana! Idą duchy, czy słyszycie już łańcuchy?!”. Wprawdzie duchy nie przychodziły, ale łańcuchy często było słychać, kiedy prowadzono krowy do wodopoju. Wielkim cieszyła się poważaniem, tym bardziej że była przedziwnie dobra i cicha — oczywiście, jeśli nie była w transie. Pisała wiersze na wszystkie chwile życia, na każde imieniny i na każdą uroczystość. Wtedy deklamowała pięknie swoje wyborne utwory, z których jeden, pod tytułem *Na bój!*, cieszył się sławą wielką i zasłużoną. Bohaterski ton tej pieśni brzmiał jak wojenna surma<sup>33</sup> i ogromna to szkoda, że nazbyt kończył się smutno. Oto on:

„Hej, młodzianie, hej, młodzianie!  
Weźmij jedną ze swych zbrój,  
Wstań czym prędzej i w świtanie  
Pędź na bój!  
Pędź na bój!

Ja mą wstęgą cię opaszę,  
Błogosławieństw dam ci rój,  
A ty, nasze ptasze lasze<sup>34</sup>,  
Pędź na bój!  
Pędź na bój!

<sup>29</sup>Paganini, Niccolò (1782–1840) — włoski skrzypek i kompozytor. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>Suwałki — polskie miasto powiatowe w województwie podlaskim. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Bielany — chodzi zapewne o Bielany Białostockie, obecnie poza granicami Polski. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>powalą — drewniany strop. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>surma — instrument dęty używany dawniej w sygnalizacji wojskowej. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>laszy (daw.) — tu: polski. [przypis edytorski]

A gdy legniesz, bo tak tuszę<sup>35</sup>,  
Nocą przyjdę na twój grób,  
Tam wywołam twoją duszę,  
By śmiertelny wziąć z nią ślub”.

W ślicznym tym wierszu tkwiła — jak gwóźdź w trumnie — ta tragiczna prawda, że nikt z żywych nie miał odwagi pojąć za małżonkę lubej Amelii. Umarłemu było wszystko jedno. Ponieważ ciotka Amelia była panną, więc skarga jej była uzasadniona, a tak rzewna, że ludzie głośno płakali, kiedy, załamując ręce, zapowiadała swój ślub z młodzianem, co poległ „w jednej ze swych zbrój”.

Twórczość ciotki Amelii miała w sobie nie tylko tony tragiczne. Rozpięta jak tęcza na lazurowym niebie poezji, lśniła wszystkimi kolorami, wśród których były i te, co wesołością barwy cieszą ludzkie oko. Dowodem tego jest inny jej śliczny wiersz, nazwany *Figlarna*:

„Czemu oczy twe się śmieją  
I cała tryskasz nadzieją?  
Czemu swym się cieszysz zdrowiem?  
— Ja to wiem, ale nie powiem!

Myślisz pewnie, że nikt nie wie,  
Jak przy wielkim czekasz drzewie.  
A kto skryty za listowiem?  
— Ja to wiem, ale nie powiem!

Ej, dziewczyno, ej, figlarko,  
Czemu tam tak bieżysz szparko<sup>36</sup>?  
Teraz powiem, by ci dopiec:  
— Tam kochany czeka chłopiec!”.

Taka jest moc i władza poezji, że sympatyczna ciotka Amelia, podobna z wykroju do litery „X” z powodu osiej cienkości talii, stawiała się piękna, kiedy swoje rymy pionowym wygłaszała głosem. Jednej tylko hołdowała manierze, tej mianowicie, że czy wiersz był smutny jak pogrzeb czy wesoły jak przedstawienie w cyrku, ona wydzwaniała go niezmiennie głosem dzwonu pogrzebowego, tak że się zawsze serce krajało obecnym — nawet wtedy, kiedy „figlarka biegła szparko” i „cieszyła się zdrowiem”. Nie inaczej grecki wędrowny pieśniarz wygłaszał ustęp o śmierci Hektora<sup>37</sup> niż ciocia Amelia wiersz: „Jestem dziewczuszka hoża<sup>38</sup> i szczęśliwa, chłopcy mnie pragną jak słodkiego piwa”. Tak to można potęgę i moc ognistą nalać do każdego, najmizerniejszego nawet słowa. Czyniła to kobiecina wiotka i jagnięcej dobroci.

Przeciwnieństwem jej całkowitym była ciotka Barbara. Pominąwszy jej imię, podobne do gryzienia zębami orzechów, w całej jej postaci była jasno-koścista twardość. Nosiła się zuchwale, wzorem tych malarzy jaskiniowców, co myli się przed Wielkanocą, a nie czesali nigdy. Miała krótką czuprynę, którą wstrząsała nieustannie, bo spadała jej na oczy, pluła na odległość ośmiu metrów sześćdziesięciu centymetrów (rekord światowy i olimpijski), paliła krótką angielską fajeczkę i gardziła całym światem. Było to właściwie jej główne zajęcie, poza tym dopiero zajmowała się malarstwem. Wysoka, chuda, sierdzista<sup>39</sup> i zwalista, wszystkie części ciała miała w porządku — prócz serca, które było złamane od lat trzydziestu. W zamierzchłych tych czasach zakochała się w przystojnym młodzianie, który był jakimś zamorskim księciem, i gotowa była stanąć z nim na ślubnym kobiercu. Już ją krok jeden zaledwie dzielił od tego kobierca, kiedy księcia zamknięto w więziennym

<sup>35</sup>tuszyć (daw.) — oczekiwać, spodziewać się. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>szparko (daw.) — szybko. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>Hektor — w mitologii greckiej królewicz, bohater trojański zabity przez Achillesa. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>hoży (daw.) — zdrowy, urodziwy. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>sierdzista (daw.) — zapalczywy, srogi, gniewny. [przypis edytorski]

lochu za fałszowanie banknotów; była to zwyczajna zazdrość władz, okazało się bowiem, że on sporządzał banknoty piękniej i lepiej niż władze, czego obrażony rząd nie mógł przeboleć. Od tego czasu ciotka Barbara dotrzymała przysięgi, że nigdy nie uwierzy zakłębom i zachwytom żadnego mężczyzny. Przysięgła równocześnie pogardę światu, co odbijało się wyraźnie w malowanych przez nią portretach — nie zdarzyło się bowiem, aby namalowany przez nią człowiek był podobny do człowieka. Stawał się podobny do szczura, lisa, wielbłąda lub barana, lecz przenigdy nie było w jego twarzy iskry człowieczeństwa. Gdyby namalowała nawet anioła, byłby on podobny do złośliwie patrzącego nietoperza. Portretowani przez nią ludzie mieli nieodmiennie dziwny sposób patrzenia: oko lewe takiego nieszczęśnika nigdy nie wiedziało, gdzie patrzy prawe. Każdy portret zerkał zezem, a na domiar wszystkiego zdawał się zgrzytać zębami. Obrazy te jednakże sprawiały potężne wrażenie, szczególnie barwą twarzy portretowanej osoby — zawsze bladosej, z zielonym odcieniem w okolicy ust i oczu.

Jeśli można było czynić niejake zastrzeżenia co do jej malarstwa portretowego, z całą sprawiedliwością należało przyznać niepospolite zalety uprawianemu przez nią malarstwu rodzajowemu. Zdumiewająca jego oryginalność polegała na tym, że wybitna ta artystka nie uznawała banalnych zasad perspektywy i stosunku wymiarów jednego przedmiotu do drugiego. Na tym samym na przykład obrazie jabłko było trzykrotnie większe od filiżanki, a kiedy na rzewnym obrazku lis porywał kaczkę, kaczka była dwa razy większa od lisa, co nikogo razić nie mogło, każdy bowiem wie, że najmniejszy lis zjada kaczkę, a największa kaczka nie zje lisa. Myśl głęboka tkwiła w tym, że morderca zakatrupił niewinność, bo tak zawsze dzieje się na świecie. A obojętne jest, ile waży niewinność, a ile morderca. Proporcje te doprowadzały do rozpaczliwej Irenkę, znającą na wylot wszystko, co żyło w przyrodzie; jednakże uwagi jej, przyjmowane lekceważąco, nie mogły wpłynąć na twórczość mistrzyni. Wiodła ona równocześnie wojnę z księdzem proboszczem, który nie przyjął ofiarowanego przez nią dla kościoła obrazu pt. *Święta Barbara*<sup>40</sup>, *patronka górników*, najśmielszy bowiem górnik uciekłby z kopalni, gdyby mu się tam pokazała taka święta, jaką namalowała ciotka. Najbardziej zatwardziały złoczyńca ma więcej słodczy na gębie, niżli jej na swojej twarzy miała owa święta z wyszczerzonymi zębami i ze wzrokiem mówiącym, że patronka górników chętnie zjadłaby tłuste niemowlę.

Ciotka Amelia i ciotka Barbara żywiły wobec siebie wzajemną niechęć; malarka twierdziła, że poetka powinna wiązać nie rymy, ale kozie ogony, poetka zaś była zdania, że jeśli mowa o ogonach, w takim razie krowa, której do ogona przywiązano by pędzel, namalowałaby, oganiając z siebie muchy, arcydzieło — w porównaniu do obrazów Barbary. Ulegając prośbom i groźbom, całowały się dwa razy do roku i czyniły zgodę: na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. Były to jednak krótkie, jednodniowe przystanki wzdłuż nieprzerwanej kolei niechęci. Już nazajutrz cicha Amelia pisała w tajemnicy krwawą satyrę na malarstwo, a Barbara pluła dalej niż zwykle, własne bijąc rekordy, kiedy poetka całą duszą śpiewała odę na cześć wiosny lub zimy. Treść była zawsze ta sama, tylko trochę inne rymy — raz ciepłe, a raz zimne. Gniewy wzajemne były tak zaślepione, że kiedy przy obiedzie podano półmisek najpierw ciotce Amelii, ciotka Barbara nie tknęła już jedzenia pod pozorem, że nie jest głodna. Ponieważ tę politykę wzgardy uprawiała też i ciotka Amelia, więc podawano jedzenie jednego dnia najpierw poetce, a drugiego, na odmiannę, najpierw malarce. Mogło się bowiem zdarzyć przy zaniedbaniu tego ceremoniału, że jedna z ciotek wyschnie jak szczapa i zembrze. Lecz, o dziwo, Kiedy ciotkę Barbarę bolały zęby i kiedy nadaremnie smarowała dżiąsła spirytusem, rumiankiem i tytoniowym sokiem z fajki, ciotka Amelia odmawiała nieustannie nowennę<sup>41</sup> do świętej Apolonii<sup>42</sup>, patronki od bólu zębów, i piękną, wierszowaną poświęciła jej odę („Święta Patronko, weź te rymy w darze, lecz wylecz zęby nieszczęsnej Barbarze”). Wzruszona zacna święta podała — za pośrednictwem klucznicy — wyborny sposób pozbycia się bólu zęba wraz z zębem. Był to sposób z dawna praktykowany i niezawodny: przywiązywało się do zęba długą, mocną

<sup>40</sup>*Święta Barbara* a. *Barbara z Nikomedii* — legendarna męczennica chrześcijańska, święta Kościoła katolickiego i prawosławnego, patronka m.in. górników. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*nowenna* — w liturgii katolickiej nabożeństwo rozłożone na dziewięć dni, tygodni lub lat. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*Święta Apolonia* a. *Apolonia z Aleksandrii* (zm. 249) — męczennica i święta Kościoła katolickiego, patronka dentystów. [przypis edytorski]

nić, a drugi jej koniec należało uwiązać do klamki u drzwi; potem ktoś nagle otwierał drzwi i ząb wyskakiwał ze szczęki jak korek z butelki. Harda Barbara umiała odpłacić sercem za serce. Kiedy ciotka Amelia, chcąc z bliska ujrzyć grozę natury, co zawsze powinien czynić poeta, wychodziła sobie po jesiennym parku zapalenie płuc, ciotka Barbara spędziła przy niej wiele bezsensownych nocy. Ciotka Amelia była bliska śmierci i wygadywała w gorączce niestworzone rzeczy, których słuchano jednak ciekawie, nie wiadomo bowiem było, czy dobra Amelia bredzi czy też improwizuje, ale ciotka Barbara płakała ciężko. Tych łez zamiast wody użyła do akwareli pod tytułem *Śmierć poetki*, zrobionej na wszelki wypadek. Poetka, z jednym okiem otwartym, a drugim zamkniętym, leżała w trumnie, na głowie miała wieniec laurowy, a w rękach książkę, zapewne przez siebie napisaną; nad nią pochylony stał kościotrup z węzami w oczodołach, z kosą w jednej ręce i z gałązką choiny w drugiej, jak gdyby nią chciał od zwłok poetki odpędzać muchy. Ciotka Barbara tak cudownie jednak pielęgnowała nienawistną istotę, że wspaniała ten obraz stał się nieprzydatny do domowego użytku i mógł być ofiarowany do muzeum. Kiedy ciotka Amelia podniosła się z łóża boleści, ucałowała serdecznie tego dragona<sup>43</sup>, co nad nią czuwał, jasno-kościstą ciotkę Barbarę, i — rzecz oczywista — już tego samego dnia przestały z sobą rozmawiać. Irenka, chcąc wprawić dom cały w ruch, nie omieszkła pokazać cioci Amelii obrazka z jej zwłokami, zwróciwszy jej niewinnie uwagę na zbyt, że złym zamiarem uczynione, wydłużenie nosa, co miało ten skutek, że dobrotliwa wątroba ciotki wywróciła się i stanęła na głowie. Skutkiem tego skutku był mocny wiersz pod tytułem *Krótkowłosa wiedźma*, zaczynający się szatańskim okrzykiem: „Ha! ha! Myślałaś, że już spocznę w grobie!”, a kończący się zjadliwą apostrofą: „Że młody zawsze starszego pogrzebie, przeto, Barbaro, ja pochowam ciebie!” Nie trzeba dodawać, że Irenka tego samego dnia odczytała ten wiersz Barbarze i przypawiła ją o szaleństwo.

A najweselsze było to, co babcia mówiła o ciotkach:

— Ach, te dzierlatki<sup>44</sup>! Kiedy sobie coś nucą albo przekomarzają się ze sobą, to tak jakby kanarki szczebiały...

#### IV

Irenka uczyła się wybornie; chłonęła w siebie wszelkie mądrości jak gąbka: szybko i łatwo. Wszystko, cokolwiek czyniła, było robione z radością, więc chociaż nauki nie można było nawet porównać z galopem na nieosiodłanym koniu albo z jazdą na tratwie ze starych drzwi przez staw, jednak cząstka wielkiej radości dostawała się i nauce. Irence pomagał w tej głębokiej dziedzinie młody człowiek w okularach — tak poważny, że zdawało się, jakoby tylko we dnie żył życiem ludzkim, na noc zaś tajemna siła zamieniała go w książkę i stawiała na półce bibliotecznej. Musiał być bardzo wygłodzony, bo zjadał niepomierne wiele, ile zaś razy któraś z ciotek nie chciała tknąć jedzenia, on nie dał mu zmarnować się nigdy. Nazywał się pan Podkówka i był bardzo sympatyczny. Można było wprawdzie przez lat sto i dwa czekać na to, aby pan Podkówka roześmiał się albo podskoczył w górę, ale wyborna jego powaga wiele miała w sobie wdzięku. Wyglądał tak, jakby w każdej chwili był przygotowany do ułożenia się na katafalku — taki był spokojny, uroczysty i wpatrzony w głębinę swego ducha. Nauczał Irenkę sumiennie, nie podniósłszy nigdy głosu, ręki ani spojrzenia. Przemawiał smutno, a wielkie zdanie na temat tego, że osiem razy osiem jest sześćdziesiąt cztery, wygłaszał tak rzewnie, aż się serce krajało. Wszyscy lubili go bardzo, a ciotka Barbara malowała go kilka razy — i choć za każdym razem inaczej, wyglądał zawsze tak, jak gdyby słup telegraficzny wdział czarne ubranie, zbyt wielkie buty i zezem patrzył w dal. Wszystko, co zarabiał, posyłał biednej matce, sobie nie zostawiając ani grosza nawet na papierosy, które namiętnie lubił palić. Dlatego pewnie nigdy nie uśmiechał się, bo nie miał na to czasu i uśmiech uważał za marnotrawstwo. Czasem ciężko wzdychał, a wtedy Irenka pilnie patrzyła mu w oczy. Ona też jedna wiedziała, skąd w pokoju pana Podkówki znalazło się czasem trochę papierosów albo tytoniu. Równocześnie jednak ciotka Barbara dziwiła się, że od pewnego czasu znacznie prędzej wypala swój tytoń. Nikt nigdy nie mógł rozwikłać tej zawilej sprawy.

Nauczyciel

<sup>43</sup>dragon — dawniej żołnierz lekkiej jazdy; potocznie także potężna, energiczna kobieta. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>dzierlatka (daw.) — młoda, wesoła kobieta. [przypis edytorski]

Pan Podkówka, przed dwoma laty sumiennie wygłodzony, zaczął nabierać połysku i tężyzny. Uczył Irenkę, a sam pilnie studiował grube książki i cienkie zeszyty. Przeraziła go melancholia cokolwiek po pewnym czasie zelżała, gdyż pan Podkówka coraz częściej spoglądał w niebo. Na swoją zdolną uczennicę patrzył szklanym wzrokiem, jak na ułamek dziesiątą albo nieprawidłowe słowo. Niczemu nigdy się nie dziwił, nawet niezrównanym opowieściom babki. Można go było zbudzić o północy i rzec: „Panie Józefie, już dziewiąta rano, trzeba wstać i rozpocząć lekcje!” — a on byłby wstał, uklonił się i rzekł: „Zaczynamy!”.

Irenka przyglądała się coraz bystrzej jego trumiennej powadze i jednego dnia, w drugim roku jego pobytu, powiada, jak gdyby nigdy nic:

— Proszę pana profesora, pójdziemy łowić raki!

Pan Podkówka spojrzał na nią, jak gdyby jeszcze nigdy w swoim smutnym życiu nie widział wariata. Zdjął okulary, przetarł je sumiennie i spojrzał raz jeszcze. Wesole, czarne oczy patrzyły na niego radośnie. Wtedy pan Podkówka wyrzekł tylko jedno słowo:

— Chodźmy!

Strasliwość zuchwałych podstępów Irenki brnęła coraz dalej. Nikt nie zdołałby tego opowiedzieć. Prawdą ostateczną jest to, że dnia jednego, kiedy jabłka padały na ziemię jak ciężkie, rumiane pociski, ciotka Amelia wyszła na boży świat pomiędzy drzewa. Nagle krzyknęła, jakby zobaczyła diabła; czym prędzej pobiegła z powrotem do domu i wywiodła z niego wszystkich żywych. Babka dreptała na ostatku, pytając rozdzierającym głosem: „Kto umarł? Kto umarł?”. Wszyscy, idąc za wskazówką drżącego ramienia ciotki Amelii, zadarli w górę głowy i stanęli jak wryci: na szczycie jabłoni siedziała Irenka i chwiała się na gałęzi jak młody pawian; a niżej, na grubym konarze, rozparty w jego rozwidleniu, siedział pan Podkówka, gryzł jabłko i śpiewał wniebogłosy.

— Świat się kończy! — rzekła ciotka Amelia. — Ta dziewczyna świętego przywiedzie do obłądu.

— Dzielną Podkówka — z uznaniem rzekł pan Borowski. — A Irenka mądra dziewczyna. Jazda, ciotki! Leżcie na drzewo!

Ciotki spojrzały na niego jak na węża i odbiegły niczym sarenki. Babka tylko, nie wiedząc, o co idzie, pytała pana Borowskiego, czego żąda, bo może ona to robi.

Tak to się stało, że poważny pan Podkówka wyraźnie postradał zmysły i od tego czasu widziano go i na tratwie, i na koniu, a czasem na dachu. Razu jednego zaśmiał się tak donośnie, jakby koń zarżał, i odtąd śmiał się ciągle. Lekcje stały się wesole, różne<sup>45</sup> i przyjemne. Pan Podkówka mówił pięknie, wymachiwał rękami i znać było, że kocha to, czego naucza. Do niedawna dyktował Irence zdania wzniosłe, uroczyste i tak najeżone jak ryżowa szcztotka:

— „Módl się i pracuj!”. „Cierpienie jest udziałem człowieka”. „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje!”. — Teraz, w porywie radosnej lekkomyślności, wołał, wskazując palcem na kajet<sup>46</sup>: — „Kochajmy słońce!”. „Bóg cieszy się radością człowieka!”. „Bądź radosny, a będziesz szczęśliwy!”. „Unikaj łez, uciekaj przed smutkiem!”. — Wreszcie wynalazł w jednej ze swoich książek zdanie przedziwnie piękne, które kazał Irence wypisać jak można tylko najstaranniej: „Stracony jest każdy dzień bez uśmiechu”.

— Wariat znajdzie wariata w korcu maku — uroczyście wyrzekła jednego piątku przy obiedzie ciotka Amelia. Ponieważ właśnie jadła rybę, więc jej te strasliwe słowa stanęły ością w gardle.

— Kara boska! — mruknęła ciotka Barbara.

Irenka mrugnęła w stronę pana Podkówki, który jednak wcale tego nie zauważył, gdyż korzystając z zamieszania, jednym szerokim ruchem zgarnął wszystko z półmiska na swój talerz. „Panna z mokrą głową” myliła się jednak, sądząc, że ciotka Barbara jest po stronie tych, co wielbią radość, słońce, wiosnę i są napełnieni duchem wolności jak drzewo wiatrem szumiącym. Ciotka z twardym imieniem uradowała się na chwilę, że poetka z imieniem rozplakany jak wierzb nad grobem będzie miała niejake trudności z przełknięciem ości. Była jednakże jednego z nią zdania, że Irenka i jej nauczyciel są dzikimi istotami, na które za życia czeka powszechna pogarda, a po krótkim życiu —

<sup>45</sup>rażny — żywy, pełen energii. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>kajet (daw.) — zeszyt. [przypis edytorski]

piekło. Dotąd otaczała szacunkiem tego ponurego okularnika, co smutno wałęsał się, jak gdyby codziennie za własnym chodził pogrzebem. Kiedy jednak udało się Irence powoli i z przemyślnym trudem napęlić radością ten żywy karawan i ponurej, zabiedzonej, posiwalej, zmiętej młodości pana Podkówki przypiąć skrzydła, ciotka Barbara splunęła z niesmakiem. Obie ciotki nie mogły pojąć, jak ojciec i matka mogą pozwolić na to, aby ich córka przemawiała odważnie, rozsądnie i jasno, aby śmiała być samodzielna, silna i wesoła, zamiast mówić cicho, lękać się ciemnego pokoju, burzy i psa czy rzewnie czasem popłakiwać; i myśleć ciągle o kwiatach zamiast o czarnym chlebie powszednim. Na domiar wszystkiego oszalał i jej nauczyciel i zaczął sprawiać takie wrażenie, że dnia jednego, kiedy szał przybierze ostre formy, zacznie płasć jak król Dawid przed Arką<sup>47</sup>. Ciotki zmarszczyły czoła (serca już miały dawno zmarszczone). Chociaż nie rozmawiały ze sobą wprost, udało im się jednak na tajnej konferencji pod prezydencją babki, która nic z tego wszystkiego nie słyszała, dojść okrężnymi drogami do przekonania, że niebezpieczeństwo jest groźne i że dziewczyna jest stracona. Postanowiły przedstawić groźę położenia panu Borowskiemu, zażądać zmiany w systemie wychowania i natychmiastowego wygnania oszalałego Podkówki. Babka, usłyszawszy dźwięczne to nazwisko, wykrzyknęła uradowana:

— Podkówka? Znałam, doskonale go znałam!

Stało na tym, że ciotki pójdą w deputacji<sup>48</sup> do pana Borowskiego. Kiedy się to stało, zaczęły mówić jedna przez drugą — długo, obficie i kwieście. Przerażony ojciec dowiedział się, że ma za córkę największe na świecie ładaco, półdiablę, kozaka, pędziwiatra, wariata z mokrą głową, co wszystko razem musi skończyć się nie źle, ale najgorzej. Dziewczyna ma okropny wpływ na otoczenie, czego najlepszym dowodem jest pomieszanie zmysłów tego Podkówki, który będzie miał złamane życie, bo taki obszarpaniec jak on powinien pokornie się smucić, a nie śmiać się i weselić.

Pan Borowski słuchał cierpliwie, mrużył oczy, gładził wąsy, potem rzekł:

— Cieszę się bardzo, że Irenka jest taka, jaka jest. A pana Podkówkę uważam za wyborowego nauczyciela, od czasu kiedy poweselał.

Ciotka Amelia zmieniła się w słup soli, a w ciotkę Barbarę uderzył bezgłośny i zimny piorun. Jej pierwszej wróciła przytomność; coś jej zaskrzypiało w szczękach, kiedy rzekła:

— Nas tak nie wychowywano!

— Otóż to, otóż to! — śmiał się pan Borowski. — Gdybyście przed stu czy iluś tam laty robiły to, co ona, byłybyście do dziś młode i wesołe! Nie chcę, aby z Irenki zrobił się dziwoląg.

Amelia spojrzała na Barbarę, a Barbara na Amelię z niemym pytaniem, czy któraś z nich wie, co to znaczy „dziwoląg”.

Pan Borowski objaśnił uprzejmie:

— Dziwolągiem jest cielę z dwiema głowami albo kura mająca trzy nogi. Lepiej wprawdzie jest mieć dwie głowy niż żadnej, ale najlepiej mieć jedną, byle uczciwą. Irenka ma jedną głowę w doskonałym porządku, a serce cudowne. A wy co?

— Och! Och! — wykrzyknęły ciotki po raz pierwszy w życiu zgodnie.

— Irenka — mówił nielitościwie pan Borowski — nie da sobie napluć w kaszę, sama się obroni i da sobie w życiu radę. Nie nosi wprawdzie gorsetu, opalona jest jak Cygan i je razowy chleb... Ale co to wam szkodzi, że dziecko jest jasne, radosne i silne? Niech sobie taka będzie! Ziemia ją żywi, a ona ją za to kocha jak wesoły ptak. Uwielbiam za to tego smarkacza i rzecz skończona. A co się tyczy pana Podkówki... To, czy on smutny czy wesoły, to jego sprawa. Daj mu, Panie Boże, zdrowie. I tyle. A teraz, drogie ciotki, w tył zwrot i do widzenia! No! No! Tylko spokojnie! Jeśli któraś zemdleje, to ją każę oblać wodą.

Żadna z nich nie zemdleła; wypłynęły z pokoju pana Borowskiego jak dwie gradowe chmury. Za drzwiami ciotka Amelia westchnęła, jak gdyby jej wsadzono w serce nie nóż, lecz korkociąg, a ciotka Barbara splunęła na wspaniałą odległość.

<sup>47</sup>Dawid przed Arką — Dawid (ok. 1040–970 p.n.e.), biblijny król Izraela, poeta i pieśniarz, ok. 1000 r. p.n.e. sprowadził do Jerozolimy Arkę Przymierza, przed którą miał według legendy tańczyć dla Boga. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>deputacja (daw.) — delegacja. [przypis edytorski]

— Wszyscy powariowali w tym domu! — krzyknęła Barbara do ucha babki. — Pan Borowski też...

— Borowski? — uradowała się babka. — Czekaj no! Ależ tak! Znałam go, doskonale go znałam.

— A niechże babka przestanie wreszcie — jęknęła ciotka Amelia.

— Dobrze, zaraz ci opowiem dokładnie, ilu ja znałam Borowskich. Przede wszystkim...

Nagle uczyniło się pusto w pokoju, co niezłomną babkę zdumiało, ale nie bardzo. Długiego wywodu dokończyła sama dla siebie, mocno uradowana, że jeszcze się okazało, jako jednym Borowskim z tych, których znała, jest jakiś Borowski, który gdzieś blisko mieszka i którego dość często widuje.

W dwa dni później potępiona para (mistrz Podkówka i jego uczennica), ukończywszy lekcje, siedziała nad stawem, co wydymał swój połyskliwy brzuch i grzał się w słońcu. Paskudny pies Drab leżał obok i, łącząc przyjemne z pożytecznym, lewym okiem patrzył na śmiejącą się wodę, a prawym lypał w stronę żądną muchy. Irenka zanurzyła długie nogi w wodzie, mając trochę nadziei, że jakiś głupszy cokolwiek rak do jednej z nich się przyczepi. A pan Podkówka, mile rozmarzony, ścigał oczami obłoki, których dotąd nigdy nie widział, bo bardzo niedawno odkrył niebo.

— Boże! Jakie to piękne — mówił cicho. — Panu Bogu powinno się przede wszystkim dziękować za to, że nam dał oczy. Ja nigdy dotąd z tak bliska nie oglądałem nieba.

— Czemu, proszę pana, przecież niebo jest wszędzie?

Pan Podkówka zaśmiał się cicho.

— Wszędzie? Niestety, nie zawsze. Ja w moim życiu nie widziałem go zbyt często. Mieszkaliśmy w takim podziemi, skąd nie było widać nawet błękitnego skrawka, bo mój ojciec, Irenko, był szewcem. I to nie takim szewcem, co szyje nowe buty: latał tylko stare, takie beznadziejne, na nic schodzone. To też był cud, że mogliśmy mieszkać chociaż w tym podziemi. Strasznie tam było mokro. Ze ścian lało się i z oczów ludzkich też się lało...

— Nie rozumiem.

— To jasne. Moja matka płakała nad nami, a nas było siedmioro. I my często płakaliśmy dlatego tylko, że ona nad nami płacze. Ciężko było...

— I długo tak?

— Potem było przestronniej, bo ojciec biedaczyna umarł i troje dzieci umarło. Chcieli nas usunąć z tej piwnicy, bo nie było czym płacić, ale matczyśko zaczęło tak harować, żeśmy się jakoś utrzymali. Irenka nie ma pojęcia, jak matka potrafi pracować, aby dzieci nie pomarły z głodu. Myślałem sobie, że Pan Bóg, kiedy na to patrzy, to musi mieć łzy w oczach... O czwartej rano w zimie ona już stała przy balii. Ja to widziałem, bo też w tym czasie zaczynałem się uczyć. Na ścianach był szron, a zimno było takie, że kiedy chciałem odwrócić kartkę książki, nie mogłem tego uczynić, takie miałem zgrabiałe palce. I jakoś się wyżyło.

— Mój Boże! — szepnęła Irenka cichutko.

— Dlatego nie widziałem często nieba — mówił spokojnym głosem pan Podkówka. — Kiedy wychodziłem z tej stęchłej nory, nie miałem czasu na przyglądanie się obłokom. Biegłem, czym prędzej biegłem, aby zdążyć na drugi koniec miasta na korepetycje. Stamtąd z powrotem, tu, tam, do szkoły, znowu na lekcje. A kiedy wracałem do domu, była już noc. Wtedy oni, biedacy, jedli to, co ja przyniosłem.

— A pan?

— A ja leciałem z nóg i spałem, spałem. Ale teraz to nam wszystkim lepiej — dodał wesoło i pokazał zęby w uśmiechu. — Teraz to sobie moja matka żyje jak hrabina, bo siostry szyją, a ja posyłam flotę<sup>49</sup>. Za rok, za dwa kimś już będę i zacznę się życie. Moja starowina, kiedy o tym mówi, to płacze. To takie dziwne! Biedota płacze, kiedy się martwi, a kiedy się cieszy, płacze tym rzewniej. Dokład pamięć moja sięga, widzę tylko łzy i łzy. Teraz niech sobie popłakuje, bo jej to sprawia przyjemność, byle nie płakała ze zgryzoty...

— Proszę pana!

— Co takiego, panno Irenko?

Kondycja ludzka, Pozycja społeczna, Bieda

Łzy

<sup>49</sup>flota (pot.) — tu: pieniądze. [przypis edytorski]

— Kiedy pan będzie pisał do matki, niech ją pan serdecznie ode mnie pozdrowi... Niech ją pan ucałuje...

— Masz tobie — zaśmiał się Podkówka — będzie z rozczulenia popłakiwała ze trzy dni.

Irenka, której oczy stały się wilgotne, roześmiała się w głos, bo Podkówka śmiał się szczęśliwie. Tak bardzo ucieszył się, że usiadłszy nagle na brzegu, wetknął obute nogi w wodę i wtedy dopiero ryknął z radości i zawył tak przedziwnie, że ptaki zerwały się z wody.

— Irenka — wykrzykiwał — jest to panna z mokrą głową, a ja jestem wariat z mokrymi nogami!

W tej chwili Drab zawarczał ostrzegawczo.

— Ciotki idą! — rzekła Irenka.

Obie muzy, wymieniając między sobą głuche milczenie, niosły swoją rozgoryczoną hańbę na pola i łąki. W jednej i drugiej odbywało się coś dziwnego. Spojrzały na Irenkę, potem na Podkówkę boleśnie i nieskończenie smutno — i poszły dalej.

— Tak, to ciotki — szepnął Podkówka — dobre to kobiety, tylko jakieś takie... Ja także miałem taką ciotkę, co była ni w pięć, ni w dziewięć. Kiedy była trzeźwa, to ją można było do rany przyłożyć, ale kiedy sobie podpiła, włożyła na szafę i godzinami śpiewała. Bieda była z tym, że prawie nigdy nie zlażyła z szafy. Aż raz zleciała z niej na głowę i oddała Bogu ducha. Jak się trafi taka pomyłona ciotka, to nie daj Boże! Na co Irenka tak pilnie patrzy?

Coś niezwykłego musiało stać się w pobliżu, skoro Irenka miała wyraz niebotycznie zdziwiony.

— Niech pan patrzy! Niech pan patrzy! — krzyknęła.

Pan Podkówka obejrzał się i postawił oczy w słup. W niewielkiej odległości ciotka Amelia, zdjawszy pantofle i pończochy, zanurzyła cienkie, patykowate nogi w wodzie i przyskała nią wesoło, a ciotka Barbara wyprawiała opodal dzikie skoki w górę i w dół, wydając przeraźliwie radosne okrzyki. Czasem się zdarzy, że dostojny żuraw, kiedy mu jakaś oćma<sup>50</sup> padnie na bystry rozum, zaczyna podskakiwać i płasć — prędzej jednak można było uwierzyć, że nieboszczyk zacznie tańczyć z własną trumną, niż ciotka Barbara zatańczy nad zdumioną wodą.

Po krótkiej chwili zdziwienia Irenka pobiegła do domu i wpadła do ojca.

— Tatusiu! Ciotkom coś się stało!

Pan Borowski spojrział przez okno i gdyby nie był chwycił się biurka, byłby upadł — tak się zatoczył ze śmiechu.

— To twoja szkoła. Ratujcie mnie, bo pękne! Powiedziałem ciotkom, że byłyby do dziś młode, gdyby... Idź, zatrzymaj ciotkę Barbarę, bo się zatchnie<sup>51</sup>!

Nie trzeba było ciotki zatrzymywać, bo jak derwisz<sup>52</sup> tańczący, okręciwszy się tysiąc razy, pada na ziemię, tak i ona legła na pachnącej trawie. Zatrzymały się przerażone obłoki, a wiatr nie śmiał odetchnąć. Cała przyroda wybałuszyła swoje wielkie, niebieskie oczy, widząc ten szal radosny i piękny. Jeden tylko przedstawiciel natury, pies Drab, zaczął wyc nie rozumnie. Albowiem nigdy nie wiadomo, co strzeli psu do głowy.

Ciotka Amelia, która nieznacznego jedynie dokonała bohaterstwa, patrzyła na czyn ciotki Barbary z nieukrywaną zawiścią, kiedy zaś na jej niewinnym obliczu ujrzała nieśmiały jak jutrzeńka rumieniec, serce zabiło w niej gwałtownie na widok tego cudu. Pan Borowski jednak miał rację i ta mała wietrzniczka, Irenka, wie dobrze, co robi, stając na głowie i burząc swoją krew. Ciotka Amelia przysięgła sobie bezszelestnie, drżeniem warg zaledwie, że kiedy nikt tego widzieć nie będzie, wykona taniec, jakiego świat nie widział.

Irenka nie chępiła się<sup>53</sup> swoim zwycięstwem. Ucieszyła się, widząc, że i ciotki chcą sobie trochę poskakać, co mogło mieć ogromny wpływ na zmianę octu ich usposobień w złote wino radości, a co ważniejsze, na zmianę ich stosunku do niej. Jeżeli ciotki będą miały „mokre głowy”, mniej będzie gadania o jej głowie, słynnie mokrej i niewysychającej

Przemiana

<sup>50</sup>oćma (daw.) — mrok, ciemność. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>zatchnąć się (daw.) — udławić się, udusić się. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>derwisz — muzułmański żebrak wędrowny. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>chępić się (daw.) — chwalić się. [przypis edytorski]

w największym słońcu. Wszystko przemawiało za tym, że ciotki odmłodnieją, zaczęły bowiem z pasją uprawiać sporty i żyć w zgodzie z przyrodą.

— Na Boga! Żeby tylko nie zaczęły łązić po drzewach! — mówiła przestraszona matka Irenki.

Tak wysoko jednak nie mierzyła nagle ciotek odmiana. Wody i koni bały się zawsze, lecz goniły radosną młodzież po polach i łąkach, a kiedy czasem, brnąc przez paprocie leśne, zaczęły hukać i przekomarzać się z ptakami, poczciwi ludzie żegnali się znakiem krzyża świętego, w każdej chwili gotowi do ucieczki, gdyby poczciwe stare panny nagle zaczęły lecieć przez powietrze.

Wreszcie jednak stało się coś, czego nigdy nikt przewidzieć nie mógł. Ciotka Amelia chodziła przez kilka dni błada i wzdychająca, rozmawiała sama ze sobą wierszem i wazyła coś w sercu jak na czulej wadze. Aż jednego dnia stanęła przed zgromadzeniem powszechnym i rzekła donośnie:

— Niech się dzieje wola boska. Wyrzuciłam gorset!

Krzyk podniósł się tak wielki, że dotarł aż do babki.

— Kto umarł? — spytała babka, przestraszona.

Kiedy jej wytłumaczono, skąd ten zgiełk pochodzi, babka najpierw zmartwiała, a potem machnęła ręką.

— Ona jeszcze za mąż pójdzie! Wstyd i hańba... Jak możesz pokazywać się bez gorsetu?

— Nikt tego paskudztwa już nie nosi! — krzyknęła ciotka Barbara głosem potężnym królowej Amazonek<sup>54</sup>.

— Jak to nikt? — odgrzmiała jej babka. — Ja noszę!

Wszyscy zdumieli się. Od paru dni babka miała dziewięćdziesiąt lat. Straszliwe rzeczy dzieją się na świecie, a nikt o tym nie wie. Piekielna tajemnica łagodnej babki odebrała wszystkim mowę na czas dłuższy, a ona tymczasem wyszła, groźna nad podziw i rozsierzdzona.

Wtedy dopiero szepnęła Irenka do pana Podkówki:

— Trzeba będzie teraz nawrócić babkę.

Pomimo tego zgrzytu radość była powszechna z powodu dzielnego postępu ciotki Amelii, na którą z kolei ciotka Barbara patrzyła z zazdrością, sama bowiem niczego z siebie zdjąć nie mogła. Z milczącym jednak poszanowaniem wysłuchiwała, jak wszyscy zresztą, pięknego, poetyckiego opisu tej niezapomnianej uroczystości, który boska Amelia wygłosiła tego wieczoru, kiedy dzień zagasnął, a cisza sprzyjała wzlotom ducha. Był to wiersz bardzo kunsztownie napisany, bo tylko na dwóch rymach oparty — jak kulawy na dwóch szczudłach. Biła z niego moc. Oparłszy ręce na grzbiecie krzesła, a oczy na pułapie, mówiła ciotka Amelia:

„Już godzin, już dni tych nie zliczę,  
Co w czasie zapadły odmęty,  
Gdyś ściskał me łono dziewicze.  
Dziś bądź przeklęty!

Ty w piersi tłumieś mej znicze  
I ogień gasiłeś w niej święty,  
W me słowa wlewałeś gorzycze.  
Dziś bądź przeklęty!

Do dzisiaj mnie trele słowicze  
I marne kuśliły ponęty,  
Lecz teraz jak burza zaryczę!!!  
Ty bądź przeklęty!”.

Poezja

<sup>54</sup>Amazonki — w mitologii greckiej plemię wojowniczych kobiet; miały one rzekomo usuwać dziewczętom pierś, bowiem przeszkadzała w używaniu łuku. [przypis edytorski]

Noc długo rozbrzmiewała gromowym echem tych słów. Wobec tego wrażenia Irenka nie powiedziała nikomu, tylko w największym sekrecie panu Podkówkę, że służebne dziewczęta, znalazłszy za oknem pancierz ciotki Amelii, długo rozmyślały, do czego ma służyć dziwna ta maszyna. Wiedzione jednak dobrym instynktem, zasznurowały w nią wreszcie cielę, podejrzane o to, że ma „opuszczenie żołądka” i wskutek tego odmawia spożycia pokarmów. A cielę do wieczora zdechło.

— Nie trzeba tego mówić ciotce — szeptała Irenka.

— Pewnie, bo jej będzie wstyd — rzekł pan Podkówka.

— Ej, nie to! — rzekła Irenka. — Tylko że napisze wiersz na śmierć tego cielęcia.

## V

Na czystym, lśniącym, zimowym niebie ukazała się chmurka i wlokła się powoli w stronę białego domu.

Pan Borowski długo chodził po pokoju, wreszcie kazał zawołać Irenkę.

— Moje dziecko — rzekł dobrym, ścisłym głosem — czy potrafiłabyś uczyć się sama?

Irenka odgadła wszystko od razu. Oczy jej bardziej jeszcze pociemniały i tak wyglądały, jakby na nie padła mgła.

— Ja potrafię — odpowiedziała — ale pan Podkówka ma bardzo biedną matkę.

Ojciec rozłożył ręce bolesnym ruchem i spojrzał na nią prosząco.

— Rozumiem — dodała Irenka spuszczać głowę. — Tatusiu!

— Co, moje dziecko?

— Czy nie ma żadnego sposobu?

— Rad bym z całego serca, ale nie mogę, córeczko, nie mogę!

— A czy może on zostać jeszcze przez święta?

— Oczywiście, oczywiście! — odpowiedział ojciec pośpiesznie. — Po świętach dopiero powiem mu o tym. Żal mi go tak, że wypowiedzieć tego nie mogę...

— Ja wiem, tatusiu.

Irenka tak przygasała, że wszyscy patrzyli na nią z niepokojem. Jeden pan Borowski wiedział, czemu dziewczyna spogląda smutno na pana Podkówkę, kiedy chłopczyśko patrzy w inną stronę, i nagle uśmiecha się, kiedy na nią spojrzy. Pan Podkówka w wybor-nym był humorze. Posłał matce opłatek i wszystkie zaoszczędzone pieniądze. Rozpierała go radość i nadmiar ciała, gdyż wspaniale odkarmił się w tym domu — jeżeli jeden guzik przy kamizelce pękał od naporu radości, drugiemu za to groziło to samo z przyczyn bardziej materialnych. Potężnie śpiewał kolędy w dzień Bożego Narodzenia i wybornie uczcił Pana Boga. Ciotki patrzyły na niego łaskawie, z wdzięcznym pobłażaniem dla rozigranej młodości.

Kiedy zaś w kilka dni po świętach pan Borowski wezwał go na dłuższą rozmowę, Irenka usiadła w kącie i nieruchomym wzrokiem patrzyła, jak się za oknami miota wichura. Dobry pan Podkówka zginie w niej niedługo, uniesiony daleko jak liść. Wyszedł on z gabinetu pana Borowskiego błady i ze śladem łez w pocziwych, mrużących się oczach. Nie to go bolało, że traci posadę, lecz że musi odejść z tego domu, gdzie mu było tak nieskończenie dobrze, gdzie było kilkoro ludzi dziwacznych, lecz wszyscy niewypowiedzianie zacni. A najbardziej, najserdeczniej było mu żal tej cudownej dziewczyny, co go nauczyła śmiechu, radości i młodości. Rozumiał racje pana Borowskiego i żegnał się z nim, rzuciwszy mu się w ramiona. A jednak krzywda mu się wielka stała, że tej ślicznej duszyczki, tak czystej jak nigdy niezmaczone źródło i tak prawej jak sama prawość, nie będzie już oświecał i nie będzie jej już pokazywał tych dali, które zaledwie przed nią zamajaczyły. Dlatego miał ciężkie łzy w oczach.

— Niech się pan na nas nie gniewa — zaszemrał głos z kąta.

Pan Podkówka odwrócił się szybko i ujrzał skurczoną na fotelu Irenkę.

— Irenko droga — rzekł dziwaczny głosem — ja będę za was modlić się przez całe życie... Tacy jesteście dobrzy. A za ciebie, dziecinko, będę modlić się najgoręcej. Ech, co tam! Po co my o tym gadamy? Wszystkim ciężko, więc dlaczego mnie ma być lżej? Ja już umiem cieszyć się, a przedtem tego nie potrafiłem. Co tam! Było nie było... Jeszcze się w życiu spotkamy. Głowa do góry i śmiejmy się! Ha!

Rozstanie, Smutek

Po czym rozplakał się jak dziecko i uciekł z pokoju.

Żegnali go wszyscy jak kogoś bardzo bliskiego. Pani Borowska ucałowała go serdecznie, jak biednego brata uściskał pan Borowski. Ciotka Amelia spłakała się uczciwie, a ciotka Barbara objęła go mocnymi ramionami i dławiąc swój wstyd dziewiczy, ucałowała go w czoło. Biedny Podkówka miał wrażenie, że ktoś mu z bicia trzasnął nad głową. Potem poszedł żegnać się do babki.

— Witam pana, witam! — krzyknęła babka wesoło.

— Ja, proszę pani, przyszedłem się pożegnać.

— Jak to „pożegnać”? A czy pan tu był?

— Prawie przez dwa lata — huknął pan Podkówka.

— To dziwne! — krzyknęła babka. — Nigdy pana nie widziałam...

Irenka sama powoziła, odwożąc go na stację kolejową. Dzień był piękny, świat wyglądał tak jasno jak chałupa wybielona na święto. Czasem patrzyła spod oka na swojego nauczyciela, co zachłannym, głodnym wzrokiem ogarniał niebo i las, i pola śpiące pod pierzyną śniegów. Chciał to wszystko zabrać w mroźnym, błękitnym wspomnieniu do miasta, w którym tylko najwyższa wieża ogląda czasem te cuda z daleka. Irenka, którą kochał najwięcej po matce, obiecała, że jeśli będzie kiedyś w Warszawie, natychmiast da mu o tym znać. Jeszcze się z nią nie pożegnał, a już myślał o tym radosnym spotkaniu. Patrzył na nią i mówił do siebie: „Jak to być może, aby takie małeństwo mogło wszystkich dokoła nauczyć radości? Gdyby nie ona, smutno byłoby w białym domu. Biedny pan Borowski wtedy tylko śmieje się, kiedy ją widzi i słyszy. Ja byłem jak drąg, aż za jej sprawą coś odmieniło się we mnie. Ona nawet o matce mojej pamięta... Wielka sztuka! Ona o wszystkim pamięta. Mocna dziewczyna! Płakać się jej chce w tej chwili, a do mnie uśmiecha się, aby mnie nie było smutno. «Panna z mokrą głową»! Jasno byłoby na świecie, gdyby wszystkie panny były takie. Dobrze, dobrze dziecko... Niech ci Bóg błogosławi!”.

Nie umiał tego wszystkiego powiedzieć przy pożegnaniu, bo go ścisnęło coś za grdykę. Coś tam zaczął bąkać, a ona też. Wreszcie rzucili się sobie w objęcia. Pan Podkówka płakał, jak gdyby miał cztery lata, a Irenka przypominała sobie najlepsze czasy. Dawno już, dawno nie wylała tylu łez, ile ich wylała w tej chwili, w intencji swego dobrego towarzysza, wesołego pana Podkówki.

— Psiakość! — krzyknęła nagle. — Byłabym zapomniała.

Pobiegła do sanek i odwiązała przytroczony z tyłu tobół.

— Niech pan to zabierze do wagonu — rzekła szybko.

— A co to jest?

— To nie dla pana, to dla pańskiej matki.

Potem stała długo jeszcze, chociaż dał zaśnieżona polkneła pociąg jak gąsienicę.

Nazajutrz zwołała na radę obie ciotki: wyglądało to tak, jak gdyby młody jastrząb wezwał na konferencję dwie zastrachane kuropatwy. Ciotki, nie wiedząc nic o sprawach tego świata, były przerażone, dowiedziawszy się, że pan Podkówka był ofiarą oszczędnościowych konieczności i że nawet taka nieznaczna pozycja, jak jego płaca, musiała zaważyć na okrojonym budżecie. Wszechwiedząca Irenka tłumaczyła im jasno, w sposób najbardziej przystępny, że im krowa jest chudsza i im mniej dostaje pożywienia, tym mniej daje mleka. Ten ostatek ziemi, przy którym utrzymać się zdołał pan Borowski, był krową bardzo chudą. Coraz więcej było skóry i kości, a coraz mniej krowy. Irenka wie o tym dobrze. Wszyscy myślą, że ona dlatego napęłnia dom cały graniem i śpiewaniem, że ma pstro w głowie. A to nieprawda. Ona pragnie, aby matka zapomniała o tym wszystkim, co trapi ojca, a ojciec — żeby chociaż raz jeden uśmiechnął się w ciągu dwudziestu czterech godzin. Kiedy bowiem jest sam, nigdy się nie uśmiecha. Czasem głowę rękami obejmie, oprze łokcie o stół i godzinami tak siedzi, nieruchomy. Ciotki o tym nie wiedzą, nikt o tym nie wie, ale ona wie. Płacić trzeba wciąż i wciąż, a nie ma z czego. Czy ciotki widziały, że we włosach pana Borowskiego pokazały się siwe pasma, jak gdyby był we młynie i obsypała go mąka? Niech się przyjrzą. On ciągle jest w młynie, w którym troška miele zgryzotę. A nocą czasem chodzi długo po pokoju, co można słyszeć doskonale. Jak gdyby pielgrzymkę odprawiał. Po takiej nocy nieodmiennie przyjeżdża ten chudy, smętny pan z czarną teką i długo rozmawia z panem Borowskim. Irenka wie doskonale, kiedy ten pan ma się zjawić.

Bieda, Rozpacz

— Czy ciocie sądzą — mówiła zamyślona — że tatuś byłby odprawił pana Podkówkę, gdyby nie musiał?

— Boże, Boże, co to będzie? — westchnęła ciotka Amelia. — Poradź, Irenko! Ty wszystko wiesz.

Irenka nie wiedziała, jak pomóc biednemu ojcu. Myślała długo, potem rzekła:

— Tylko nie płaczmy, bo tatusiowi będzie przykro. Cóż my możemy poradzić?

Ciotki jednak cichutko szwargotały<sup>55</sup> przez pół nocy, rozchodziły się i znowu do siebie wzajemnie powracały. Szeptaly o jakichś sprawach, bardzo ważnych i smutnych zarazem, bo często ciche słychać było westchnienia, jak gdyby ktoś niewinnego ptaszka za gardziółko dławił. Wszystkie gniewy, octy i kwasy wsiąkły w noc jak w niezmierną gąbkę, a w dobrych ciotczyńnych sercach, jak czysta woda w źródłkach, zaczęła bulgotać słodycz i tklivość. Rano zapukały nieśmiało do pana Borowskiego, który zatrwożył się, widząc na ich twarzach niezwykłą powagę. Zdawało mu się w pierwszej chwili, że się pomylił i że to nie ciotki przed nim stoją, bo w oczach miały tyle wzruszenia, że padał z nich lekki, perłowy blask na twarze i dokonał najdziwniejszej przemiany: ciotki były niemal piękne.

Dygnęły obie jednocześnie, następnie Amelia zaczęła mówić, a Barbara potwierdzała prawdę każdego jej słowa skinieniem głowy, nie pomijając oddania niemej czci wszystkim zaimkom i przyimkom. Kiedy Amelii brakło słowa, Barbara zatrzymywała ruch głowy w połowie i znowu zaczynała nią kiwać, kiedy Amelia znalazła słowo na dnie duszy jak kamień na dnie jeziora.

Amelia mówiła wzruszona:

— Od osoby godnej zaufania dowiedzieliśmy się, że kochanemu kuzynowi jest bardzo ciężko. Żli ludzie nastają na kuzyna i zatruwają mu życie. Osoba ta, godna zaufania, powiedziała nam, że kuzyn martwi się po nocach i nie sypia. O, niech kochany kuzyn nie przerywa... Barbara i ja bardzo wzięłyśmy to do serca. My wiemy, że jesteśmy ciężarem... Niech kuzyn nie przeczy! Biedne, stare panny... (W tym miejscu zadławiło coś zaczął ciotkę Amelię, a zaczęła ciotka Barbara wstrzymała ruch głowy). Tak, nie wstydę się tego powiedzieć! Otóż my, biedne stare panny, korzystamy z dobroci drogiego kuzyna... A kuzynowi ciężko... Postanowiliśmy więc uczynić, co w naszej mocy, aby w tych złych dniach ulżyć kuzynowi... Niech to kuzyn weźmie... To same drobnostki, mało warte... A chusteczkę ofiarowała babcia... Ale może przydadzą się choć na spędzenie jednej troski... Basiu, daj kuzynowi to, o czym wiesz...

Pan Borowski patrzył i słuchał zdumiony. Barbara sięgnęła za gors<sup>56</sup> i wydobywszy małe zawiniątko, z jedwabnej uczynione chusteczki, starej i wystrzępionej, położyła je na stole nieśmiało, miękkim ruchem.

— Na Boga! Co to znaczy? — pytał z wielkim zakłopotaniem pan Borowski.

One nic nie odpowiedziały, tylko spłonęły lekkim, lecz bardzo szczęśliwym rumieńcem; więc odwinął brzegi starej chusteczki jak płatki zwiędłej róży. I nagle pochylił głowę, jak gdyby chciał ukryć swoje oczy, bo nie lubił, aby ktoś widział jego wzruszenie. Patrzył na niego jednym turkusowym okiem mizerny, paniński pierścionelek, zaczerwienił się blade sznurek koralików; wśród skarbów tych była i ogromna broszka z wyobrażeniem pięknej głowy młodego neapolitańczyka, i srebrna, własną puchą wydęta bransoletka; a wśród tego szumu tykał wesoło mały zegarek, który niegdyś strojnisi przypinały sobie na piersi — jak medal dany im przez Cza za waleczność wielu smutnych dni. Pan Borowski dotykał wszystkiego po kolei, a widać było, że ręce mu drżały. Popatrzył potem długim i wilgotnym spojrzeniem na wzruszone twarze ciotek. W tej chwili obie znowu były piękne.

Mówił cicho:

— Ja tego przyjąć nie mogę... Jesteście bardzo, bardzo zacne, ale ja tego nie wezmę. „Osoba godna zaufania” przesadziła, opowiadając wam niestworzone rzeczy... To jeszcze nie powód, abym was obdzierał z ostatnich skarbów... Moje drogie panienki! Zabierzcie to wszystko... Niech chęć starczy za uczynek... A wam to tylko powiem, że jak długo ja będę miał kawałek chleba, to się nim z wami z całą radością podzielę. A teraz tym bardziej... Wiedziałem, że jesteście dobre, ale nie przypuszczałem, żeby aż tak... No, no!

<sup>55</sup>szwargotać (pot.) — mówić w języku nieznanym lub nie lubianym. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>gors — tu: dekolt sukienki. [przypis edytorski]

Dar, Dobro

Tylko bez łez! Trochę mi ciężko, ale nie bardzo tak jeszcze. Niech wam to jednak Bóg pamięta... Ja nigdy nie zapomnę... Nigdy...

Owinął skarby w chusteczkę i podał zawiniątko Barbarze. Lecz ona jedną ręką natychmiast otarła łzy, a drugą wyciągnęła przed siebie tragicznym ruchem.

— Przysięgaliśmy sobie — zawołała gromko. — My tego z powrotem nie weźmiemy!

Pan Borowski, widząc ten gwałtowny wybuch, zwrócił się do Amelii; ta jednak dodała niezłomnie:

— Jeśli kuzyn tego nie przyjmie, rzucimy to w wodę!

Pan Borowski ważył w ręku ten sierocy skarb pokornych, jak gdyby ważył dwa ludzkie serca. Zrozumiał, że większą im krzywdę uczyni, jeśli nie przyjmie tego daru, niż wtedy, kiedy go zatrzyma.

— Dobrze — rzekł — przyjmuję!

Im twarze pokraśniały i zjawił się na nich uśmiech: jesienny, słodki uśmiech. Dygnęły uroczyście i zwróciły się ku drzwiom.

— Jeszcze chwilę, moje kochane — rzekł pan Borowski. — Ta „osoba godna zaufania” to Irenka, nieprawdaż?

Jedna ciotka spojrzała na drugą i odpowiedziały równocześnie:

— Tego nikt się nie dowie!

Pan Borowski wiedział jednak, że to Irenka. Bynajmniej go to nie zdziwiło, niepomiernie za to zdziwiły się ciotki.

— Skąd on to mógł tak od razu wiedzieć, że rozmawialiśmy z Irenką? — mówiła Amelia do Barbary.

— Rozumny człowiek! — rzekła Barbara z uznaniem.

Były zadowolone z siebie i szczęśliwe; zwiędłe serca, zbudzone przyływem gorącej fali krwi, śpiewały w nich jak ptaki o świcie. Patrzyły z radosną dumą na boży świat, a Amelia, dusza tkliwa i napełniona poezją, czuła najwyraźniej, że u jej ramion wyrastają skrzydła.

Pan Borowski przyjrzał się raz jeszcze rozrzuconym wzrokiem biednym ich bogactwom, westchnął ciężko i położył je na biurku. W tej chwili usłyszał za oknami wojenną wrzawę Irenki, która pochylona nad kopczykiem, uczynionym ze zgarniętego śniegu, wydawała krótkie, urywane wrzaski, a jej obłąkany pies rozrzucał śnieg mocnymi łapami. Pan Borowski zastukał palcami w szybę i dał znak, aby natychmiast przyszła do niego. Irenka kiwnęła głową, że rozumie; potem, spojrzawszy na kopczyk śniegu, zaczęła drapać się w głowę. Przez krótką chwilę patrzyła niepewnym wzrokiem w stronę domu, wreszcie krzyknąwszy psu jakieś tajemne rozkazy, pobiegła do pokoju ojca.

Wpadła zadyszana, oszroniona, obsypana śniegiem i mówiła szybko:

— Jestem, tatusiu! Niech tatuś mówi prędko, bo życie ludzkie jest w niebezpieczeństwie!

— Nie ludzkie życie, tylko twoja skóra jest w niebezpieczeństwie — rzekł ojciec; wymówił groźne te wyrazy, ale dość miękko. — Coś ty nagadała ciotkom?

— Ja? Ciotkom? Może mi cośkolwiek się wymknęło, a ciotki robią zaraz ze wszystkiego historie. Ja już sobie z nimi pogadam!

— Wcale sobie z nimi nie pogadasz, bo wtedy ja z tobą pogadam. Czy wiesz, co zrobiły ciotki?

— Jak Boga kocham, nie wiem...

— Zawróciłaś zacytnym kobietom w głowie, nagadałaś im niestworzonych rzeczy... Czemu ty ciągle wyglądasz przez okno?

— Nic, nic... Niech tatuś mówi.

— Otóż pocziwe ciotki zebrały cały swój majątek... Irenko! Mówię do ciebie, patrz mi w oczy, nie w okno!... Ten cały majątek: broszki, pierścionki i bransoletki, przyniosły do mnie, aby mnie poratować. To bardzo piękne, moje dziecko, ale niepotrzebne. Wezwałem cię, Irenko, aby ci o tym powiedzieć. Wiem, że kochasz te zacne kobiety, ale trzeba je kochać jeszcze więcej... Czy ten twój pies oszalał? Czego on tak wyje?...

— On ma swoje powody — rzekła Irenka z przekonaniem. — A ciotki będą bardzo, bardzo kochała.

— To dobrze. Widzisz to zawiniątko?

— Widzę.

— To cały ich majątek. Schowam go do tej szuflady wraz z karteczką, na której będzie napisane, że to ich własność. Kiedyś ja im to zwrócę albo ty. Będziesz pamiętać?

— Będę, ale ja już muszę iść.

— Poczekaj chwilę... Otóż twoim będzie obowiązkiem...

Pan Borowski nie dokończył, bo idąc za jej wzrokiem spojrzął za okno, gdzie się coś dziwnego odbywało. Przyjrzał się pilnie, zbliżywszy twarz do szyby, i ujrzał, że kopczyk śniegu usiłuje się poruszyć, a zwirowany pies rozgrzebuje go, przeraźliwie szczekając.

— Co tam się dzieje, Irenko?

Irenka odrzekła ze śmiertelną powagą:

— Podróżny zabłądził wśród zamieci i śnieg go zasypał. Ale ja i pies z Góry św. Bernarda<sup>57</sup> usiłujemy go ocalić.

Panu Borowskiemu zaczęło coś świtać w głowie.

— Na Boga! Jaki podróżny?

— To Jasia zasypało — odrzekła smutno Irenka.

— Ależ on się udusi! — krzyknął ojciec.

— Bardzo możliwe, jakoś przestał się ruszać. Gdyby tatuś mnie nie był zawołał...

Pan Borowski już tego nie słyszał, bo wybiegł w największym pośpiechu i po chwili odgrzebywał swego syna spod sterty śniegu. Można było osądzić na oko, że w sam czas, bo lekkomyślny podróżny ledwie zipał. Ojciec ujął go w ramiona i czym prędzej zaniósł do pokoju, gdzie zapobiegliwe starania przywróciły mu życie i zdolność myślenia, która była bliska zamarznięcia. Jaś spojrzął przerażonym wzrokiem i teraz dopiero zrozumiał, że swoją krzywdę, już otwarte usta jak wrota wielkiego i tłustego miasta, aby ją ojcu i całemu ośnieżonemu światu ogłosić przeraźliwym krzykiem. W tej chwili jednak spotkał się z roziskrzonym wzrokiem Irenki i ostatnim wysiłkiem wtłoczył krzyk z powrotem do brzucha.

— Kto cię zakopał w śniegu? — pytał ojciec groźnie.

Odpowiedź na pytanie była łatwa, bo zbyt oczywista, wobec czego Jaś zwrócił głowę w stronę Irenki, lecz od razu wyczytał w jej oczach, że jeśli nie okaże się raz w życiu bohaterem, zginie w mękach, będzie łamany kołem, obłany naftą i podpalony od strony głowy.

— Ja sam! — odrzekł niepewnie.

Pan Borowski uśmiechnął się niewidocznie.

— Jeżeli zakopałeś się sam, nie ma o czym gadać. Ale jeśli jeszcze raz sam się zakopiesz, sam się też będziesz ratował. Rozumiesz?

— Irenka mnie zawsze wyratuje! — odrzekł pędrak z głębokim przekonaniem. — I Drab też.

— Drab? Dobrze, żeś mi przypomniał tego powsinogę. Irenko, gdzie jest pies?

Irenka rozłożyła beładnie ręce i wierzgnęła równocześnie lewą nogą, aby na wypadek, gdyby Drab wlaźł za całym towarzystwem do pokoju, wtłoczyć go pod kanapę. Okazało się jednak, że mądry pies zwał przezornie na samym początku awantury, słusznie rozumując, że jeżeli pan Borowski wmieszał się do zabawy, w takim razie cała sprawa nie była zupełnie czysta. Ukazał się na widowni dopiero nazajutrz, zapytując Irenkę wzrokiem, czy atmosfera jest już bezpieczna.

— Już można — mrugnęła na niego Irenka — ale za bardzo nie leż w oczy.

Do Jasia zaś powiedziała cicho:

— Pomyliłam się. Z ciebie, Jasiu, będą jeszcze ludzie. Jestem z ciebie zadowolona.

Żołnierz, któremu na polu bitwy wódz krzyż do piersi przypina, nie ma tak dumnej miny, jaką w tej chwili miał tłusty i różowy Jaś. Od dawna już wiedział, że dobre stosunki z Irenką, chociaż grożą czasem skręceniem karku w porze letniej, a uduszeniem w zimie, są jednak cenne i zajmujące. Byłby też poszedł za nią na śmierć, gdyby wiedział, jak to się robi, i stroił miny zuchwałe i bohaterskie. Przysiągłszy, że wiernie dochowa tajemnicy, chociażby go wbijano na pał, coraz częściej brał udział w wyprawach niebezpiecznych i krew w żyłach mrozących, bo od wielu dni był mróz. Czasem z wielkiego strachu zamykał oczy, ale szedł na zatracenie na ciemny strych, gdzie w każdym załamaniu dachu

<sup>57</sup>pies św. Bernarda a. bernardyn — rasa psa z grupy molosów, wyhodowana przez szwajcarskich mnichów; psy te często używane są w ratownictwie górskim. [przypis edytorski]

mieszkało widmo, a obok komina grzały się zziębnięte upiory. Pani Borowska niepokoiła się, nasłuchując, jak Jaś przez sen wydaje okrzyki i mordercze głosy. Łatwo to jednak można było przypisać niestrawności, rzadko bowiem któryś ze znanych bohaterów objawiał taką potężną namietność do jedzenia. Była to słaba strona tej dzielnej duszy. Można było polegać na tym mężu, wiernym i coraz bardziej walecznym, lecz nie można było być pewnym, czy za placek ze śliwkami lub za marną miskę konfitur nie sprzeda wrogom twierdzy i najgłębszej nie zdradzi tajemnicy. Achilles<sup>58</sup> miał tajemnicę w pięcie, a Jaś w żołądku. Nieznające słabości serce Irenki często nad tym płakało, myśląc, że obżarstwo zeżre działalność tego łakomczucha.

Ona mogła wytrzymać głód i pragnienie. Zdrowa jak ryba, giętka jak leszczyna, zręczna jak sarna, a silna jak śliczne, drapieżne zwierzątko, miała w żywej pogardzie wszelkie słodocze i marcepany. Mogła jeść kapustę z konfiturami, lody z tłuczonym grochem albo suchy chleb. Okoliczne panienki — a dość było w sąsiedztwie tego tałatajstwa — blade i smutne jak kwiaty drżące przed chłodem, patrzyły zdumionymi oczyma na to dziwo, które w celu skrócenia sobie drogi skakało konno przez rowy i płoty, na tę dziką dziewczynę, co gdziekolwiek się znalazła, natychmiast obejmowała rządy, a nikomu przez myśl nie przeszło, aby mogło być inaczej. Czyniła to tak radośnie i z takim ujmującym wdziękiem, że nikt jej nie zazdrościł. Mogła wprowadzić pobić całe zgromadzenie, choćby najliczniejsze, ale zdarzało się to niezmiernie rzadko, nie było bowiem takiej potrzeby wobec powszechnego uznania jej duchowej wyższości.

Lubiła wszystko załatwiać sama, bez odwoływania się do cudzej pomocy, co zajmowało wiele czasu i wywoływało długie gadaniny, kiedy należało rozstrzygać szybko.

W jakiś tydzień po próbie uduszenia Janka w śnieżnym grobie Irenka, leżąc w łóżku, nasłuchiwała płacziwego opowiadania wichru o tym, że jest bardzo nieszczęśliwy. Cały dom spał, w ziemie bowiem wcześniej usypiał. Czasem gdzieś daleko we wsi zaszczekał smutno i niechętnie zziębnięty pies, jak gdyby ujadaniem chciał odstraszyć mróz cicho stąpający; czasem jęknęło drzewo, któremu wiatr usiłował wykręcić zgrabiałe ramiona. Pies Drab musiał być gdzieś na polowaniu, bo go już nie było wieczorem; inne psy zapewne zagrzebały się w sianie, machnąwszy łapą na wszystko w taki czas.

Nagle wydało się Irence, że słyszy jak gdyby brzęk szkła. Podniosła głowę i zaczęła nasłuchiwać. Nic nie słyhać, tylko wiatr. Znowu zabrzęczało cichutko, jakby ktoś wytłaczał szybę. Krążąc słuchem po wielkiej ciszy domu, Irenka doszła do przekonania, że coś dziwnego odbywa się w gabinecie ojca, naprzeciwko jej pokoju. W gabinecie tym nie było nic takiego, na co mógłby się zlakomić nocny złodziej. Gospodarskie książki, sarnie rogi, trochę broni i ciężkie meble. Nikt nie obłowiłby się wśród tego mizeractwa. Nigdy zresztą nie zdarzyło się, aby się złoczyńca zakradł do białego domu. Jeżeli jest przy zdrowych zmysłach, wie o tym zapewne, że pan Borowski pieniędzy nie ma i dlatego nigdy nie zamyka biurka — nawet na noc. Ach! W tej chwili jest tam w biurku po prawej stronie ułożony ubożuchny skarb ciotek. Nikt o nim nie wie, ale ten jakiś zropaczony człowiek, który usiłuje dostać się do gabinetu, znajdzie go i zabierze. Irenka drgnęła. Nie będzie nikogo budzić, bo ani nie starczy na to czasu, ani też nie chce przerazić matki i ciotek. Babka i tak nie usłyszy, ale inni się wystraszą. Nie dokończyła rozważań, a już była ubrana. Zapaliła świecę i osłaniając ją ręką, stanęła pod drzwiami gabinetu, nasłuchując. Tak, tam ktoś jest. Co zrobić? Jeśli wejdzie nagle, może narazić się na to, że ten ktoś rzuci się na nią i unieszkodliwi. Gdyby krzyknęła, rozbudzi cały dom, a nocny gość ucieknie. Myśli latały po jej głowie jak nietoperze — szybko i bezszelestnie. Wprawdzie nie lęka się, ale jest jej niemiło. A może myli się? Może się przesłyszała? To byłoby najlepsze. Strach pomyśleć, że tam ktoś kradnie. Jeśli był głodny, mógł przyjąć za dnia i nakarmiono by go, gdyż w tym domu nie odmówiono nikomu jeszcze chleba. Wiedziano o tym na dwadzieścia mil dokoła. To nie głodny, to ktoś inny.

Starąla uspokoić się i działać przezornie i mądrze. Odeszła cichutko od drzwi i nagle zaczęła powracać w to samo miejsce, cicho sobie podśpiewując, jak ktoś, co niczego nie podejrzewa i przypadkiem przechodzi. Ten ktoś, jeśli był w gabinecie ojca, musiał ją słyszeć. Odczekała krótką chwilę i chociaż serce w niej tłukło się jak ptak, otworzyła drzwi.

Złodziej

<sup>58</sup>Achilles — w mitologii greckiej heros, bohater wojny trojańskiej, prawie nieśmiertelny (jego jedynym słabym punktem była właśnie pięta). [przypis edytorski]

Weszła śmiało, jak gdyby na nic nie zwracając uwagi. Spłoszony szelest upewnił ją, że ktoś znajduje się w pokoju i że ukrył się szybko. Płomień świecy chwia się i zataczał. Irenka zdołała jednak dojrzeć kąciakiem oka, że wiszące na ścianie futro ojca nappełniło się czymś znacznie grubszym niż powietrze i jak gdyby znudziło mu się wisieć na gwoździu, postarało się o parę nóg, ciężko obutych, które próbowały nie zwracać niczyjej uwagi tak długo, aż niepożądana osoba ze świecą pójdzie tam, skąd przyszła. Nieruchome buty rozumiały, że ten cienki głos, tak spokojnie sobie nucący, nie przeczuwa ich obecności i nie należy się go obawiać.

Irenka najspokojniej w świetle zbliżyła się do biurka — ale baczna i czujna. Trochę ręce jej drżały, kiedy zwinnym ruchem zdjęła dubeltówkę ze ściany. Wymierzyła ją w futro, dotknąwszy go niemal lufą, i głosem, który wydał się jej straszliwy, krzyknęła:

— Wylaż pan!

Spoza futra wyjrzała zdumiona i przerażona głowa, mocno kudłata i bardzo nieprzyjemna. Spojrzały na nią rozbiegane, sprytnie oczy, badające przenikliwie sytuację. Błysnęły żywiej, ujrzawszy wysoką wprawdzie, lecz bardzo młodą dziewczynę; wnet jednak pociemniały, zrozumiałwszy, że dziewczyna jest tylko skromnym dodatkiem do strzelby, która wpiła w nie czarne oczodoły dwóch luf.

— Ręce do góry! — krzyknął groźny duch Irenki, ona sama bowiem nie mogła zakrzyknąć tak potężnie.

Spod futra wysunęła się powoli wielka ludzka bryła, z której można było wykroić ze dwóch ludzi mizerniejszej postawy. Podniosły się w górę dwie ręce, z których można było sporządzić konary dla młodego dębu. Zjawisko było groźne, cień bowiem tego człowieka rozpostarł się w ogromnym powiększeniu na ścianach i powale. Irencie zrobiło się cokolwiek słabo w okolicach żołądka, na co jednak jej serce nie zwróciło uwagi. Przez krótką chwilę chciała uciec, ale nie mogła udźwignąć nóg, które nagle stały się ciężkie i wyraźnie wrastały w podłogę.

„Boże drogi, co to będzie?“, pomyślała ciężko.

Nocny dryblas musiał zauważyć, że duch w niej zachwiał się, bowiem uczynił nagły ruch. Irenka cofnęła się w tej chwili o krok i podniosła strzelbę, mierząc wprost w szerokie jego piersi.

— Po coś tu przyszedł? — krzyknęła nagle zdławionym głosem.

— Zabłądziłem... — mruknął olbrzym. — Zimno było... Wszedłem przypadkiem...

— Przez okno?

— Zgrzeszyłem! Moja wina... Niech mnie panienka puści.

— Ani myślę!

— Przecież mnie panienka nie zastrzeli?

— Zastrzelę albo nie zastrzelę. Zaraz zbudzę cały dom!

— To i co? Pana Borowskiego w domu nie ma, tylko same baby.

— Jest, jest! Mój ojciec jest. A wyście myśleli, że go nie ma?

Gość spojrzał ciemno i stał się czujny.

— Ukradliście coś? — zapytała Irenka.

— Nie! Nie przyszedłem kraść... Wlażłem, to i wyleżę. Niech panienka strzelbą nie grozi. Pójdę sobie, i tyle...

— O Jezu! — krzyknęła nagle dziewczyna.

Wielki chłop, patrząc pilnie w jej oczy, spuścił nagle obie ręce jak cepy, zagarnął w nie strzelbę, usunął lufę od swojej piersi, wyrwał jej dubeltówkę z rąk i błyskawicznie w nią wymierzył.

— Teraz ty, gołąbko, odrobinę sobie postoisz. Rączki do góry! Dzielna pannica, nie ma co, ale jak krzykniesz, to dwa naboje wpakuję w ciebie. Nie będziesz krzyczeć? To dobrze! Mądra dziewczyna. Mówiłem ci już: ręce do góry!

Wtedy padł grom z jasnego nieba na kudłatą głowę opryszka. Irenka zaczęła się śmiać. Gdyby ten człowiek miał wyrobione, muzyczne ucho, byłby zauważył, że śmiech ten dziwnie przypomina suchy trzask kastanietów<sup>59</sup> albo metaliczne dzwonienie zębów o zęby.

— Głupi jesteś! — powiedziała nieswoim głosem. — Strzelba nie jest nabita. A ja tu mam na ścianie drugą.

<sup>59</sup>kastaniety — drewniany instrument perkusyjny. [przypis edytorski]

— Ach, ty czorcio! — zawyło wielkie chłopisko.

Odwrocił strzelbę, ujął rękoma za lufę, a kolbą zamierzył się na Irenkę, której po-  
ciemniało w oczach. W tej chwili załomotało straszliwie, bo strzelba wypaliła z obu luf.  
Irenka zachwiała się i krzyknęła przeraźliwie, a chłopem rzuciło o ścianę. Był tak zdumiony,  
że oczy postawił w ślup. Jakby nie rozumiejąc, co się stało, chwał w obie strony  
głową pełną huku i łoskotu, wreszcie, całkowicie ogłuszony, obejrzał się za siebie, jakby  
własnego tam szukając trupa.

— Tatusiu! — krzyknęła Irenka.

Pan Borowski stał w drzwiach z rewolwerem w ręku, nie mniej zdumiony niż kudłaty  
opryszek. Za nim w ciemnościach wstawały krzyki, narzekania i płacze, za oknami słychać  
było ujadanie psów i ostre gwizdy nocnego stróża, którego obudził huk z czujnej drzemki.

Gdzieś w oddali słychać było krzyk babki:

— Kto umarł? Powiedzcież mi wreszcie, kto umarł?

Kiedy nocnego gościa wyprowadzono w mocnym towarzystwie, Irenka rzuciła się  
z płaczem w ramiona ojca. Dziewczęce serce przeraziło się własnej odwagi.

— Tatusiu... — płakała cicho — ja już nigdy nie będę... To było straszne...

— Myślę sobie! — mruknął pan Borowski. — Strzelba ma dwie lufy.

## VI

Irenka była nieco zdziwiona, że ojciec nie tylko nie sławił jej bohaterstwa, ale raczej prze-  
raził się nim i dość chmurno o nim wspominał. Nią także silne wzruszenie wstrząsnęło  
zbyt gwałtownie. Noc miała niespokojną, a ile razy szafa trzasnęła, grzejąc się przy piecu,  
Irence zdawało się, że strzelają do niej ze stu strzelb, więc się zrywała w nagłym stra-  
chu. Nie mogła myśleć o tych ciężko obutych nogach przy ścianie i o kudłatej głowie,  
ukazującej się powoli. Była zadowolona, że kudłata głowa, wzięta pod straż na folwarku,  
okazała zdumiewający spryt i wysadziwszy drzwi, nieprzygotowane do roli drzwi wię-  
ziennych, uciekła przed świtem, zabrawszy na tułaczkę niewinnego prosiaka. Zawsze we  
dwóch ucieka się różnie.

Czujny i wierny pies Drab zjawił się w samą porę, w południe następnego dnia, zmę-  
czony jakąś zbrodniczą wyprawą. Można było przysiąc, że gdzieś w zaśnieżonym lesie  
jakiś stary zając płakał nad stratą żony, która zapadła się pod ziemię. Irenka spojrzała na  
swego psa z pogardą.

— Twoją panią chcieli zamordować — mówiła cierpkim głosem — a pana psa ani  
śladu. Jesteś podły pies. Nie rób takich głupich min, bo mnie nie oszukasz, zły, wstrętny  
zwierzaku.

Pies Drab tłumaczył się gęsto merdaniem ogona, pokazywaniem białych kłów i ci-  
chym skomleniem, że miał do załatwienia sprawy bardzo ważne i niecierpiące zwłoki.  
Tym razem nie udało się i pies popadł w niełaskę. Zrozumiawszy, że sprawa jest poważ-  
na i że żadne cygaństwo nie pomoże, podkułił ogon pod siebie i cicho łkając, przepadł  
gdzieś wśród zabudowań. Miał taką minę, jak gdyby chciał powiesić się na pierwszej  
suchej gałęzi. Szkoda, że pozory tak często mylą.

Tymczasem owa chmura, co tak niedawno narodziła się na błękitnym widnokręgu,  
zbliżała się, kierując swój lot nad biały dom, który silniej oparł się na swoich szczęci  
kolumnach, jak gdyby przeczuwając wstrząs i jakąś groźbę. Żle dzieć się zaczęło w tym  
domu. Troska była w nim już od dawna, a teraz, jakby zimowym wichrem przyniesiona,  
powiała po nim zgryzota. Matka Irenki, zawsze niedomagająca, z sercem chorym, nad  
którym ustawiczna wisiała groźba, rzadko kiedy wychodziła ze swego pokoju. Nie miała  
dość sił, aby wyjść z domu i pospacerować po ogrodzie. Babka była przy niej okazem  
zdrowia i tężyzny. Wciąż smutno zamyślona i gdzieś przed siebie bez celu patrząca, obej-  
mowała nieraz ramionami dwoje swoich dzieci i kurczowo tuliła je do siebie, jak gdyby  
usiłowała swoim wątłym, wymizerowanym ciałem zasłonić je przed czymś nieznanym,  
co czyha na nie, przyczaiwszy się w mrocznym kącie. Wtedy Irenka pilnie patrzyła w jej  
oczy, a matka odwracała nieznacznie twarz, aby jej dziecko nie widziało tego, co rodzic  
zawsze przed dzieckiem ukrywa: aby nie dostrzegło wielkich, ciepłych łez. Przed Irenką  
niczego ukryć nie było można. Irenka wiedziała. Wiedziała, że ta jej cichutka, schoro-  
wana matka zbiera wszystkie troski i zgryzoty całego domu i aby innym ulżyć, ukrywa

Pies

Matka, Miłość

je w swoim słabym sercu; że sama płacze, aby inni czasem uśmiechnąć się mogli. Tak bowiem od początku świata czyni każde serce matczyne.

Chociaż rzadko wychodziła ze swego pokoju, wiedziała o każdym drgnieniu domu i słyszała każdy w nim szmer. Często głuchą nocą podnosiła się z trudem z łóżka, cichutko podchodziła do posłania Irenki albo Jasia i pochylała się nad nim. Irenka, udając, że śpi, widziała nieraz jej białą postać patrzącą przez mrok, czy jej dzieci śpią spokojnie. Matka najczujniej jednak nasłuchiwała powolnych, ciężkich, jakby ołowianych kroków swego męża, który szukał rady w mądrej ciszy nocy. Wreszcie jednego dnia zawołała do siebie Irenkę.

— Moje dziecko — rzekła cicho, pokazując jej list. — Nie trzeba, aby ojczulek wiedział o tym, bo nigdy nie zgodzi się, abym ten list wysłała.

Irenka spojrzała bystro.

— To do pani Opolskiej?

— Tak, do niej. Opolska jest moją najbliższą krewną. Długo, długo namyślałam się, zanim napisałam ten list. Ojciec męczy się i trapi. Może pani Opolska, która jest bardzo bogata, zgodzi się na niewielką pożyczkę, aby ojciec mógł odetchnąć... Widzisz, córeczko, ja ci dlatego o tym mówię, że ty wszystko rozumiesz i będziesz umiała dochować tajemnicy.

— Dochowam! — rzekła Irenka.

— Próbuję, a nuż się uda. Ojczulek może nam przebaczy, kiedy sprawa będzie załatwiona; zresztą będziemy starały się zachować tajemnicę jak najdłużej. Teraz o to idzie, abyś ten list sama zawiozła na pocztę i aby nikt o nim nie wiedział. Nie wiem, gdzie moja ciotka znajduje się w tej chwili, ale ma pałacyk w Warszawie; tam adresuję, a list ją gdzieś odnajdzie. Zrobisz to, Irenko?

— Mamusi! — szepnęła gorąco Irenka. — Ja go piechotą zaniosę do Warszawy.

— Nie potrzeba, nie potrzeba, moje dziecko. Zawieź go tylko na pocztę.

Irenka, przejęta tajemnicą, schowała list na piersi i odeszła z poważną miną.

Na pocztę do pobliskiego miasteczka jeżdżono w zimie raz jeden w tygodniu, bo droga była ciężka, a listów znikąd nie spodziewano się. Do tego „pocztowego” dnia było jeszcze daleko, a list ukryty chytrze w książeczce pt. *Bezgrzeszne lata*<sup>60</sup>, która była źródłem niejednego szaleństwa Irenki, aż drżał z niecierpliwości — tak mu pilno było w drogę po pomoc. Irenka nie chciała go powierzyć nikomu, a najmniej jeżdżącemu po listy wyrostkowi, który nie zdradzał niczym, że może zostać filozofem, i wygadałby się od razu. Trzeba było zaryzykować. Toteż kiedy cały dom jeszcze spał, Irenka odziałła się po cichutku i wślizgnęła się do stajni jak Cygan kradnący konie. Osiodłała swoją własną, ładną szkapinę, spokojne stworzenie na wysłudze<sup>61</sup>, i wyprowadziła ją aż na drogę. Tam dopiero dosiadła konia i wjechała w gęsty, ośnieżony mrok jak w zamarzającą wodę. Obliczyła, że dojedzie na pocztę na godzinę ósmą, a o dziewiątej będzie z powrotem. Może zdarzyć się, że ojciec do tego czasu ani nie zajrzy do jej pokoju, ani nie będzie o nic pytał.

Do miasteczka jechała powoli, była bowiem dopiero godzina szósta i trzeba było brnąć przez zasy, zwałtanione i wysokie. Mądra szkapina szła powoli, zajęta rozmyślaniami, co strzeliło do głowy młodej osobie, aby po ciemku brnąć przez śnieg. Młoda osoba patrzyła bystro przed siebie, aby nie zjechać z drogi na błędne pola, mrok jednak rzedniał powoli, jak gdyby ktoś nalał do czarnej kawy odrobinę mleka. Gdzieś daleko dzień brnął przez głębokie śniegi, zapadając się po pas. Najpierw dostrzegły go wrony i zaczęły krakać zjadliwie — ciotki diabła, co nie lubią słońca. Po godzinie zrobiło się szaro, jakby ktoś nad całym światem zgrzebne porozwieszał płótna. Irenka zagadała do konia i równo o godzinie ósmej stanęła przed urzędem pocztowym, który z trudem odemknął dopiero jedno okno, a na gwałtowne dobijanie się Irenki otworzył wreszcie drzwi, mocno zdumiony, że w małym miasteczku znalazł się po wielu, wielu latach ktoś, komu się śpieszy. Z powagą przyjął list, słuchając napomnień Irenki, żeby nie było żadnego cygaństwa i aby list natychmiast posłano do Warszawy — co solennie przyrzeczono.

Teraz trzeba było pędzić na złamanie karku. Irenka ogarnęła wzrokiem dobrze jej znaną okolicę, jakby szukając sposobu, czy nie da się przelecieć przez powietrze; pew-

List, Tajemnica

Koń

<sup>60</sup>*Bezgrzeszne lata* — książka Kornela Makuszyńskiego, wydana w 1925 r. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*wysługa* (daw.) — służba. [przypis edytorski]

niejsza jednak była jazda drogą zamuloną śniegiem, lecz wytyczoną przez drzewa. Zaczęła popędzać konia tatarskimi okrzykami i od czasu do czasu przemawiała mu do rozumu, a koń, stary wyjadacz, zrozumiał, że widać trzeba gonić szybko, jego pani bowiem słynna jest z roztropności i wie, co czyni. Gnał też, jakby mu ubył lat co najmniej dwadzieścia, i rwał z kopyta. Mróz gonił za nim i zachłannie chłonał w siebie buchającą z niego ciepłą parę, niepomniecznie zdziwiony, że jest coś ciepłego na tym świecie. Wkrótce ukazał się w oddali dach białego domu, wreszcie cały wynurzył się z mętności poranka. Wiatr wiał z tamtej strony i Irenka usłyszała wyraźnie krzyk od strony stajni. Skręciła zatem czym prędzej między opłotki, aby dotrzeć najkrótszą drogą i wjechać chyłkiem od strony folwarku. Krzyknęła na konia, mocno dyszącego, i zaczęła gnać na przełaj. Nagle wyszczerzył przed nią zęby płot. Irenka zdarła konia do skoku, jednak, nagle osłupiała, pozostał z tej strony, a Irenka, uczyniwszy w powietrzu dwa misterne koziołki, przeskoczyła płot sama jak sierota. Dała nurka w śnieżną zaspę, głową w dół, a śnieg rozprysnął się jak fontanna z mąki. Kiedy przetarła oczy, ujrzała, że koń, statecznie mądry, powrócił na prawidłową drogę, a ją własnemu pozostawił losowi. Nikt tego nie mógł widzieć z folwarku, więc porwała się czym prędzej i chyłkiem, jak lis, zaczęła biec ku domowi. Zdyszana i zziębnięta wpadła do mrocznej sieni, przemknęła jak duch cokolwiek ośnieżony do swego pokoju, wsunęła się do łóżka, nakryła kołdrą i zaczęła ściągać z siebie odzienie. Serce waliło w niej jak młot, który za wszelką cenę chce wbić gwóźdź w ścianę, tak że kiedy ktoś zastukał do jej drzwi, nie wiedziała od razu, czy to naprawdę ktoś stuka, czy to jej serce takie wyprawia harce. Usłyszała jednak głos ojca:

— Irenko! Twego konia ukradli!

— Masz babo placek! — jęknęła złamanym głosem.

— Wyjdź czym prędzej!

— Za chwilę wyjdę! — krzyknęła w stronę drzwi.

Skoro ukradli jej konia, trzeba go szukać. Starła się jednak zacząć te poszukiwania jak najpóźniej; wiele też minęło czasu, zanim znalazła się na folwarku wśród gromadki ludzi biadających nad niebywałą zbrodnią. Ogólna opinia zwała winę na tego kosmatego opryszka, który zaczął karierę od ukradzenia prosiaka, po ucieczce z więzienia. Irenka wzniosła oczy do nieba, błagając je, aby jak najdłużej ukrywało konia wśród śniegów. Niebo jednak, choć zachmurzone, nie miało zamiaru brania udziału w cygaństwie. Właśnie pan Borowski zarządził pogon i porozysłał ludzi we wszystkie strony, kiedy oplakany już koń, żadnego nie zdradzając wzruszenia, zjawił się w bramie jak koński duch i zdążył spokojnie ku stajni.

— O, o! Koń! — krzyknęła Irenka.

Oglądano go ze zdumieniem. Koń był mokry i osiodłany. Ponieważ wiejskim ludziom wiadomo, że najmędrzy nawet bachmat<sup>62</sup> nie umie osiodłać się sam ani wyjść sobie na poranny spacer z zamkniętej stajni, jasne było, że ktoś to uczynił za niego. Ale kto? Wiejscy ludzie zaczęli drapać się po głowach, chcąc z nich wygrzebać odpowiedź na to pytanie; znaleźli jednak tylko trochę pierza i żdźbła słomy. Stary woźnica, nawykły do gadania z końmi, zwrócił się wprost do zmęczonej kobyły:

— Gdzieś była, wywłoko?

Kobyła odmówiła odpowiedzi.

Pan Borowski spojrzał podejrzliwie na Irenkę, która widząc, że trudno będzie udowodnić jej to końskie matactwo, z odwagą, wesoło uśmiechnięta, wytrzymała spojrzenie. Ojciec kręcił głową, ale nic nie rzekł, kmiotkowie<sup>63</sup> zaś orzekli, że diabeł chyba jeździł na kobyle po nocy. Cała sprawa rozwiązała się w zimowej mgle. Irenka zdołała jedynie przy obiedzie szepnąć do ucha matce:

— Mamusiu, zrobione!

Nic jednak nie było zrobione. Po trzech tygodniach przywędrował niechętnie list z ciepłych krajów i zapewne skostniał po drodze, bo każde w nim słowo było kawałkiem lodu. Był niebieski, a słowa w nim — czarne. Pani Opolska tłumaczyła się, że prośba pani Borowskiej długo krążyła po świecie, zanim ją odnalazła w Cannes<sup>64</sup>; odpisuje czym

<sup>62</sup>*bachmat* — koń używany dawniej w wojsku polskim i tatarskim. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*kmiotek* (pogard.) — chłop, wieśniak. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*Cannes* — francuska miejscowość i gmina w regionie Prowansja-Alpy-Lazurowe Wybrzeże. [przypis edytorski]

prędzej i prosi, aby nikt nigdy na nią nie liczył, bo ona sama znajduje się w trudnych warunkach.

Przykro jej, że jej wróżby spełniły się, jednak wcale się nie dziwi, że pan Borowski ma nóż na gardle. Ona jednak na to poradzić nie może.

„Pracujcie i oszczędzajcie, oto wszystko, co wam mogę powiedzieć!”, kończyła swój list, suchy jak uschłe drzewo, nielitościwy jak dusza skąpca, oschły i sztywny, bez jednego, choćby zdawkowego, serdecznego słowa. List ten nie odmarzł nawet, kiedy padły nań gorące i palące łzy pani Borowskiej, ani pewnie wówczas, kiedy go rzuciła w ogień. Nikt nie wiedział o tej odpowiedzi, nawet Irenka, która jednak coś przeczuwała, widząc, że matka jednego dnia bledsza była niż zwykle i zaczerwienione miała oczy. Chciała w nie zajrzeć ukradkiem, ale ile razy pani Borowska poczuła na sobie jej świdrujące spojrzenie, opuszczała powieki jak zasłony.

„Gdybym ja tak mogła pogadać z panią Opolską!”, myślała Irenka. „Byłoby jej ciepło!”.

Westchnienie było groźne, lecz niezbyt pożyteczne.

Czując, że z matką dzieją się niedobre rzeczy, dziewczyna, zawsze serdeczna, stała się dla niej samą słodyczą. Najdziwaczniejszych używała podstępów, aby jej nigdy nie zostawić samej. Wymyślała sto sposobności, aby przybiec do niej choć na chwilę, i dokazywała sztuk niepospolitych, by uśmiech, chociażby najbledszy, chociażby jasny cień uśmiechu wywołać na jej najdroższe usta. Usiadłszy w ciemnym kącie, rozmyślała ze zmarszczką na czole jak poeta, który z własnym rozmawia sercem, co należy uczynić lub co należy powiedzieć, aby jasno na jedną chwilę zrobiło się dokoła. Wtedy to przysła jej do głowy myśl, że matka jest blada i twarz ma znękaną, ona zaś jest czerstwa, zdrowa i ma na twarzyczce rumieńce — śniade i głębokie. Tak być nie powinno. Zaczęła więc głodzić się i umartwiać na wszelkie sposoby. Ponieważ słyszała kiedyś opowiadanie babki, że w minionych czasach panny, chcąc mieć na obliczu interesującą bladość, pijały ocet, zaczęła go pić jak pijak wódkę. Przyłapana przez ojca na gorącym uczynku, wpadła w rozpacz.

— Czyś ty zmysły straciła, dziewczyno? — krzyknął. — Po co to robisz?

— Żeby źle wyglądać!

— Jezus, Maria! Co tobie jest?

Irenka nie wytrzymała i odpowiedziała nagle powodzią łez i słów, również rozplakanych:

— Muszę źle wyglądać! Niech tatuś spojrzy, ile mam zdrowia na tej przeklętej mojej gębie. Czerwona jestem jak pomidor!

— Ależ, dzięki Bogu!

— Tatuś nie zna się na tym. Mamusia jest blada jak opłatek, a ja mam być taka zdrowa? Wstyd mi, ile razy stoję przed mamą... Przecież temu, co jest chory, może być przykro, że drugi jest taki rumiany, jakby go w piecu przypieklili.

Pan Borowski westchnął ciężko, zamiast wybuchnąć śmiechem, i mówił poważnie:

— Czy ty mi wierzysz, moje dziecko?

— Strasznie wierzę...

— Więc mi uwierz, że niczym bardziej nie zmartwiłabyś mamy, jak tym, że i ty jesteś chora i blada. Płakałaby częściej, niż płacze... Zakrwawiłabyś jej serce. Matka, moja droga, własną oddałaby krew, abyś tylko jej dziecko było rumiane. A twoja matka, Irenko, oddałaby nawet ostatnią jej kroplę. Rozumiesz, maleńka?

— Rozumiem... Teraz rozumiem...

— Przestań więc robić dziecinadę. Taka stara pannica, a...

— Już nie będę! Nie cierpię mojej gęby, ale już nie będę. Może tatuś być spokojny. Janka też chciałam odchudzić, ale mu dam spokój.

Janek jednak był bardzo rozkapryszony, a ponieważ zdawało mu się, że jest stale pokrzywdzony, potrafił wielkim głosem wołać o sprawiedliwość — kiedy zaś szło o jedzenie, wtedy nie znał miary w zdzieraniu gardła. Organ głosu miał potężny i przenikliwy, nieproporcjonalnie jednakże mała objętość rozumu w stosunku do rozmiarów gardła nie pozwalała na użycie rozsądnych uwag i perswazji. Wpadł razu jednego w szaleństwo, kiedy pani Borowska, zmęczona bardzo, zasnęła po południu. Po oznajmieniu, że chce krzyczeć, nie dawał uspokoić się nikomu. Wtedy wdała się w tę sprawę Irenka. Przyniosła ze spiżarni dwa kurze jaja i nie zwracając na niego uwagi, pilnie zaczęła przyglądać się im przy oknie; potrząsała nimi i przykładła do ucha, jakby nasłuchując. Tajemne te sztuki

zwróciły wreszcie uwagę Jasia. Nie zaniechał wprawdzie krzyku, ale wrzask nieco zelżał, a brat zbliżył się powoli do Irenki, bucząc już tylko od czasu do czasu, aby zaznaczyć, że „przerwał, lecz róg trzymał”<sup>65</sup> i każdej chwili może zacząć na nowo.

— Co to jest? — zapytał w końcu.

— Zaczarowane jaja — rzekła Irenka. — Ciebie jednak nic to nie obchodzi, bo to jest tajemnica.

Jeśli tajemnica, w takim razie trzeba poświęcić całą treść serca i ducha, aby ją poznać. Musiała to być wielka tajemnica, bo inaczej taka mądra dziewczyna jak Irenka nie będzie nasłuchiwać, co się dzieje w jajku. Chłopcu zaświeciły się oczy i czym prędzej oświadczył gotowość przystąpienia do spółki w celu zbadania tajemnicy.

— Z tobą nie można gadać o tym, bo wciąż drzesz się jak stary worek.

— Już nie będę!

— Przysięgasz?

— Przysięgam!

— To ci powiem, ale gdybyś komuś słówko pisnął, wszystko będzie na nic!

Jaś zacisnął usta na znak, że na mękach nawet słowa nie wyrzeknie. Wobec tego Irenka, obejrawszy się, czy nikt nie podsłuchuje, powiedziała mu tajemniczym szeptem:

— To są jaja zaczarowanej kury, ważne tylko w piątek. Dzisiaj właśnie jest piątek...

Jaś zaledwie oddychał z wielkiego wrażenia.

— Otóż jeżeli ktoś będzie te jaja trzymał: jedno w jednej, a drugie w drugiej ręce, najkrócej przez godzinę, wtedy po godzinie wylęgnie się z każdego złote kurczę.

Przed Jasiem otworzyło się niebo.

— Ja będę trzymał! — szepnął gorąco.

— Niemożliwe! Ta cudowna sztuka wtedy uda się, jeżeli ten, co trzyma, ani nie poruszy się, ani jednego nawet słowa nie wypowie.

— Ja ani nie poruszę się, ani nie wypowiem słowa!

Irenka spojrzała na niego podejrzliwie.

— Naprawdę? Jak mnie kochasz?

— Jak ciebie kocham!

Irenka robiła bardzo wielkie trudności, ale dała wreszcie ubłagać się namiętnym jego szeptem.

— Siadaj tutaj i ani mi się waż ruszyć. Wtedy możesz dopiero poruszyć rękami, kiedy zobaczysz dwa złote kurczęta. Zresztą ja będę niedaleko i kiedy będzie trzeba, wtedy przyjdę.

Jaś usiadł na krzeselku i ostrożnie trzymał w dłoniach złote kurze czarodziejstwo. Na twarzy miał rumieńce, a w oczach zachwyt. Nie widział nawet, jak Irenka przyłożeniem palca do ust zaleca mu straszliwe milczenie. Jaś nie byłby głębiej odetchnął, gdyby nawet widział, że dom się nad nim pali.

Został sam z wielką tajemnicą, a słodka cisza spłynęła na dom.

— Nie przeszkadzajcie Jasiowi — oznajmiła Irenka wszystkim zainteresowanym. — Teraz będzie spokój.

Sama zajęła się geografią i wypłynąwszy na dalekie morza, zapomniała o rodzinnej ziemi. Minęła godzina — jedna i druga — nad Polską był już senny i lepki od śniegu zmierzch, a ona w pełnym słońcu krążyła pośród cudownych, koralowych wysepek Archipelagu Polinezyjskiego<sup>66</sup>, gdzie wiatr szumi wśród palm, a senne morze rzuca perłowe blaski. Nagle usłyszała groźny okrzyk z dalekiej, dalekiej Polski:

— Jasiu, na Boga, co się z tobą dzieje?

Palmy przestały szeleścić, a perłowe morze — szumieć.

— O, rany! — szepnęła Irenka. — Na śmierć zapomniałam!

Pędem pobiegła do pokoju Jasia, gdzie zastała całe zgromadzenie, skrzyknięte wołaniem pani Borowskiej. Wszyscy w największym zdumieniu patrzyli na Jasia, który przypominał obraz ostatecznej nędzy i beznadziejnej rozpacz. Od trzech godzin siedział nieporuszony, błąd i przerażony. Nie śmiał krzyknąć i oczekiwał cudu. Jedno jajko upadło

<sup>65</sup>przerwał, lecz róg trzymał — znany fragment z *Pana Tadeusza*, eposu autorstwa Adama Mickiewicza (1798–1855). [przypis edytorski]

<sup>66</sup>Archipelag Polinezyjski a. Polinezja — wschodnia część Oceanii, położona w środkowej części Oceanu Spokojnego. [przypis edytorski]

na dywan i rozbryznięło się lepką, białą-żółtą fontanną, drugie zaś nieszczęsny czarodziej kurczowo zacisnął w omdlejącej ręce, tak że smętna jajecznicza przeciekała przez palce. On sam nie wiedział już dobrze, co się z nim dzieje, i olśniony światłem lampy, lypał oczyma jak ktoś, kogo na wpół martwego wydobyto z wody. Kiedy zdjęto z niego czar i jako tako doprowadzono do przytomności, rozpoczął się sądny dzień, a raczej sądna noc. Na szczęście pan Borowski znajdował się na folwarku, więc kiedy zatarto ślady zaczarowanych jaj, usiłowano zatrzeć również całą historię i przekupić rozsrożonego Jasia ogromną ilością konfitur. Nieprzytomny smyk był jednak dość przytomny, gdy szło o słodczyce, i zaczął targować się nieustępliwie. Zestrachana i zgromiona Irenka przyrzekła mu wszystkie swoje leguminy przez cały tydzień, byle tylko milczał. Interes był dobry, więc Jaś wreszcie nań przystał i obiecał milczenie. Wymyty i doprowadzony do statecznej równowagi zasiadł o godzinie siódmej do wieczerzy, ponuro od czasu do czasu spoglądając na Irenkę. Wtem ojciec rzucił wzrokiem na Jasia i zapytał niespokojnie:

— Czemu Jaś taki blady?

— To tak od lampy — bąknęła Irenka.

Pani Borowska i ciotki zaczęły nieśmiało twierdzić, że Jaś doskonale wygląda, pan Borowski jednakże dobrze widział i rzekł:

— Coś mu jednak jest, chłopiec wygląda jak zmyty. Jasiu, nie będziesz tego jadł. Irenko, skocz do kuchni i powiedz, aby Jasiowi dano dwa jaja na miękko.

Ziemia zatrzęsła się, kiedy Jaś to usłyszał; dwa mizerne jajka urosły nagle przed jego oczyma do potwornych rozmiarów i zakryły cały świat, wobec czego krzyknął przeraźliwie:

— Tatusiu! Nie chcę jajek, nie chcę, nie chcę!

Zleciał z krzesła i zaczął uciekać przed straszliwym widmem.

— Mówilem, że on jest chory! — rzekł pan Borowski. — Jasiu, stój! Czemu nie chcesz jaj na miękko?

— Niech Irenka zje! — wrzasnął Jaś i uciekł.

Pani Borowska pobiegła oczywiście za nim, a ciotki spojrzały na Irenkę z wyrzutem.

Ojciec nic nie rozumiał i wydał straszliwy wyrok, że jeśli Jaś nie jest chory i tylko grymasi, będzie jadł jaja na miękko aż do odwołania; wobec tego zrobiono biednego Jasia chorym na jeden dzień i Irence upiekło się. Jaś jednakże powiedział jej nazajutrz groźnie:

— Jeżeli myślisz, że mnie ocyganisz z leguminą za dzisiaj, to grubo się mylisz. Dzisiejszy dzień nie jest ważny, bo mi nic nie dadzą jeść, ale od jutra zaczyna się tydzień.

— Nie było tego w umowie — odpowiedziała Irenka. — Ale niech ci będzie, znaj pana!

I już tego samego dnia Jaś pożarł chyłkiem dwie leguminy, co go od razu podniosło z łoża boleści. Na widok jajek jednakże ślaniał się przez czas długi i był bliski omdlenia.

Zapomniano wkrótce o tej smętnej historii.

Zima wlokła się ciężko, bo jej nogi spętał lód, więc nie mogła odejść. Wszystko zamarzło i wszystko było senne, tylko troski pana Borowskiego nie zamarły jak rwący, górski potok. Nie mógł sprzedać zboża, a miał jakieś pilne wypłaty. Wciąż jeździł po okolicy i do miasteczka, a zaledwie powrócił — znowu wyjeżdżał. Irenka, siedząc w wielkiej ciszy nad książką, usłyszała, jak ojciec mówi do matki zatroskanym i bardzo zmęczonym głosem:

— Muszę jutro zapłacić trzysta złotych. Skąd ja to wezmę, skąd ja to wezmę?

— Nie mogą poczekać? — zapytała matka.

— Prosiłem, błagałem, wszystko na nic. Już i tak dano mi spokój przez dwa miesiące. Ale jutro zapłacić muszę. Myślałem, że sprzedam żyto, ale nikt kupić nie chce. Co ja zrobię, Boże drogi...

Potem zapadło smutne milczenie, a w Irence serce omdlało. Objęła głowę rękami, a łzy zaczęły padać na leżącą przed nią książkę. Była to niezwykła historia o księżniczce, co miała sto pałaców i gadającego ptaka — i nigdy nie płakała.

— Matko najświętsza, zmiłuj się nad tatusiem — szepnęła Irenka.

Z każdego jej słowa pociekły łzy.

Jakoś dziwnie smutno było w całym domu. Wszyscy czuli, że pan Borowski czymś się bardzo martwi, a pani Borowska smutno na niego patrzy. Ciotki też milczały pocziwie i w jakiś sposób dały znać babce, aby nie czyniła wielkiego zamieszania.

Za oknami wyla śnieżycą i wicher bardzo płakał, jakby wiecznym zmęczony narzekaniem.

Oni wszyscy siedzieli w dużym pokoju, cichym i wyłożonym przez miękkie światło lampy. Pan Borowski usiadł w rogu odwiecznej kanapy i milcząc, palił papierosa. Irenka udawała, że czyta książkę, lecz częściej niż w nią patrzyła ukradkiem w zamyśloną twarz ojca. Zwykle o takiej porze ktoś głośno czytał, tego jednakże dnia nikt jakoś o lekturze nie wspomniał, jak gdyby wszyscy chcieli w ciszy przebrnąć przez smutek długiego wieczoru. Jeden Jaś pragnął użyć przed snem towarzyskiego życia i pętał się po pokoju dość hałaśliwie; aby go więc uspokoić i przysposobić do snu, matka, siedząca przed płonącym kominkiem, objęła go ramieniem i jak to czyniła często, zaczęła półgłosem opowiadać mu bajkę — zbyt groźną na noc dla Jasia, lecz była to jedyna bajka, jaką знаła: o biednym szewcu, który został królem, bo odważył się spędzić noc w starym, okropnym zamczysku, dokąd pośród wielkiej wichury przychodziły groźne i potężne duchy, aby go porazić trwogą i zmusić do ucieczki. Szewc jednakże znał śliczną modlitwę, która sprawiła, że nie obawiał się niczego na świecie.

Wszyscy zasluchali się mimo woli, kiedy pani Borowska mówiła cicho:

— Przyszedł dzielny szewc do strasznego zamku, usiadł i czekał cierpliwie, kiedy wybiję północ. Wiatr płakał wśród pustych komnat, a tam, gdzie ten szewc siedział, było tak cicho, że słyszał swoje bijące serce. Była to siódma noc jego próby i zarazem ostatnia. Zwalczył już wszystkie strachy i ciemne potęgi, ale tej nocy miały się zjawić najgorsze i najbardziej mocne. Nagle zaczął nasłuchiwać: to bije północ. Jego serce też uderzyło dwanaście razy. „Bóg jest ze mną!”, rzekł cicho i czekał. „Bóg nie opuści nigdy biedaka!”. Znowu zrobiło się bardzo cicho, aż wtem ktoś zapukał do drzwi trzy razy: „Stuk! stuk! stuk...”.

— O, Boże! — krzyknęła cicho ciotka Amelia.

Ktoś stuknął najwyraźniej trzy razy w drzwi białego domu. Było to tak niespodziewane, że wszyscy zdrętwieli. Spojrzeli po sobie.

— Ktoś stuka! — powiedziała Irenka.

— Wszelki duch... — rzekła ciotka Barbara.

— Żaden duch, tylko ktoś przyjechał — odrzekł pan Borowski, powstając, i szedł ku sieni.

Pozostali zamarli w pełnej oczekiwania ciszy, aż ich dobiegł głos:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Człowiek! — zawołała uradowana ciotka Amelia.

Po chwili pan Borowski wprowadził do pokoju nowego księdza, który władał drewnianym kościółkiem od czasu śmierci swego proboszcza. Bywał on czasem w białym domu, lecz nigdy o tej porze, patrzono zatem na niego z radosnym zdziwieniem. Ksiądz miał ostre rysy, lecz uśmiechnięte oczy; wysoki był, kościsty i silny. Nie bał się wichury ani zamieci, przytupywał tylko, aby rozgrzać nogi, i zacierał ręce.

Kiedy Jasia i babkę po powitaniach odesłano na spoczynek, ksiądz powiada:

— Przepraszam za tak późną wizytę, ale ja w ważnej sprawie...

— Służę księdzu proboszczowi — skłonił się pan Borowski.

— Kiedy ja nie do pana — zaśmiał się ksiądz — ja mam sprawę do Irenki.

— Co ona znowu zmalowała? — szepnęła ciotka Amelia do ciotki Barbary.

Wszyscy spojrzeli mimo woli na dziewczynę, która okazywała niepokój. Licho nie śpi...

Ksiądz też na nią spojrzał, bardzo jakoś pocziwie, i mówił:

— Robiłem dzisiaj porządku w domu i przepatrywałem wszystkie zakamarki. Zaczynając nieboszczyk ksiądz święty to był człowiek, ale ze swego małego domku uczynił muzeum najdziwniejszych rupiec. Samych suszonych grzybów starczyłoby na dziesięć lat dla wszystkich moli z całego świata. Zebrał staruszek macierzanki, rumianku i piołunu tyle, że w stu aptekach takich zapasów nie mają.

— Tak, tak! — szepnęła Irenka, która znała te spiżarnie. — Konfitur też kiedyś było bardzo wiele.

— Konfitur jest mniej — zaśmiał się ksiądz. — Rozmaite panny nie jadają suszonego piołunu. Ale wracając do rzeczy: trudno było znaleźć coś w tym wielkim składzie. Długo

Ksiądz

tego nie ruszałem, myśląc, że ktoś zgłosi się kiedyś po to mizerne dziedzictwo, ale nikt dotąd się nie pojawił.

— Ksiądz proboszcz nie miał nikogo — objaśnił pan Borowski.

— Istotnie — mówił ksiądz. — Zrobiłem też generalny porządek i patrzcie państwo, co przed godziną znalazłem w zegarze, który nigdy nie chodził.

Wydobył z zanadru zniszczoną gazetę, a z niej wielką, białą kopertę.

— List! — zauważyła bystrze ciocia Amelia.

— Tak, list. A na liście napisano: „Po mojej śmierci oddać to proszę «Pannie z mokrą głową», a każdy wie, że to jest Irena Borowska, bo ją bardzo kochałem: i za mokrą głowę, i za najlepsze serce. W imię Boga zaklinam, aby jej to oddać, bo to wszystko, co mam, a ona niech z tym zrobi, co zechce, i niech czasem westchnie za moją grzeszną duszę”. Dalej podpis i data.

Ksiądz odczytał ze wzruszeniem ten prosty, biedny testament i drżącą ręką oddał list zdumionej Irence. Ona dotknęła go nabożnym gestem, a potem nagle przycisnęła go do piersi.

Wszyscy mieli łzy w oczach; zdawało się, że przez ciepły, smutny pokój przeszedł powoli staruszek ze ślicznym uśmiechem na ustach, rad i szczęśliwy, że na jego wspomnienie drgnęły w nich serca.

— Irenko — mówił ksiądz — bardzo cię kochał ten święty człowiek. Nie otwieraj teraz tego listu, zaczekaj, aż ja sobie pójdę. Pogadasz sobie z listem, jak gdybyś z nim rozmawiała. Dobranoc, moje dziecko.

Ksiądz odszedł, choć go serdecznie zatrzymywano, a Irenka stała nieruchomo, załzawionymi oczami patrząc na biały list, taki dziwny, jakby wysłany z nieba przez zmarłego staruszka. Po chwili zaczęła otwierać kopertę, powoli i niezmiernie ostrożnie, i wyjęła z niej garstkę banknotów.

— Trzysta złotych! — zakrzyknęła ciotka Amelia, która liczyła je wzrokiem. — Ależ to majątek!

Irenka uśmiechnęła się nagle wilgotnymi oczami. Jednym ruchem znalazła się przy ojcu.

— Tatusiu, weź to! — zawołała.

Pan Borowski nie pozbył się jeszcze zdumienia, lecz odsunął łagodnie jej rękę.

— To twoje! — rzekł.

— Więc ci to pożyczam... Kiedyś mi oddasz. Boże drogi! Że to właśnie dzisiaj, że to właśnie dzisiaj... Przez całe życie zbierał, drogi, kochany człowiek...

Nagle spojrzała tam, gdzie złota poświata lampy drżała w powietrzu, bo jej się zdawało, że jakaś słodka twarz łagodnie do niej uśmiecha się i daje jej oczami znak, jakby chciała powiedzieć: „A co, Irenko, a co! Dobrzem to wymyślił!”.

## VII

Irence przybyło trzy lata, a babce ubyłó pięć, czyli naturalny porządek rzeczy został zachowany. Wedle tego magicznego obliczenia musiało kiedyś dojść do zupełnego zrównania wieku. Babcia była coraz bardziej żwawa, a Irenka coraz bardziej poważna. Prawdę powiedziawszy, była to powaga dziwnego nabożeństwa, czasem bowiem uderzało jej coś do głowy, powaga pękała z hukiem, a jakieś nowe szaleństwo Irenki napępniało świat radosnym zgiełkiem. Mogło zdawać się, że w chudym, czarnym, zdrowym ciele tej dziewczyny mieszkają dwie dusze, które na zmianę odbywały wartę: jedna była rozważna, często głęboko zamyślona, pełna słodyczy i tklivości, drugą zaś uradowałby się Tatar, kiedy dziewczyna przypominała sobie nagle, że młodość bucha z niej jak żar ze słońca. Wtedy pytała wiatru, kto kogo przegoni, i pytała wiosny, kto roześmieje się jaśniej i dźwięczniej.

Gdyby nie ona, smutno byłoby w białym domu. Irenka jednak świdrującymi oczami umiała wypatrzeć smutek w najbardziej mrocznym kącie i biegła tam czym prędzej wypłoszyć go krzykiem i czarodziejstwem śmiechu. Wszelki smutek bał się jej jak diabeł święconej wody. Pojęła bystro, że zgryzota, podobnie jak mętna woda, wciąż przybiera od deszczu leż; że jeśli smutkiem żywi się ją, rośnie bujnie jak chwast i wreszcie wszystko zagłuszy. Najlepiej jest nie poddawać się smutkowi i gnać go na cztery wiatry, póki czas

List, Testament

Pieniądz

Dziecko, Dusza, Konflikt wewnętrzny

Smutek, Radość, Śmiech

— otworzyć serce jak okno, aby mógł przez nie wejść promień słońca, który wypija wilgoć leż i mętność zgryzoty. Smutek jest płochliwy i napada na tych tylko, co nie umieją się obronić, załamują ręce i głowę pochylają na piersi. Z daleka jednak obchodzi tych, co go oczekują odważnie i z pogodnym czołem. Trzeba tylko strasznie, z całej siły wierzyć, że będzie lepiej, a będzie lepiej. Radość jest sprawiedliwa, chociaż nierychliwa. Pan Podkówka jednak mówił prawdę, powtarzając jej często złote zdanie, co w mądrej narodziło się głowie, że „Stracony jest każdy dzień bez uśmiechu”.

Szkoda pana Podkówki... Co się z nim dzieje w tej chwili? Irenka myślała o nim często, przygotowując książki i zeszyty, aby napić się z nich mądrości. Co pół roku jeździła do miasta na egzaminy i przywoziła papier świadczący, że posiada głowę mokrą wprawdzie, ale doskonale umeblowaną i tak zasobną w wiedzę jak ul w miód. Starczyło jej tej mądrości nie tylko na użytek własny, lecz i na uczciwy podział z Jasiem, którego uczyła cierpliwie i roztropnie wyborną metodą swojego mistrza, pana Podkówki. Jaś miał wprawdzie głowę otwartą, lecz będąc w takiej przemyślanej spółce z brzuchem, że jeśli nie można było przemówić mu do rozumu, Irenka używała drogi pośredniej — przez żołądek. Żarłoczny braciszek nie mógł zrozumieć zadania rachunkowego przez dwa dni, za cenę jednak dwóch jabłek lub kilku kawałków cukru rozwiązywał je natychmiast i olśniewając. W ten sposób pęczniała jego głowa, ale i brzuch pęczał odpowiednio. Daleko mu było wprawdzie do wspaniałości szaleństw Irenki, zdradzał jednak wybitne w tym kierunku zdolności i gdyby nie nadmierne zamięłanie do jedzenia, mógłby z czasem dojść w tym względzie do znacznych wyników. Na razie, poza jednorazowym wybiciem sobie czterech, chwiejnych zresztą i jeszcze nieustatkowanych zębów, nie miał wspanialszych w swoim życiu przypadków. Toteż z nietajoną zazdrością patrzył na dumny i długi spis świetnych czynów Irenki, która zdołała już nawet otrzymać w spadku całą furę pieniędzy. Zachwycała go czasem ta dzielna siostra. Jeśli tylko nie kazała mu trzymać w ręku kurzych jaj, wierzył jej ślepo i na jej rozkaz byłby za nią poszedł nawet w ciemność nocy, czego lękał się najbardziej. Właśnie znowu olśniła wszystkich, dokonawszy znamienitego dzieła.

Było lato i ziemia smażyła się na patelni w słonecznym żarze. Cały naród żął żyto na polach, koło pustych chałup wałęsały się drobne dzieci, a psy spały w cieniu, aby zdobyć siły na nocną służbę. Nagle na końcu wsi wypełznął w górę kłęb czarnego dymu, a po chwili strzecha na niebiesko pomalowanej chaty buchnęła ogniem. Zdyszany, rozpaczliwy krzyk pobiegł przez pola i zwoływał wszystkich na ratunek. Złe, rude płomienie, jakby przerażone tymi głosami, zaczęły pożerać chatę szybko i zachłannie, aby im jej nie wydarto. Śmiertelna trwoga spędziła ludzi z pól. Irenka, usłyszawszy o pożarze, biegła, skacząc przez rowy i płoty, a za nią gonił pies Drab, zawsze wokół niej krążący. Wbiegła w ludzką gromadę, bezradną i przerażoną, i piskliwym głosem zaczęła wydawać rozkazy — taką zaś u wszystkich budziła wiarę i zaufanie, że rozpacz ludzka ocknęła się i zrozumiała, co należy czynić, aby zdławić ogień, szydercze wydający głosy, i nie dać mu rozszerzyć się na inne chaty, co zbite w gromadę, jak zastraszone kuropatwy, patrzyły na pożar malutkimi oczyma okienek.

Płonąca chata należała do biednej młodej wdowy, mającej swoje pólko daleko stąd, aż pod lasem. W tej chwili dopiero przybiegła, padając co krok, rozepchnęła ludzi i krzyknęła nieludzkim głosem:

— Tam jest moje dziecko!

Usiłowała skoczyć w ogień, ale śmiertelnie zmęczona długim biegiem zwała się jak kłoda.

— Matko Boska! — krzyknęli ludzie.

Stępiałym, bezradnym wzrokiem wpatrzyli się w chatę, która po raz pierwszy w swoim szarym i w ziemię zapadłym życiu pyszniła się wspaniałym pióropuszem ognia. Przez drzwi i okna buchał żrący dym skłębioną, gęstą chmurą.

— Tam jest dziecko! — ozwał się piskliwy, rozdzierający głos Irenki.

Na wszystkich twarzach widać było zgrozę. Ten i ów uczynił ruch, jakby gotował się do skoku, lecz nikt nie skoczył. Chata płonęła jak pochodnia, a ogień, ze wścieklej uciechy, ciskał w górę ogniste szczapy z krokwi. Jeszcze chwila, a wszystko runie i zapadnie się, pozostawiając stos dymiący i syczący.

— Jezus, Maria! — krzyknął ktoś w tej chwili.

— Panienka! Panienka! — buchnął głos tak gorący jak ten pożar.

Irenka przeżegnała się i jednym susem skoczyła przez niskie, czarnością dymu buchające drzwi. Za nią — o dziwo — skoczył jej mądry pies, wydobywszy z gardła jakieś głuche bulgotanie. Króciutka chwila wydała się wszystkim ciężkim, długim wiekiem. Ludzie nie śmieli odetchnąć, a serca w nich zamarły. Matka dziecka wparła dzikie, oszalałe spojrzenie w drzwi swojej chaty, błada jak śmierć. Poruszała ustami, lecz nie mogła wymówić słowa. A po chwili, dręczącej i strasznej, wydarło się z ludzkich piersi jakieś wielkie, szczęśliwe, radosne szlochanie — w otworze drzwi ukazała się Irenka, osmolona, czarna, ślaniająca się na nogach. Sukienka tliła się na niej, kosmyki włosów były spalone. Jedną ręką zasłaniała usta, drugą cisnęła do piersi dziecko, na wpół uduszone, lecz żywe. Wtedy pożar, jakby rozwścieczony, że wydarto mu łup, zasyczał z nienawiści, buchnął bardziej niż dotąd krwawo i ciężarem swego rudego gniewu tak przytłoczył nieszczęsną chałupę, że nagle zapadła się, jakby z góry uderzona obuchem. Spośród trzasku belek i syczenia ognia wydobył się wtedy nagły, przejmujący skowyt — to pies Drab ginął bohaterską śmiercią, przywalony pożarem, którego nie uląkł się, albowiem wierne jego psie serce kazało mu pójść za swoją panią, którą miłował aż do śmierci.

Niedługo potem wydawało się Irence, że ją wzięto do niewoli i mocno skrępowano postronkami. Ostrożnie otworzyła najpierw lewe oko, potem prawe, badając, gdzie jest i dlaczego nie może poruszyć rękami. Z wielkim zdumieniem ujrzała, że ma na rękach białe bandaże. Poruszyła się niespokojnie, a wtedy ktoś położył jej dłoń na czole. To matka. Dziewczyna uśmiechnęła się do niej, ale jakoś bardzo smętnie.

Irenka zaczyna myśleć na gwałt: „Musiałam zmalować coś nadzwyczajnego, skoro taka gala...”.

W tej chwili zaczął w jej dziwnie rozkołysanej głowie szumieć pożar i błysnął przed jej oczami.

„Aha! już wiem...”, pomyślała. „Uratowałam z ognia jakieś dziecko... Ja poparzyłam się, a Drab, biedaczysko, usmażył się na amen”.

— Mamusiu!

— Co, córeczko? Lepiej ci?

— Mnie jest zupełnie dobrze. Czy tatuś bardzo się gniewa?

— Nie gniewa się, ale bardzo się przestraszył. Wszyscy bardzo przestraszyliśmy się, a ciocia Amelia zemdliała.

— Daj jej, Boże, zdrowie. A mamusia bardzo zagniewana? Przecież ja musiałam ratować dziecko!

— Dlaczego ty? Tam był tłum ludzi.

— Tak, ale potracili głowy.

— A ty mogłaś swoją utracić na zawsze.

— Ja? Niemożliwe! Ja mam „mokrą głowę”, a mokrej głowy ogień się nie chwyci. Kto to tak głośno mówi?

— Ojciec. Przemawia do ludzi i przysięga, że nie umrzesz. Cała wieś jest przed domem. Kobiety płaczą, a mężczyźni patrzą w okna i nie można ich namówić, aby sobie poszli. Oj, Irenko, Irenko!

— Oj, mamusiu, mamusiu! Niby burczysz, a jesteś zadowolona.

— Cicho bądź, śpij!

— Jak ja mogę spać, kiedy przed domem taki rwetes? Tyle hałasu o jedno dziecko.

Prawdziwy rwetes zrobił się jednak wtedy dopiero, kiedy Irenka po dwóch tygodniach zjawiła się w kościele na niedzielnym nabożeństwie. Troszeczkę była jeszcze blada i na jednej ręce miała niewielkie ślady po oparzeniu, ale uśmiechała się do ludzi, szczęśliwa i rozjaśniona. Do niej jednak nikt się nie uśmiechnął ani razu, gdy bowiem ktoś spojrzał na nią, zawsze miał oczy wilgotne. Patrzyli na nią wszyscy jak na zjawisko, a wzdychano na jej cześć tak często i żarliwie, że mogła na tych westchnieniach wzlecieć jak na obłoku. Po mszy otoczono ją przed kościołem i rozpoczęło się drugie nabożeństwo. Błagano Pana Boga na głos o wszelkie szczęście całej ziemi, o wszystkie łaski i dobrodziejstwa, o wszystką jasność słońca dla tej dziewczyny, co zawstydzona, wzruszona i szczęśliwa przechodziła przez szumiący ludzki tłum jak przez rozkołysane zboże. Dzieci patrzyły na

Pożar, Pies, Miłość, Śmierć  
bohaterska

nią z zabobonnym, przełkłym zachwytem jak na istotę nieziemską, a nieziemska istota mrugała w stronę ojca z szelmowskim uśmiechem, co miało znaczyć: „Spróbujcie mi teraz wymyślać za mokrą głowę, a ja wam zbuntuję całą wieś!”.

Nikt jej jednak nie wymyślał. Kiedy pierwsze o nią minęły strachy, tulono ją z miłością, bez słowa, do wzruszonych piersi, jeden Jaś tylko rzucił się jej na szyję z wielkim krzykiem, bo nie uznawał milczącej ceremonii. Gdyby była spaliła się na pieczeń, wtedy co innego, ale teraz nie było powodu do milczenia. Wrzask jest naturalnym głosem wielkiej radości i nie ma potrzeby zmiany odwiecznych urządzeń.

Irenka dziwiła się cokolwiek tym owacjom i wzruszeniom. Była szczęśliwa — to prawda — strach jednak mignął jej przed oczami; zaczęła obawiać się, czy przypadkiem taka wspaniała awantura nie zobowiązuje do jakiejś powagi i uroczystych min. Nie daj Panie Boże! Łatwo jest wejść do płonącej chałupy, bo nie ma nad to nic prostszego, i jeśli zdarzy się jakiś mały pożar, można będzie zaryzykować raz jeszcze, ale robić bohaterские miny i wdychać na ten temat — nie! Tego ona nie potrafi. To gorsze od stu pożarów i od trzęsienia ziemi. Ważyła więc przeźornie w mądrej głowie, kiedy będzie można uznać uroczystość za skończoną. Sposobność zdarzyła się wyborna, bo po kilku dniach piorun zabił krowę na pastwisku, co zwróciło na siebie powszechną uwagę i rozpoczęło nową epokę w sielskim żywocie. Umarł pożar, niech żyje piorun! Wśród wspaniałego łomotu zdjął czar z Irenki, która uznała, że należy powrócić do szarości żywota i rozprostować ręce i nogi. Czas już był najwyższy, gdyż dłuższy okres spokoju był dla niej tak groźny, jak nieruchoma cisza na oceanie zabójcza jest dla żaglowego okrętu. Ona musiała być w ciągłym ruchu — jak młody pies, który ma tę właściwość, że pozornie ma cztery nogi, a naprawdę ma ich z szesnaście, bo go wciąż nosi we wszystkie strony, bez rozumnego powodu. Podczas owej ciszy kilkudniowej Irenka często stawiała przed lustrem i przyglądała się sobie pilnie.

— Starzeję się! — westchnęła smutno.

Zacząła w swojej oszalałej czuprynie szukać siwych włosów, a chociaż nie znalazła ani jednego, pewna była, że znajdzie je — nie dzisiaj, to jutro. Zbyt wiele bowiem zmartwień waliło się zewsząd na tę nieszczęsną głowę. Nie miała ani jednej wolnej chwili. Słońce, ujrawszy sennym, zamglonym jeszcze okiem, że Irenka wstaje z łóżka, wschodziło czym prędzej, bo zapewne dzień już rozpoczął się, skoro ona jest na nogach. Rozdzierające ziewanie niczego nie dowodziło. Bez niej nie mogło zacząć się życie w białym domu i na folwarku. Wszyscy mogli jeszcze spać, ale ona — nie. Niech śpią. Są albo zmęczeni, albo chorzy; ona zaś nigdy nie wiedziała, co to jest zmęczenie, a najzdrowsza ryba w stawie była mniej zdrowa niż ona. Równocześnie zaś najweselszy ptak w promieniu stu mil dokoła był mniej wesoły niż ona. Kiedy weszła do mrocznej krowiej stajni, wtedy nawet tam czyniło się jasno od jej głosu; gdy trafiła pomiędzy ludzi ciężko pracujących, praca wydawała im się nagle lżejsza. Wszędzie zostawiała złote okruchy śmiechu i już biegła w inną stronę. Sama szyła sobie sukienki. Nie były one dość wytworne, aby można było ukazać się w nich na dworskim balu u zakochanego królewicza, ale nie były szyte na bal. Pończochy za to nosiła przedziwne i tak cudowne, jakich żadna na świecie nie miała księżniczka — z własnej, ciemnej skóry. Widać było na nich ciekawe wzory i najwdzięczniejsze desenie: krwawe pręgi, zadrapania i ukłucia. Najpiękniejsza jednak księżniczka nie posiadała takich czarnych diamentów, przezrzystych i lśniących, jakie Irenka miała w spojrzeniu, ani takich bogactw niezmiernych, jakie ona miała w uśmiechu ust. Mało jednak dbała o te wspaniałości, nie wiedząc, że je posiada. Rosła sobie jak drzewo w lesie i chociaż miała lat dwanaście, równego niemal była wzrostu z matką, jak gdyby jadła drożdże.

Bardzo, bardzo rzadko, kiedy pomimo bohaterских wysiłków nie udało się stłumić jakiejś pięknej troski albo kiedy pogorszyło się zdrowie matki, Irenka czuła, że musi się wypłakać. Tygodniami całymi gromadziła się w niej żalność, aż wreszcie nadchodził taki czarny dzień, kiedy zebrała się nad nią chmura smutku, z której musiał lunąć deszcz. Nikt jednak nie mógł widzieć jej łez. Irenka zaszywała się w jakimś mrocznym kącie, najczęściej na strychu, siadała na belce z powagą, jak gdyby miała spełnić swoisty obrzęd, i otwierała słuzę smętnej wodzie. Pochlipała sobie serdecznie przez jakieś pół godziny, a potem ocierała starannie oczy.

— Ulżyło mi! — mówiła cicho i wracała z mrocznych wyżyn z rozjaśnioną twarzą.

Piękno

Łzy

Wystarczyło tej pociechy na miesiąc lub dwa, a czasem, kiedy Bóg był niezwykle łaskawy, na całe pół roku. To jednak było najdziwniejsze i najbardziej ją zdumiewało, że czasem było jej smutno bez najmniejszego powodu, jak gdyby smutek siał się w powietrzu albo jak gdyby wiatr przynosił go z daleka niczym puch kwiatów. Rodził się czasem taki dziwny dzień — zasmucony, cichy i jakby ciężki. Słońce świeciło jasno, a jednak na świecie było mroczno. Ptaki śpiewały ciszej i jakby nieśmiało, dymy snuły się nisko, a koniki polne milkły. Dziewczęce serce czuło jakiś ucisk i pełne było niepojętej, dręczącej rzewności. Nie wiadomo, dlaczego łzy same napływały do oczu. Wtedy Irenka płakała na zapas. Te niewołane łzy były wliczane do ogólnego zbioru łez i kiedy prawdziwe i znane zjawiało się zmartwienie, musiało obejść się bez oplakania.

— Już w tym miesiącu raz jeden beczalam — mówiła Irenka do swoich trosk — to wystarczy. Nie mam czasu na głupstwa!

Gdyby była spojrzała wtedy na niebo, byłoby w niej drgnęło męzne serce. Ta chmura, która od wielu wędrowała lat, chmura nad białym domem, spotężniała w czarnej swojej, groźnej pysze i rzuciła szary, mroczny cień na białe ściany. Dom jak gdyby skurczył się i przeraził, oczekując uderzenia piorunu.

Była późna jesień, wyciem wiatru śpiewająca pogrzebowe pieśni struchlałej ziemi, pokrytej każdego ranka śmiertelną bladeścią szronu. Radość lata już umarła, a na jej grobie drżały zeschłe badyle. Drzewa na próżno wyciągały ramiona ku ołowianemu niebu, jęcząc ostatkiem liści o zmiłowanie.

— Nie ma litości, nie ma litości! — urągał im wicher.

Dnie były smutne, a noce złe. Płakały one wielkimi głosami nad niezmiernym umartwieniem ziemi, a wiatr wył czasem jak głodny pies. Z chmur padał ciężki lęk i zasnuwał cały świat. Człowiek tylko, sercem i duszą mocny, nie przeraził się i pracował bez przerwy, uparcie i niezmordowanie. Po skisłym, błotnistym polu chłop odbywał za pługiem swoją milczącą wędrówkę — tam i z powrotem, tam i z powrotem. Zmokły chłód włóczył się za nim przez bruzdy jak zziębnięty pies. Wrony, zwoławszy się w wielkie cztery, krzykiem oznajmiały światu zagładę — jak złe wróżki-jędze, uradowane, że mogą wywróżyć nieszczęście i czarny smutek.

Pan Borowski codziennie chodził na ten skrawek lasu, który mu pozostał. Były to ostatnie jego drzewa, a teraz miał rozstać się z nimi. Sprzedał je z tym uczuciem, że własne sprzedaje dzieci. Oglądano je i mierzono, potem na każdym wypalano syczącą pieczęć rozpalonym żelazem. Oznaczało to, że nieszczęsne drzewo zostało nieodwołalnie skazane na ścięcie toporem. Do wykonania wyroku przystąpiono niebawem, kiedy zwałił się śnieg i ziemię w śmiertelne, białe spowił płótno. Łatwiej wtedy było wywieźć trupy drzew do dalekiej kolei. Rąbano z powolnym rozmachem, pokrzykując, a one waliły się z jękiem. Drwale, idąc drogą śmierci, zbliżali się do niewielkiego wzgórza, na którym rości kilka drzew, największych i najbardziej potężnych; tworzyły one jak gdyby koronę na czole tej ziemi, która żywiła biały dom. Była to stara gwardia lasu, olbrzymi, którzy wiele zmogli burz, a ten i ów pierś miał srodze rozdartą piorunem. Niegdyś w rzymskim szyku bojowym szły przeciw nieprzyjacielowi najpierw kohorty żołnierzy najmniej wytrwałych, a kiedy ich pokonano, szli do walki żołnierze coraz to groźniejsi i wspanialej uzbrojeni; dopiero gdy bitwa rozgorzała jak pożar i pole spłynęło krwią, rzuciły się na wroga ciężkim stąpaniem ostatnie szeregi najstraszliwszych wojowników żelaznych, niewzruszonych, w stu bitwach zaprawionych. Byli to triarii<sup>67</sup>, żywe posągi. Te ostatnie drzewa przypominały ich niezwalczoną swoją potęgą. Śmierć szła ku nim nieuchronnie z siekierą w dłoni, a one ani drgnęły. Wparły się korzeniami w ziemię i patrzyły ponuro oczodołami, w których mieszkaly wiewiórki. Wiatr w ich górnych gałęziach odmawiał ciężkim szumem modlitwę za umarłych. Jeden z nielicznej garstki olbrzymów rozkrzyżował ramiona i zwałił się ciężko. Tylko ziemia jęknęła, rozumiejąc, że popełniono morderstwo. Zwałił się drugi i trzeci. Już ich pozostało niewiele, jeszcze trzy, jeszcze dwa, jeszcze jeden, najwspanialszy.

Pan Borowski zjawił się w lesie i zamglonymi oczami patrzył na spustoszenie. Ile razy drzewo spadało, on poruszał wargami, jak gdyby żegnał się z nim albo odmawiał

Las, Drzewo

<sup>67</sup>triarii — ciężka piechota w wojsku rzymskim, ustawiana w szyku bojowym w trzecim rzędzie. [przypis edytorski]

modlitwę. Dzień był napelniony wichrami, które zerwały się nagle i dęły z wściekłością. Pan Borowski brnął przez zasypane lasy, kiedy ścinano ostatnie jego drzewo; szedł, wbiwszy oczy w ziemię, jakby nie mógł potrzebować na śmierć potęgi i mocy.

— Na Boga, ostrożnie! — krzyknęli drwale.

Pan Borowski spojrzął i zrozumiał niebezpieczeństwo, chociaż drzewo miało paść w inną stronę — nie tam, gdzie on znajdował się w tej chwili. Uskoczył jednak, ale wpadł w wykrot. Wtedy stała się rzecz straszliwa. Wichry, skłębione w śnieżną chmurę, zerwały się nagle z ogromną siłą, objął podcięte drzewo i wykręcił tak, że zwałił je w to miejsce, gdzie z wykrotu usiłował wydobyć się pan Borowski.

Ponad łomotem padającego drzewa podniósł się przeraźliwy krzyk. Drzewo nie powinno tam było paść, a jednak padło. Ostatnie drzewo.

Pan Borowski leżał na ziemi biały jak śnieg. Razem przestało bić jego serce i serce drzewa.

Śmiertelna cisza nagłym wybuchnęła lamentem. Nikt nie mógł przewidzieć tego, co się stało — śmierć przyleciała na wicherze, co zwałił drzewo.

— O, Jezu! O, Jezu! — powtarzał ktoś nieustannie.

Krzyk z lasu pobiegł zaśnieżonym polem, wpadł do wsi, zapukał w okna, wywołał ludzi, potem jak jeden wielki, związany lament zaczął brnąć przez śnieg i rozpląkał się wielkim szlochem u drzwi białego domu. Okropna wieść zastukała w nie kościaną ręką. Dom drgnął, nagle przelęknięty, i przez długą chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu. Potem musiał zakołysać się, bo Irenka, stanawszy na ganku, pod kolumnami, zachwiała się jak ktoś, kto nie może złapać równowagi. Rozszerzonymi oczami patrzyła na usta ludzi i jakby nie mogąc pojąć znaczenia ich słów, przysłuchiwała się krwawym, zmaconym okrzykom, z których gęstymi kroplami krew ściekała na biel śniegu. Świat z nią zawirował obłądnym kręgiem. Chciała przemówić, ale nie mogła, więc z niezmiernym wysiłkiem podniosła palec do ust na znak, aby przestano mówić. Ona już wie, ale tamci w domu jeszcze nie wiedzą. Przecież musi ich przygotować, aby matce nie pękło serce.

Czuła, że ktoś przypadł do jej rąk i całując je, oblewa gorącymi łzami. Ona nie płakała. Nie wolno jej płakać. Musi być mocna za wszystkich i za wszystkich cierpieć w milczeniu. Oni będą płakać, ale ona tego uczynić nie może.

Powoli, jakby senna, z niezmiernym trudem powlokła się do wnętrza domu.

Jeszcze nigdy w ustach dziecka nie było tyle miłości jak wtedy, gdy Irenka wyszeptwała słodko:

— Mamo! Mamo!...

## VIII

Przeminał rok, tak długi jak życie nieszczęśliwego człowieka, zanim Irenka odnalazła swój uśmiech. Wyjrzał on spod łez jak promyczek słońca spoza wilgotnych mgieł poranka. Błady był i nikły. Już był jednak czas najwyższy, aby ukazał się i ozłocił mroczne życie białego domu. Potrzeba go było jak cudownego lekarstwa smutnym ludziom, co w nim mieszkali. Trwoga padła na nich wraz ze zwałonym drzewem, była z nimi we dnie i w nocy. Żyli zalekłym życiem jakby z trudem, bardzo ciężko. Najsilniejszą z nich okazała się ona — Irenka. Dławiąc ból i uciszając rozpacz, dodawała wszystkim otuchy i przejmującym szeptem kazała im wierzyć, że nie zginą i że Bóg odwróci od nich zgubę. Mówiła o tym z dziecięcą żarliwością, niewyszukanymi słowami, po prostu i jasno — jakby ptak na gałęzi śpiewał nieuczenie nad smutnym człowiekiem, chcąc go pocieszyć. Zdawała sobie doskonale sprawę, że jeśli im wszystkim zabraknie siły do przetrwania tego sieroctwa, nowe na nich runie nieszczęście i usunie się im spod nóg ta odrobina ziemi, którą ojciec zdołał obronić, krwawo walcząc. Cztery — poza nią — były w domu kobiety i dziecko: matka była chora, ciotki co chwila wybuchały łzami, babka żyła poza czasem. Na Irenkę spadł obowiązek ratowania okrętu wśród nawałnicy, kiedy kapitan zginął w morskich odmętach. Serce miała mężne, oczy bez łez; lecz jakże ona tymi drobnymi rączkami utrzyma ster, kiedy wiatr wieje przeciwny, zrywa żagle i niesie okręt na rafy i skały? To już nie żart i radosna swawola, lecz obowiązek ciężki, twardy i ponad jej mizerne siły. Cóż ona wymyśli swoją biedną „mokrą głową”, skoro ojcowska okryła się siwizną?

Ojciec, Śmierć

Obowiązek, Żaloba

Dziecięce serce dodawało jej odwagi, głęboko wierząca jasna duszyczka patrzyła śmiało w dalekie mroki. Zależnęły oczy czterech kobiet i dziecka spoglądały na Irenkę, od niej oczekując zbawienia. Niechże zatem stanie się wola boska! Spróbuje być sercem smutnego domu, spróbuje go ocalić. Ma dokoła siebie ludzi uczciwych, którzy sprawili, z niezmiernym wysiłkiem pracując, że po śmierci jej ojca gospodarstwo szło jako tako. Proboszcz pomagał pocziwie, ten i ów z sąsiadów doradził, wszyscy starali się podeprzeć pochylony biały dom, lecz nie można było tak bez końca wołać o pomoc. Na cud jakiś licząc, dziecko postanowiło zastąpić ojca.

Patrzono na nią ze zdumieniem, pełnym zarazem zachwytu i litości. Na pozór pani Borowska kierowała nieszczęsnym dobytkiem, lecz prawdziwym rządcą jego była Irenka. Wychudła, z płonącym spojrzeniem robiła to, co zwykł czynić ojciec. Była wszędzie i wiedziała o wszystkim, niemal o każdym ździebелku słomy. Zwracano się do niej w każdej sprawie, jak gdyby to było najzupełniej oczywiste, że nikt inny tylko ona może rozwikłać gmatwaninę gospodarskich zagadnień i poplątanych jak ciernie kłopotów. A ona, z kropelkami potu na zamyślonym czole, zastanawiała się długo, co należy czynić. Gdzie tylko mogła, tam szukała rady, jednego niezbicie pewna, że jej każdy ze szczerego poradzi serca. Przez myśl nikomu nie przeszło, aby wyrządzić jej chociażby cień krzywdy. Nie było nawet takiego złodzieja, który by śmiał okraść tę dziewczynę. Na powszechną pogardę naraziłby się każdy, kto ważyłby się na najdrobniejsze wobec niej przewinienie. Handlarz nabiałem czy zbożem, który rodzzonego ocyganiłby ojca, ją zostawiał w spokoju i ostrzegał przed wszystkimi zasadzkami, które by jakiś przybysz mógł na nią zastawić.

Wlokło się życie z trudem, ale się wlokło. Co i rusz groziła nowa jakaś katastrofa i cudem kończyło się wszystko nieszkodliwie. Czas mijał, a biały dom stał jeszcze. Wtedy to Irenka uśmiechnęła się. Uśmiech ten wychylił się jak krokus spod śniegu. Dokoła jednak była jeszcze zima i nie zazieleniła się nadzieja. Mimo to trzeba było za wszelką cenę podtrzymać we wszystkich wiarę w tę radosną nadzieję. Irenka robiła to dziwny sposób. Wiedziała, że w pokoju obok skupiła się jej gromadka, bezbronna i bezsilna, że w milczeniu rozmyśla i z trudem wstrzymuje łzy. Wiedzieli przecież, że ona niesie ciężar, którego nie udźwignie, i że jej wreszcie musi zbraknąć siły. Trzeba im dodać otuchy. Irenka jest zmęczona, czuje szum w głowie i oczy jej się kleją, bo zerwała się o pierwszym brzasku, a to już późny wieczór. Uduje jednak, że nie wie o ich obecności w pobliżu, i zaczyna nucić. Wszyscy spojrzeli po sobie z nagłym, nieśmiałym, lecz radosnym zdziwieniem.

— Irenka śpiewa! — szepnęła ciotka Amelia.

— Śpiewa... — cichym, jakby oczarowanym głosem powtórzyła matka.

Ciotka Barbara nie rzekła nic, lecz poruszyła ustami. Modliła się cichutko za „Pannę z mokrą głową”.

Ona jednak wiedziała, że łatwo jest zwieść te pocziwe, naiwne serca, lecz nie uda się jej nabrać tych, którzy dobrze wiedzą. Nie będzie śpiewać na widok urzędowego listu lub wielkiej, groźnej, niebieskiej koperty, opatrzonej tajemniczą pieczęcią. Ile razy przyniesiono z poczty taki list, biegła z nim do księdza albo gnała konno do najbliższego sąsiada, który patrzył na nią z serdeczną litością, bo nie mógł znaleźć rady. A listów tych było coraz więcej i więcej, jak gdyby każdy następny gonił poprzedni. Nie mówiła o nich matce, bo i na cóż to się zdać mogło? Co mogła biedna pani Borowska poradzić, kiedy ktoś żąda pieniędzy, a tych pieniędzy nie ma? Nie mówiła jej tym bardziej, że z sercem matki było gorzej.

Przyjechał z miasteczka doktor, pan Lipień, jej ojca serdeczny przyjaciel. Był to znakomity lekarz i cudowna figura; zagrzebał się w małym miasteczku, choć mógł zyskać sławę w stolicy, i filozofował w wesoły sposób. Mały człowieczek patrzył bystro i układał usta w taki sposób jak ryba, która postanowiła umrzeć, lecz łapie jeszcze powietrze. Lipień nazywał się, a że to nazwa ryby, więc rybce stroił miny. Znał dobrze Irenkę, lecz od dawna jej nie widząc, przyglądał się jej teraz z prawdziwym upodobaniem.

— Czy mam — powiada — mówić z panią jak z dzieckiem czy jak z dorosłą panną?

— Jak z dorosłą. Ja mam już prawie czternaście lat. Niech pan doktor wszystko powie mi otwarcie. Jak jest z mamusią?

— Nie bardzo, ale nic złego. Teraz lepiej i będzie lepiej.

— Chwała Bogu!

Podstęp, Śpiew

Lekarz, Matka, Choroba

— Zgoda. Pan Bóg to najlepszy lekarz i nie potrzebuje apteki. Ale w tym domu to nie matka jest ciężko chora.

— Panie doktorze! A kto? Babka?

— Babka, jak dobrze pójdzie, mnie pochowa. Teraz może jeszcze podnosić ciężary. A ileż ona ma lat?

— Babka? Rozmaicie... Tego nikt dobrze nie wie. Przed trzema laty miała dziewięćdziesiąt, a przed kilku dniami siedemdziesiąt.

— To doskonale. Niech sobie kobiecina młodnieje. I nie babka jest chora, tylko pani.

— Ja? — uśmiechnęła się Irenka. — Ja jestem zdrowa jak żrebak.

— Tak to się panience zdaje, bo panienki od tego są, aby im się wciąż coś zdawało. Ciałem Irenki można by na dobrą sprawę rozbijać mury, ale ja nie o nim mówię. Jak długo pani nie lecę, będziesz, kobieto, zdrowa jak rydz, więc niech panią Pan Bóg przede mną zachowa jak najdłużej. Ale z czym innym jest gorzej.

— Z czym, panie doktorze?

— Pani długo nie wytrzyma. Ja wiem, co panienka wyprawia. Nie je, nie śpi, nie ma spokojnej chwili. Tak nie można, drogie dziecko. Zbliża się pani wprawdzie do sędziwego wieku lat czternastu, ale jest pani dzieckiem. I jednego dnia, co nie daj Boże, dziecko złamie się jak młoda brzoźka.

— Ja muszę — rzekła cicho.

— Czy nikt pani nie może pomóc?

— Nikt. Pan wie, że mamusia chora, a ciotki i babka...

— Wiem, wiem. Ciotek nie można zaprząć do pługa, bo nie uciągną, a babka też krowy nie wydoi. Biedactwa są to pocziwe... Ale pani też nie uciągnie. Niech pani nie gniewa się, że do nie swoich spraw się mieszam. Trochę jestem na ten temat pomyłony, a i pani też, jak ludzie opowiadają. Swoją swemu nie wyrządzi krzywdy.

Irenka uśmiechnęła się serdecznie.

— A ja będę swoje robiła!

— Zgoda. Wariatom sprzeciwiać się nie należy, mogę tylko zapisać okład z lodu na głowę. Ale jedno niech mi Irenka przyrzeknie...

— Co takiego, panie doktorze?

Doktor mówił wesoło, ale tak, jak gdyby pod tą wesołością chciał coś ukryć.

— Niech mi Irenka przyrzeknie, że kiedy poczuje w głowie zbyt wielki galimatias, to wtedy do mnie jak w dym. A jak jakieś nieszczęście, to też do mnie. Nawet gdyby mnie trzeba z łóżka wyciągnąć za łeb, bo ja bardzo cenię piwo, tylko że mi po nim spać chce się strasznie... A jakby coś tego... No... Jak to się zowie... Aha! Jakby coś tego z gotówką, też do mnie. W dzień czy w nocy. Niech pani takich zdumionych min nie robi, bo ja się nie przestraszę. Ja jestem stary sknera i składam talary, a mnie to po co? Żony nie mam, dzieci nie mam, a piwo tanie. Mam czerwoną, bawełnianą pończochę po prababce i już do piąty napelnilem ją srebrem i miedzią. Pończochę, oczywiście, nie prababkę... Dobrze, drogie dziecko?

Ułożył usta w „ciup” i udawał, że jest znakomicie ubawiony. Irenka patrzyła na niego rozrzuwiona, myśląc, dlaczego wszyscy tacy są dla niej dobrzy. Widzi tego człowieka może drugi, trzeci raz w życiu, a on do niej przemawia jak ktoś bliski i bardzo serdeczny. Bez wielkiego namysłu rzuciła mu się na szyję i ucałowała cudaczną jego twarz. Doktor pokraśniał, zdumiał się i rzekł ze śmiertelną powagą:

— Samą pończochę dam pani też.

I wyszedł, gadając do siebie głośno, strasznie z siebie rad.

Nie byłoby mu jednak tak wesoło, gdyby mógł odgadnąć, jak szybko sprawdzi się jego prorocтво. Z ludźmi dawała sobie dziewczyna radę, ale nie mogła podolać papierom. Nagromadziło się ich tyle, że nie mogła z każdym z osobna biec po radę do dobrych ludzi, jak to czyniła dotychczas. Papiery były wrogiem — licznym i niepojętym; nie miały serca ani litości, szczyrzyły tylko czarne zęby liter. Nie można było do nich ani zagadać, ani ich wzruszyć. Dziecko patrzyło na nie z przestachem, nie rozumiejąc, czego od niego chcą, o co je nagabują. Dziewczyna wiedziała to jedno, że wciąż grożą i grożą. Bała się dotknąć ich, a nie mogła oderwać od nich oczu. Co one oznaczają, czym straszą? Musiały być złe, bo matka, przejrawszy je, zbladła, a one wysunęły się z szelestem z jej drżących rąk. W Irence rósł lęk. Pewnej niedzieli poprosiła po mszy trzech sąsiadów i zatrwożonym

głosikiem ubłagała ich w imieniu matki, aby zaszli do białego domu i zbadali tajemnicę tych papierów. Uczynili to chętnie i przejrzeni je szybko, z doskonałą wprawą. Spojrzeli po sobie, a potem na Irenkę, wpatrzoną w nich tak, jak patrzy chory na twarze zebranych przy nim lekarzy.

— To nic złego, nic złego, drogie dziecko... — rzekł wreszcie stary, siwy pan. — Małe kłopoty. I tyle.

Irenka wyczuła jednak, że głos jego brzmiał niepewnie i nieśmiało. Potem jeden z nich poszedł z nią obejrzeć gospodarstwo, a dwaj inni chcieli porozmawiać z matką. Dyskutowali z nią długo i cicho. Nikt tej rozmowy nie słyszał. Kiedy jednak odjechali i Irenka spojrzała na matkę, zrozumiała wszystko, bo łzy w oczach pani Borowskiej bardziej wymowne były od słów.

Biały dom umarł.

Mieszkali w nim jeszcze przez kilka miesięcy, a kiedy wiosna przystroili sobie młodą, niedowarzoną głowę kwiatami, odbył się pogrzeb białego domu. Przybyło mnóstwo obcych ludzi i jakieś urzędowe osoby. Wszyscy jakby wielką ogarnięci litością, zachowywali się cicho i czynili jakieś wysiłki, aby ocalić jak najwięcej — jakby z pożaru. Ludzie ze wsi otoczyli dom gromadą i patrzyli w wielkim milczeniu na tych, co tu długo mieszkali, nigdy nikomu nie zrobili nic złego, a zawsze czynili dobro.

Irenka była bardzo blada, lecz spokojna. Już pożegnała się z grobem ojca, a teraz, kiedy nikt nie widział, całowała ściany tego domu, co ją tak bardzo kochał. Gładziła ręką meble, żegnała się z każdym przedmiotem. Pozwolono im zabrać niewiele. Na jednej furce siedli oni wszyscy, a na drugiej wieziono te rzeczy, które dla nich ocalały. Żegnano ich z serdecznym wzruszeniem, całowano po rękach i głośno błogosławiono. Irenka chciała uśmiechnąć się do wszystkich, uczyniła to jednak tak niezręcznie, że zamiast napelnić się uśmiechem, oczy jej zaszyły łzami.

— Trzymaj się, Irenko — szepnął jej ksiądz.

— Dobrze! — rzekła Irenka.

Pojechali do miasteczka, w którym już przedtem wynajęto dla nich mizerny domek przy uliczce spokojnej i pełnej kurzu. W dwóch izdebkach ustawiono biedne sprzęty, w oknach zaś kwiaty zabrane przez Irenkę, bo tego nikt jej nie bronił. W domku tym było przeraźliwie ciasno. W jednej izdebce mieszkała pani Borowska z Jasiem, ciotki z babką w drugiej, a Irenka objęła we władanie kuchenkę, do której przez okno zaglądały zakurzone badyle. Z gorączkowym pośpiechem zdołała swoją nową siedzibę, zmiotłszy senne pajęczyny. Zauważyła z radością, że słońce przywędrowało tutaj za nimi, bo domek zwrócony był ku południowi i małymi oknami patrzył na dalekie wzgórza, tak wyrosnięte jak ogromne bochenki chleba. Miasteczko było niewielkie, wesołe i miłe. Irenka знаła je wybornie, było to bowiem jej „stolica”, do której przyjeżdżało się na dworzec kolejowy, na pocztę i do szkoły na czas składania egzaminów.

Po mądrej głowie Irenki zaczęły szybko krążyć bardzo ważne myśli. Trzeba było za wszystkich obmyślić, jak urządzić teraz życie, czym wykarmić nieszczęsną gromadkę, a przede wszystkim — jak sprawić, aby zapomnieć o tym, co było, i dźwignąć się z trzęsawiska smutku. Po cichej, roztropnej radzie z matką dowiedziała się, że starczy im środków może na rok, a może na krócej. Trzeba będzie jednak oszczędzać przeraźliwie. Irenka skinęła głową.

— Ale co potem, co potem? — szepnęła matka.

— Na zmartwienie jest zawsze czas — odrzekła Irenka. — Niech tylko mamusia będzie spokojna. Ja coś wytrzasnę z mojej kudłatej głowy.

Biedna ta głowa pracowała istotnie tak, że aż trzeszczało. Wielkim jej wezyrem<sup>68</sup> i tajnym radcą stał się teraz doktor Lipień, mieszkający nieopodal. Szwargotał on czasem z Irenką przez długie godziny i rad jej udzielał znamienitych. Zdarzało się też, że zamiast dobrej wskazówki przyniósł ukrytą w przestronnym parasolu parę kurczaków, które otrzymał jako zapłatę za lekarską poradę, albo, ostrożnie krocząc, jakby był ze szkła, dobywał z licznych kieszeni dwanaście jaj pochodzących z tego samego źródła. Sławny bowiem to był lekarz. Leczył zaś tak, jak żaden lekarz na świecie. Przychodzi na przykład stare chłopisko, wynędzniałe i zabiedzone tak, że tylko skóra wisi na kościach jak

Dom, Rozstanie

Lekarz, Zabobony, Podstęp

<sup>68</sup>wezyr — tytuł dostojnika państwowego w krajach muzułmańskich. [przypis edytorski]

plaszcz na wieszaku. Każdy lekarz powiedziałby, że chłop jest wynędzniały i musi dobrze się odżywić, aby nabrać sił. A doktor Lipień mówi tajemniczo do chłopca i jego żony:

— Weźmiesz, bracie, czarną kurę. Nie może być ani biała, ani czerwona, tylko czarna. Niech ją baba zarżnie o świtanie, a potem niech za siebie splunie trzy razy. Jakby splunęła cztery razy, to nie będzie ważne. Słuchajcie dobrze! Potem tę kurę musi gotować przez dwie godziny, a kiedy będzie miękka, niech ją podzieli na trzy części i trzy razy niech wam to da do zjedzenia. Ale nim ją, bracie, zjesz, powiedz przedtem: „Twoje zdrowie, moje zdrowie!”. I tyle. A jak sobie zjesz wszystkie kury, które masz, będziesz zdrow jak sam pan starosta.

Ksiądz proboszcz mówił do doktora:

— Czy konsyliarz<sup>69</sup> zmysły postradał czy co? Po co doktor ludzi oglupia i każe im pluć trzy razy po zarżnięciu kury? Czy chłop bez tego nie może jej zjeść?

— A właśnie, że nie — odpowiedział doktor. — Najpierw dlatego, że mu jej będzie żal, a następnie, co to za wielka sztuka zjeść kurę! I jaki ze mnie doktor, co zamiast proszków zapisuje kurę, którą można sprzedać i coś z tego mieć. Ale ja znam swoich pacjentów. Skoro musi być czarna, przy jej zarżnięciu trzeba diabelskie zaklęcia gadać do niej po naglej i niespodziewanej śmierci, w takim razie coś tym jest. To takie niewinne czary, księżu dobrodzieju, ale chłop pożywi się i wyzdrowieje.

— A dlaczego ma być potem zdrow „jak sam pan starosta”?

— To też hasło proste. Jeśli powiem chłopu, że będzie zdrow jak ryba, wcale mu nie przemówię do wyobraźni. A starosta to trochę więcej niż ryba.

Ksiądz machnął ręką z wielką rezygnacją, a doktor Lipień leczył na swój sposób i doskonale leczył. Kiedy musiał zapisać proszki, które trzeba było połykać co dwie godziny, najprzedszywniejsze do tego zabiegu wymyślał ceregiele.

— Pierwszy raz — mówił — zażyjesz, kiedy w kościele odprawiają mszę świętą. Wtedy to najbardziej pomaga. Potem patrz, kiedy dzieci idą do szkoły. Wtedy staniesz tyłem do słońca i znowu weźmiesz proszek. Trzeci raz wtedy połkniesz, kiedy usłyszysz gwizd lokomotywy na kolei, a czwarty raz, kiedy w kościele zadzwonią na południe.

I tak aż do nocy, a chłop, niemający zegara, nie opóźnił pory ani o minutę. Bo jakże tu nie wierzyć takiemu lekarzowi, co każe tyłem stawać do słońca? Zaden nie kazał, a ten — tak. Już on tam swoje wie! Tajemnica to wielka rzecz, a bez czarów najlepszy proszek nikomu nie pomoże.

Irenki w ten sposób nie leczył, lecz mówił po prostu:

— Nie martw się, dziewczyno, bo nos ci się wydłuży. Masz tu kuraka, którego ja nie zjem za żadne skarby świata, bo krzywo na mnie spojrzał. Zarżniesz go o świtanie... Tfu! Do licha! Rób sobie z nim, co chcesz. A jeśli sama też nie zjesz, to cię przeklnę.

Chytry doktor wiedział o machinacjach Irenki, bo często udawała tylko, że je, byle zachować coś dla matki albo dla Jasia, który chodził do szkoły, ciężko narzekając na tego, który wymyślił tę instytucję. Nawet okruszyny zbierało się w tym biednym domku.

Trzeba było nakarmić głód i smutek, ciała i dusze. Tym drugim, dziwnym pokarmem zajęła się Irenka, mająca w tym względzie doświadczenie. Powoli i ostrożnie zaczęła prząść radość jak srebrny pajęczek swoje przedziwo. Z wesołym uporem wmawiała we wszystkich, że mieszkanie jest wygodne i przestronne, że miasteczko jest czarujące, a słońce tak samo złote jak dawniej było. Leczyła swoich takimi samymi gusłami<sup>70</sup>, jak doktor Lipień leczył zabobonnych kmiotków. Była szczęśliwa, jeżeli na czyichś ustach pokazał się uśmiech, taki błady jak uśmiech na ustach chorego dziecka. Za jej sprawą smutek zaczął opadać i rzednąć jak mgła przed świtem, wzbudzony ból serc uciszał się, jak woda na jeziorze przysychały lzy. Czasem Jaś zaśmiał się głośno i z całego serca, słuchając obłąkanej gadaniny Irenki. Najpierw przyjmowano ten śmiech z nagłym zdumieniem, jak gdyby nieznany daleki głos, z czasem zaś zaczęto oczekiwać z upragnieniem złotej radości dziecka. Znużeni ludzie wreszcie odpoczywali i zdawało się, że w dwóch bielonych izdebkach życie ułożyło się jako tako. Tak jednak tylko zdawało się. W izdebce po lewej stronie, zamieszkannej przez babkę i ciotki, odbywały się jakieś knowania i spiski. Zdumienie Irenki było bezgraniczne, kiedy dowiedziała się przypadkiem od Jasia, że ciotka Barbara chodzi-

<sup>69</sup>konsyliarz (daw.) — tu: lekarz. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>gusła — obrzędy towarzyszące praktykom magicznym. [przypis edytorski]

ła na pocztę, co odniosło piorunujący skutek, po tygodniu bowiem oszołomiona ciotka otrzymała list — zapewne odpowiedź — i czym prędzej ukryła go na piersi. Pocciwiu babinec coś knuł i jakąś podziemną snuł intrygę.

Wreszcie ziemia zakołysała się, a wulkan wyrzucił pod niebo wielką wiadomość. Oto ciotka Barbara miała jakąś całkiem zamożną przyrodną siostrę, która, owdowiawszy po raz trzeci, wiodła siwy i spokojny żywot we Lwowie<sup>71</sup>, najbardziej gościnnym mieście na obu półkulach niegościnniej ziemi. Osoba ta, samotna jak księżyc na niebie, wzruszona listem Barbary pisany łzami, zgodziła się na przyjazd jej i babki. Zaświadczyła to w liście bohaterskim, a zarazem rzewnym, dowodzącym, że są jeszcze na świecie, a w mieście Lwowie szczególnie, ludzie dobrzy i miłosierni. Żadnych nie obiecywała rozkoszy, ale kąt spokojny i kęs chleba. Babina miała zacne serce. Babka oświadczyła z miejsca, że tygodnia nie przeżyje w nieznanym mieście, ale pojedzie, bo chciałaby na stare lata zobaczyć kawał świata.

Wysłuchano tej wieści ze zdumieniem tak głośnym, że nikt nie usłyszał uwagi obecnego przy tym doktora, który więcej na użytek własny niż na użytek publiczny rzekł cicho:

— Babka z wozu, koniom lżej...

Zapowiedź rozstania najbardziej zdumiała ciotkę Amelię. Patrzyła na babkę i na Barbarę jak na szalone podróżniczki, co wybierają się do afrykańskiej puszczy. Rozumiała, że tylko śmierć je rozłączy. Wiedziała o liście Barbary, nie spodziewała się jednak tak rychłego rozwiązania. Widać, że tak trzeba, bo w białym domu było wiele miejsca, ale tu go nie ma. W białym domu był zawsze chleb, a tu go często brakło. Nagle poczuła się strasznie winna, bo przecież ona też jest ogromnym ciężarem i je oplakany chleb tych, którzy go nie mają zbyt wiele. W niespodzianym olśnieniu, jakby własną, niezawinioną ujrawszy zbrodnię, rzekła cicho, lecz stanowczo:

— Ja też jadę!

— Ale dokąd? — zawołała pani Borowska.

— Nie wiem... — odrzekła Amelia i rozejrzała się dokoła, jakby szukając ratunku.

Doktor Lipień kiwnął głową z wielkim uznaniem. Przyłożył palec do czoła, jakby nakazywał czujność swojej mądrej głowie i wzywał ją do potężnego wysiłku, a po chwili rzekł:

— Czy pani naprawdę chciałaby wyjechać?

— Chciałabym umrzeć! — westchnęła Amelia.

— Przy takim jak ja doktorze może to pani zdarzyć się bez wielkiego zachodu. Ale lepiej jest żyć, bo śmierci nie da się tak łatwo odrobić. Każdy gada, że chciałby umrzeć, a jak przyjdzie co do czego, wtedy krzyczy, że nie chce, i dopiero doktorzy muszą mu pomóc, aby życzenie się spełniło. Coś pani powiem, panno Amelio... Nie gniewajcie się, że to wszystko gadam, ale dla tego berbecia — tu pogardliwym ruchem głowy wskazał Irenkę — gotów jestem narazić się na wyrzucenie za drzwi. Tylko spokojnie! Otóż rzecz jest taka: tak razem, w kupie, nie dacie rady. Nie ma co ukrywać... Jeszcze dwa miesiące, jeszcze trzy, a co potem? *Finis, punctum*<sup>72</sup>, pauza. Trzeba więc ulżyć sobie nawzajem...

— Ależ doktorze! — rzekła z wyrzutem pani Borowska.

— Oho! Serce gada, a ja mówię na rozum. Nie przerywajcie mi, bo jestem natchniony i improwizuję. Otóż, babcia dobrodziejka i panna Barbara zrobiły wspaniałą karierę.

— Kto umarł? — krzyknęła ni stąd, ni zowąd babka.

— Dotąd wszyscy moi pacjenci — huknął doktor. — Cóż jednak uczyni panna Amelia, która płacze, bo wie, że wam wszystkim ciężko? Proszę pani! Ja mogę mówić, że pani płacze, ale to nie powód, aby pani naprawdę beczała. Najlepiej niech się pani odwróci twarzą do ściany i popłakuje w tej pozycji, a ja dokończę moją wielką mowę.

— Ja już nie płaczę... Ja słucham, drogi doktorze. Pan jest...

— Na Boga! Proszę nie kończyć, bo dzieci dowiedzą się o mnie czegoś strasznego. Otóż panią, panno Amelio, skażę na ciężkie roboty. Czy państwo słuchają uważnie?

— Słuchamy.

<sup>71</sup>Lwów — miasto ukraińskie, ośrodek administracyjny rejonu lwowskiego. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*finis, punctum* (łac.) — koniec, kropka. [przypis edytorski]

— Jest w tym nie bardzo podłym miasteczku jeden stary dziwak. Dobry człowiek, tylko narwany. Posiada chałupę, kanarka, psa i nikogo więcej na świecie. Kanarek ma złamaną nogę, pies ma pchły, a jego pan ma kielbie we łbie. W domu jest mała, prowincjonalna filia wielkiego zakładu dla wariatów; obiad jedzą tam czasem o północy, w lustrze może przeglądać się chyba śmierć, bo tak zaśniedziało, ubranie leży pod łóżkiem, a buty wiszą w szafie. Nadzwyczajna rozmaitość... Gadałem z tym mandrylem<sup>73</sup>, aby wreszcie, choćby przed śmiercią, jaki taki ład zaprowadził w swoim domu. Mówię mu: „Czy panu nie wstyd robić chlew z katolickiego domu?”. Odrzekł mi, że nie ma czasu na głupstwa. „Weź pan sobie zacną i stateczną gospodynię!”, powiadam. „A skąd ja, u licha, wytrzasnę zacną i stateczną gospodynię!”, mówi. A ja mu na to: „A ciotka Amelia to pies?”. Och, przepraszam! Nie tak powiedziałem, tylko jakoś podobnie.

— Nie szkodzi, nie szkodzi — uśmiechnęła się Amelia przez łzy.

— Ja wiem, że nie szkodzi, ale przeprosić trzeba — odrzekł doktor. — Stańło więc na tym, że stare dziwadło chętnie i z całego serca odda pod pani opiekę swój ohydny dom, coś tam nawet za to zapłaci, nakarmi i napoi. Czy to nie doskonały pomysł?

— Świetny! — krzyknęła z entuzjazmem Amelia.

Pani Borowska pokręciła głową.

— Dobrze — rzekła — ale sam pan mówi, że to bzik. Czy to naprawdę wariat?

— Czasem miewa chwile przytomności — rzekł doktor z uznaniem. — Poza tym nie bardzo szkodliwy. Nie gryzie, nie wyje i nie kąsa.

— Któż to taki?

— No, któż? Czy to tak trudno zgadnąć?

— Pan doktor! — krzyknęła z triumfem Irenka.

— Jeden wariat od razu pozna drugiego — rzekł doktor z głębokim uznaniem.

## IX

Gromadka rozpieczęła się jak stadko kuropatw po wystrzale. Uroczystość rozstania była w miarę żałobna, a trochę komiczna; wzruszająca i rzewna była chwila, kiedy Irenka z niezwykłą powagą, jaką musiał mieć na twarzy Napoleon<sup>74</sup>, żegnający swoją gwardię, wydobyła z szafy małe zawiniątko i wręczając je oszołomionym ciotkom, rzekła:

— Tatuś polecił mi, abym to zwróciła.

Był to ów dostojny a ubożuchny skarb ciotek, ofiarowany panu Borowskiemu w smutnej godzinie.

Wielką beczkę straży pożarnej można by napelnić łzami, które popłynęły tego dnia. Serce nie mogło oderwać się od serca, nie dawały rozpleść się ramiona. Wreszcie babcia z rozzwierającym okrzykiem: „Ja tygodnia nie przeżyję” zakończyła żałobną uroczystość i rozpoczęła jej ustęp wesoły — za żadną bowiem cenę nie chciała wejść do wagonu, głośno narzekając, że kolej wymyślił diabeł, a w żelaznych klatkach powinno się wozić małpy, a nie uczciwych ludzi. Dopiero natarczywy gwizd sapiącej ze zmęczenia lokomotywy przeraził babkę, a doktor, korzystając z tej chwili, wepchnął ją do wagonu.

— Grubianin! — zdołała krzyknąć babka i odjechała w siną dal.

Ciotka Amelia zamieszkała w domu doktora i objęła generalską władzę nad straszliwą graciarnią i przeznaczoną do posług osobą płci żeńskiej, żywo przypominającą żołnierza ciężkiej artylerii.

— Jest to dobra dziewczeczka — objaśnił doktor. — Ma tylko tę wadę, że myje się rzadko i jedynie z polecenia lekarza. Poza tym od stycznia do grudnia obwiązuje sobie twarzyczkę, bo się boi, aby jej nie zawiało. Kiedy robi herbatę, można ją uważać za rosół, a kiedy ugotuje rosół, można go podać jako herbatę. Ja jednak nie narzekam, bo sam tego nigdy nie spożywam, chyba że odważny znajdzie się gość, wtedy tym piekielnym odwarem<sup>75</sup> raczy się gościa, aby już nigdy nie wrócił. Zdaje mi się, że pan burmistrz dlatego nie kłania mi się od roku, bo raz był u mnie na obiedzie. Niech to pani nie przestrasza.

Sluga

<sup>73</sup>mandryl — gatunek małpy; tu: złośliwie o człowieku. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>Bonaparte, Napoléon a. Napoleon I (1769–1821) — francuski mąż stanu, dowódca wojskowy i przywódca polityczny; cesarz Francuzów. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>odwar — wyciąg wodny z gotowanych roślin o właściwościach leczniczych. [przypis edytorski]

Dzieweczka, jak już powiedziałem, jest miła, a na starość zrobię z niej pierwszorzędną czarownicę.

Ciocia Amelia pomyślała z przestachem, że jeżeli ona przyrządzi rosół, to ją anielski ten człowiek zastrzeli albo jej każe wypić truciznę. Uznała jednak, że Irenka, która wszystko umie, powoli we wszystkie gospodarskie kunszty ją wtajemniczy.

Doktor nie zwracał jednak uwagi na drobiazgi; można było podać mu smażony stary kalosz, a on byłby nie zauważył, co pożera. Zaciekała go inna sprawa.

— Powiedz mi, nadobna Irenko — rzekł raz tajemniczo — czy dostojna Amelia jest lunatyczką?

— Ależ nie! — zaśmiała się Irenka.

— A może ona uczyniła ślub, że wśród nocnej ciszy będzie gadać sama ze sobą przez dwie godziny?

— A czy ciocia tak gada?

— Z gadaniem mniejsza, bo ja śpiam daleko, po drugiej stronie domu, ale ciocia czasem wykrzykuje, jakby dowodziła wojskiem.

Irenka z wielkiego śmiechu chwyciła się rękami za to miejsce, w którym wedle zgodnej opinii uczonych znajduje się żołądek.

— Oj! To pan doktor o niczym nie wie?

Doktor przechylił śmiesznie głowę i tak na nią patrzył jednym okiem jak kura na jastrzębia.

— Przecież ciocia pisze wiersze, a kiedy tworzy, głośno je powtarza.

— Och! Och! — zdumiał się doktor. — Czy na to nie ma rady?

— Zdaje się, że nie ma.

— A gdyby tak zimne okłady na głowę? To nadzwyczajne! Patrzysz na kobiecinę i niby nic: chuchro! A w niej mieszka szatan, demon poezji. Czy ona potrafi prorokować?

— Chyba nie, dotąd nie zdarzyło się to jeszcze.

— Wielka szkoda, wielka szkoda! Jeździłibyśmy po jarmarkach i zbijałobyśmy grube pieniądze. Ja robiłbym hokus-pokus, a ciocia wygłaszałaby prorocтва. Na co Irenka tak pilnie patrzy?

— Patrzę, bo panu doktorowi pękł but.

— Przenigdy! Czasem pęka mi serce, ale dziurę w tym bucie ja sam wyciąłem. Jest to pomysł głęboki i zrealizowany po wielkim namyśle, bo w tym miejscu mam odcisk, więc mu otworzyłem okno na świat.

— A kiedy pada deszcz? — zanosila się Irenka od śmiechu.

— W okresach burzliwych, mroźnych lub deszczowych odnajduję w kieszeni wycięty kawałek skóry i wkładam go w miejsce jego pochodzenia. Wtedy cierpię i milczę.

Przyjaźń Irenki z doktorem była bezgraniczna i oparta na całkowitym zaufaniu. Dobry ten i przedziwnie mądry człowiek wiedział o każdym drgnięciu dziewczęcego serca. Gdyby miał własną córkę, nie mógłby jej kochać serdeczniej. Irenka zaś uwielbiała go razem z jego niewinnymi dziwactwami, z pokaleczonym butem, ze zbyt obszernym kołnierzykiem celulooidowym (który można było do stanu świetności przywrócić przez obmycie go zimną wodą), z wesołym sposobem mówienia. Wybiegała czym prędzej za próg, kiedy ujrzała przez okno drobną figurkę w meloniku na głowie, figlarnie opuszczonym w stronę lewego ucha, gestykulującą rękami w jaskrawożółtych, nicianych rękawiczkach i kroczącą z powagą kardynała, który za chwilę będzie błogosławił padający na kolana lud. Na rzęsiste ukłony i głośne powitania — lubiano go bowiem nadzwyczajnie — odpowiadał przyjaznym, lecz łaskawym skinieniem ręki i poruszeniem głowy takim, jakim kłania się porcelanowa figurka Chińczyka. W wypadkach szczególnie rzadkich i osobliwych ujmował dwoma palcami kres<sup>76</sup> twardego kapelusza i unosił go nad czubkiem głowy ruchem największego eleganta ze śmiesznych okresów mody. Mądry i przezorny otwór w bucie, o którym wiedziało całe miasteczko, nie psuł bynajmniej wytwornej całości, jak dziurki w nosie nie szpecą nosa.

Odwiedzał domek pani Borowskiej; codziennie bawił smutną kobietę w sposób godny francuskiego markiza, ciekawie jej czasem opowiadając o nowych, a przedziwnych

Lekarz, Przyjaźń, Radość,  
Śmiech

<sup>76</sup>kresa (daw.) — tu: rondo kapelusza. [przypis edytorski]

sposobach pozbywania się solitera<sup>77</sup> lub o chorobach ciężkich, a mało zbadanych. Kiedy rozumiał, że pani Borowska ma dość, badał jej serce, oznajmiał poetycznie, że z takim sercem można startować w konnych wyścigach, i żegnał ją grzecznie, śpiesząc na konferencję do Irenki. Zajął ona izbę po ciotkach, więc sala konferencyjna zawsze była gotowa.

Wiedli rozmowy wielce poważne, a im poważniejsze, tym głośniej śmiała się dziewczyna. Bez wtóru śmiechu mówiono wtedy tylko, kiedy omawiano przyszłość, chorobę matki lub sprawy codzienne — szare i dokuczliwe. Doktor, sam siebie mianowawszy opiekunem Irenki, musiał wiedzieć o wszystkim, bo i o tym nawet, co Irenka upitrasila na obiad i czy buty Jasia trzeba oddać do naprawy.

— Bóg nam pana zesłał, drogi panie doktorze! — mówiła czasem Irenka.

— Widać nie miał nikogo lepszego pod ręką, więc zesłał takiego jak ja marcepana. Czemu dzisiaj wyglądasz jak piątek ze śledziem i z pieczonymi kartofłami?

— Martwię się...

— To łatwe zajęcie, tylko że niepotrzebne. Czym się martwisz?

— Panie doktorze! Ja muszę czymś zająć się... Znaleźć jakąś pracę...

— Świetnie! Możesz uczyć tańczyć dwóch paralityków w naszym mieście, bo innej roboty nie znajdziesz. Albo będziesz u mnie udawała taką, co była beznadziejnie chora, ale od razu ozdrowiała, ledwie na nią spojrział.

— Nauczę się szycia i będę zarabiała.

— Szycia nauczysz się, a kiedy już będziesz umiała, zaszyj sobie czarną nitką żołądek, aby oduczyć się jedzenia, bo tyle właśnie tym szyciem zarobisz. Tu każdy sobie sam fabrykuje kieckę, a ta kiecka przechodzi naturalną koleją z babki na matkę, a z matki na córkę. Siedzę tu dwadzieścia pięć lat, a moda nie zmieniła się ani razu. Ja też uległem zwyczajowi i od dwudziestu pięciu lat noszę te spodenki, nazwane figlarnie „pepita”. Rozpruj, dziewczyno, swoje marzenia, zanim je uszyjesz.

— Coś jednak muszę robić...

— To z kabzą<sup>78</sup> jest tak źle?

— Widać dno, panie doktorze.

— Kiedy widać dno, powiada jeden filozof, to nieomylny znak, że studnia wyschła. Nawet butelka kończy się wreszcie, jak słusznie zauważył pewien pijak. A wiele tam tego jeszcze zostało?

— Na jakiś miesiąc. Gdyby nie to, że czasem nam z naszej dawnej wsi przywiozą dobrzy ludzie mąkę albo kartofle, to już nie byłoby i tego. Ja nawet na nafcie oszczędzam i po ciemku sobie z mamą gadamy. Dlatego muszę myśleć na gwałt o tym, co będzie.

— Słusznie. Wiewiórka też zbiera orzechy na zimę, ale ty nie jesteś wiewiórką. Musimy wobec tego namyślić się głęboko, ale mamie ani słowa.

— Mama wie przecież. Oka czasem przez noc nie zmruży, tylko myśli i myśli.

— To źle. Mędrcy myślą się mówiąc, że noc przynosi dobre rady, gdyż niewyspany człowiek jest bardziej bezradny niż taki, co przechrapał zmartwienie. Niech zatem mama śpi, a ja będę wymyślał. I ty będziesz myślała. Najpewniej we dwoje nic nie wymyślimy, ale należy spróbować. Na zmartwienie będzie zawsze czas.

— Ja też tak sobie zawsze mówiłam, ale teraz nie umiem sobie czasem dać rady ze zmartwieniem.

— Ty? Ty, dziewczyno, dasz radę morowemu powietrzu<sup>79</sup>. Nawet ja, którego los okrutnie doświadczył, czuję ulgę w twoim towarzystwie.

— O, Boże! Co się stało? Czym pana doktora los doświadczył?

— To mi się stało, że jeden chory, który wedle moich obliczeń powinien był wczoraj oddać Bogu ducha, dzisiaj wstał zdrowy i pobił żonę, a ja nie wiem czemu! To znaczy, wiem, dlaczego pobił żonę, ale nie wiem, dlaczego wyzdrowiał, wbrew nauce. Śmiej się, śmiej, ale mnie jest nieskończenie smutno.

Spod oka patrzył jednak figlarnie, nadzwyczajnie rad, że Irenka śmieje się głośno. Radosny śmiech czał się w niej jak iskra pod szarym popiołem i trzeba było lekkiego

<sup>77</sup>soliter — tasiemiec, larwa pasożytująca w przewodzie pokarmowym. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>kabza (daw.) — woreczek na pieniądze. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>morowe powietrze (daw.) — dżuma. [przypis edytorski]

dmuchnięcia, aby buchnął złoty płomień. Wiosna popłacze sobie czasem krótkim deszczem, ale zakochana jest w słońcu.

Nazajutrz przydreptała ciocia Amelia. Była bardzo rozgorączkowana i niespokojna, ale śmiejąc się nienaturalnie głośno, przypominała list Barbary, opisujący podróż w towarzystwie babki, kiedy ta ostatnia, przerażona pędem pociągu, chwyciła kurczowo za hamulec bezpieczeństwa, lokomotywa zaczęła przeraźliwie gwizdać i pociąg zatrzymało. W ciągu tego znanego wszystkim opowiadania spłynął na jej twarz niespodziewany rumieniec, lekki i różowy jak panińskie westchnienie, i ciotka rzekła ni stąd, ni zowąd:

— Wyobraźcie sobie, moje drogie, co mi się wydarzyło. Szukam ja wczoraj w moim tobołku zaginionej pończochy... Wiecie, co to takiego... Takiej zwyczajnej pończochy...

Wszyscy wiedzieli, co to jest pończocha, więc ze zdziwieniem patrzyli na ciotkę Amelię.

„Ciocia coś zmyśla”, pomyślała Irenka.

— A pończochy nie ma. Albo myszy zjadły, albo przepadła... Szukam, szukam, aż wtem czuję, że dotykam jakichś papierków... To dziwne, prawda?

— Cóż dziwnego? — uśmiechnęła się pani Borowska.

— Ach, to bardzo dziwne... Bo patrzę, patrzę i oczom nie wierzę... To były pieniądze.

— Pieniądze? Skąd pieniądze?

— Otóż właśnie... Sama nie wiem... Przez całą noc myślałam, skąd ja mam te pieniądze? Aż tu nad ranem przypominam sobie, o, doskonale sobie przypominam, że przed kilku laty świętej pamięci kuzyn dał mi te pieniądze i powiada: „Niech panna Amelcia schowa, bo ja nie mam gdzie”. No i ja schowałam, a wczoraj znalazłam... Oto te pieniądze!

„O, jak ty umiesz kłamać, droga ciotko!”, myślała Irenka.

Pani Borowska uwierzyła pocziwie niezdarnej opowieści, bo wszystkiemu wierzyła i wszystkim. Irenka nie rzekła ani słowa, tylko nieufnie kręciła czarną głową; kiedy jednak nazajutrz przyszedł doktor, popatrzyła mu prosto w oczy, on zaś z dziwnym pośpiechem spojrzął w okno.

— Pan doktor — rzekła Irenka — gubi niewinną duszę ciotki, a tu jest kwit.

Podala mu kartkę papieru, która głosiła, że ona, Irena Borowska, winna jest doktorowi Zenobiemu Lipieniowi sumę złotych stu, które zobowiązuje się zwrócić w czasie nieograniczonym.

— Czy tak dobrze? — zapytała.

— Wyśmienicie! — bąknął doktor zapłoniony jak panna.

Nagle gniew go poderwał jak wicher suchy liść.

— Że też ta ciotka nawet zęgać nie potrafi uczciwie!

Wyszedł w wielkiej alteracji<sup>80</sup> i mocno zaperzony, gotów do najbardziej krwawej awantury, gdyby mu ktoś stanął w drodze. Wymyślił wybornie całą komedię, a Amelcia niezdarnie ją odegrała. A Irenka — też ziółko, nie daj Boże!

— Spróbuj taką ołgać<sup>81</sup>! — wykrzyknął na głos z wielkim uznaniem.

— Moje uszanowanie panu doktorowi — zawołał ktoś uprzejmie.

— Do widzenia... Następny! — odrzekł doktor ni w pięć, ni w dziewięć, machnąwszy ręką w stronę zdumionego przechodnia.

Tego zaś dnia, nie mogąc jeszcze ochłonąć ze zdziwienia, że najchytrzejszy jego pomysł został odkryty, napisał receptę na odwrotnej stronie kwitu Irenki.

Wspaniale zaplanowany czyn doktora pomógł wprawdzie, ale niewiele; pozwolił jednak Irencie namyślić się spokojnie, co odniosło ten skutek, że dnia jednego podskoczyła w górę i czym prędzej pobiegła do doktora.

Ucieszył się bardzo i rzekł z wielką powagą:

— Jeśli przysłaś po lekarską poradę, to źle trafiłaś. Ja leczę żołądek, nerki, płuca i wątrobę, ale nie jestem specjalistą od pomylenia głowy. Z tym musisz jechać do Warszawy.

— Ja właśnie chcę jechać do Warszawy!

<sup>80</sup>alteracja (daw.) — wzburzenie, niepokój. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>ołgać (pot.) — okłamać. [przypis edytorski]

— Nie pomyliłem się — rzekł on smutno. — Głowa... Siadaj i mów, byle poważnie, a nie takim piskliwym głosem jak zwykle. „Kto umarł?”, jak mówiła babka; daj jej, Panie Boże, zdrowie.

— Doktorze, drogi doktorze! Ja mam myśl...

— I ślepeму zdarzy się, że coś znajdzie, kiedy długo szuka.

— Niech sobie pan doktor gada, co mu się podoba, a ja jednak mam myśl!

— Gadaj w imię boże! Ja wiele wytrzymam, a gdybym zasłabł, zawołaj ludzi.

— Drogi doktorze! Moja mama ma ciotkę...

— W uczonych księgach czytałem, że rzecz taka jest możliwa.

— Jeżeli pan doktor nie spoważnieje i będzie robił hece, pójdę sobie i nigdy nie wrócę.

— Wrócisz za trzy dni na mój pogrzeb, bo ja uschnę z rozpaczyny jak drzewo w mróz. I cóż z tą ciotką? Zauważyłem, że w waszej rodzinie jest na ciotki urodzaj. Jedna mniej, jedna więcej... Skończyłem.

— Otóż ta ciotka to nie taka zwyczajna ciotka. To hrabina!

— Jeśli jest chuda i długa, rym do niej będzie „drabina”. Widziałas kiedyś ciotkę hrabinę?

— Nigdy jej nie widziałam, bo ona nie bardzo nas kocha.

— Niech jej za to wypadną dwa przednie zęby! — zakrzyknął doktor z nagłym gniewem. — A czemuż to ona nie bardzo was kocha?

— Ja domyślam się tylko — mówiła Irenka — bo na pewno nie wiem.

Opowiedziała doktorowi obszernie o niechęci pani Opolskiej wobec szaraczka, za którego uważała jej ojca, i historię listu wysłanego przez matkę.

— Dziwna rzecz — mówił doktor — zdawało się, że każda ciotka jest chodzącą, uśmiechniętą dobrocią. Widać, że gatunek ciotek marnieje i wyradza się. I ty wybierasz się do takiej ciotki? Po co?

— Panie doktorze! Wolałabym sto mil przeczołgać się na kolanach. Serce we mnie martwieje na myśl, że ja muszę prosić. Gdyby szło o mnie tylko, nie uczyniłabym tego nigdy i albo umarłabym z głodu, albo wstąpiłabym do cyrku, bo umiem dobrze jeździć konno. Pan jednak najlepiej wie, co się z nami dzieje. Przecież ja patrzeć nie mogę, jak się mama męczy w zatęchłej, wilgotnej izbie i musi jeść suche kartofle wtedy, kiedy jej najbardziej potrzeba porządnego jedzenia. A co będzie z Jasiem? Zima już jest i zacząną się straszne rzeczy.

— Nic strasznego nie stanie się — mówił cicho doktor. — Jak długo ja żyję...

— Otóż to... Pan jest kochanym, najlepszym człowiekiem na świecie, poratował nas pan już nie raz jeden. Czy pan jednak myśli, że mnie nie chce się płakać, kiedy musimy korzystać z miłosierdzia, chociażby takiego zacnego, jak pan, człowieka? Panie doktorze, ja nienawidzę pieniędzy!

— Ja też — wtrącił doktor. — Lubię jednakże mieć wroga w ręku, aby mu to powiedzieć wprost w oczy. A cóż ty myślisz zrobić z tą dostojną ciotką?

— Myślę dotrzeć do niej i prosić, aby poratowała mamę i pomogła jej w leczeniu. Przysięgnę, że oddam jej wszystko, co do grosza, kiedy zaczną pracować. Przecież to uczciwie! Nie chcę żadnej jałmużny; broń nas przed nią, Panie Boże! Dla niej to będzie drobniak, a mamusi może to ocalić życie.

— Raz już odmówiła...

— Tak, ale może nie odmówi, kiedy do niej przemówię serdecznie. Przygotuję sobie taką mowę, że ją wzruszę. Napiszę jej uroczyste zobowiązanie, że wszystko zwrócę, choćbym jej to miała odsłużyć jako pokojówka. Zresztą mnie niech wyleje za drzwi, byle mamę poratowała i Jasia. Dlatego wtajemniczam w to pana doktora, bo się boję, czy mnie mama puści na tę wyprawę, więc pan mi musi pomóc. Jezus, Maria, co to się stało? Czy kogoś mordują?

Doktor zaczął nasłuchiwać, potem rzekł z uśmiechem:

— To ciocia Amelia deklamuje coś przed służebną dziewczką, która jest już umyta i uczesana. Ciocia pokrzykuje, a dziewczka, choć nic z tego nie rozumie, płacze wniebogłosy z wielkiego wzruszenia. Nie zwracajmy na to uwagi... Więc musiałyś pojechać do Warszawy. A dasz tam sobie radę?

— Ja i w piekle dam sobie radę.

— To nie jest żadna sztuka, bo w piekle byłabyś w dobranym towarzystwie, ale co ty, biedactwo, zrobisz sama w wielkim mieście, którego nie nie znasz?

— Pójdę prosto do pani Opolskiej. I koniec.

Doktor długo myślał.

— Gdyby nie to, że sprawa z mamusią jest istotnie ciężka, nigdy bym się na tę awanturę nie zgodził. Poza tym powziąłem do tej ciotki głęboką niechęć, o czym możesz ją zawiadomić przy sposobności. Gdybym ją przeklął, a znam potężne przekleństwa, byłoby z nią źle. Na razie wstrzymam się przed tą ostatecznością i nie spuszczę ze smyczy tych siedemdziesięciu siedmiu diabłów, co we mnie mieszkają i czekają mojego skinienia. Nie śmieć się, laskonoga pannico, bo tak jest istotnie. Dość spojrzeć na moją szatańską twarz... Teraz idź do domu, a ja pod wieczór przyjdę do was i co będzie, to będzie.

Naradzał się potem z ciocią Amelią, która miała więcej wiadomości o pani Opolskiej i opowiedziała doktorowi jej historię. Była to dama w podeszłym wieku, którą nieszczęścia uczyniły twardą i zamkniętą w sobie — najpierw umarł jej mąż, a potem córka, uwielbiana i pieszczona. Pozostał jej jedynie ogromny majątek i równie wielka gorycz życia. Mieszkała stale w Warszawie, lecz — czy to dlatego, że dom swój uważała za nieszczęśliwy, czy też dlatego, że wszędzie czarnym cieniem szły za nią wspomnienia — krążyła wciąż po świecie, jak gdyby uciekając przed nimi. Wyjeżdżała najbardziej niespodziewanie, a było jej to obojętne, dokąd wyjeżdża. Utraciwszy szczęście własne, nie mogła patrzeć na cudze; stała się kamiennie obojętna na wszelkie cudze cierpienie, jak gdyby jej własne było największe. Z nikim prawie nie utrzymywała stosunków — wyniosła i dumna. Może byłaby znalazła wśród ludzi pociechę, ale ze swego lodowego szczytu nie chciała zejść w dolinę, gdzie dzielą się uczciwie i radością, i cierpieniem. Dlatego przestała istnieć dla niej jej najbliższa krewna, słodka i dobra pani Borowska, bo ważyła się zejść w te doliny, gdzie najtkliwszą znalazła miłość.

— Widzę z tego — rzekł zamyślony doktor — że to nieszczęśliwa osoba, co ma serce, tylko że trochę pomyłona.

— A czemu pan doktor tak interesuje się panią Opolską? — zapytała ciocia Amelia.

— Bo chciałbym się ożenić, ale tylko z hrabiną! — odrzekł on i poszedł, nie zwróciwszy na to uwagi, że żona Lota<sup>82</sup>, zamieniona w słup soli, mniej zdumioną miała minę niż ciocia Amelia. Po dłuższej dopiero chwili zaczęła poruszać szybko powiekami, podniosła rękę, położyła ją na piersi, jakby szukając serca, i westchnęła wreszcie tak rzewnie jak umierający słowik.

— Tylko z hrabiną... O, Boże Wszchemogący!

Doktor zaś, wędrując przez błotniste uliczki i omijając kałuże, dzieci i wracające do obór krowy, gadał półgłosem sam do siebie i naradzał się ze swoją bystrą duszą. Tak przylgnął do tej gromadki, że wszystkie sprawy stały się jego sprawami, a pani Borowska nie drżała tak o Irenkę, jak on o nią drżał. Puścić ją na tę wyprawę czy nie puścić? Najbardziej trwożyło go to, że ucierpi duma Irenki, zmuszonej do prośby. Nie wierzył w powodzenie tego przedsięwzięcia. „Z drugiej jednak strony”, rozmyślał, „czy jest na świecie ktoś, kto mógłby się oprzeć jej spojrzeniu i jej prośbie nie dla siebie, lecz dla matki? W tej dziewczynie jest tyle jasności i tyle dziecięcej rzewności, że kamień pękłby i swoje kamienne oddałby jej serce. A to przecież bliska krewna, samotna, bez rodziny, bez nikogo. Poratuje swoją krew i swoich najbliższych. Zresztą, to jedyny ratunek”. On sam mógł przemycić naiwnym sposobem trochę grosza do tego smutnego domu, ale trudno jest powtarzać takie sztuki. Pani Borowska przyjęła te pieniądze w dobrej wierze, spostrzegłaby się jednak następnym razem. A będzie coraz ciężej i ciężej. Biednej kobiecie trzeba spokoju i jakich takich wygód. Dzieci zmarnieją...

W tej chwili zacny doktor, zamyśliwszy się, wpadł w kałużę: Nie zauważył tego jednak, wpatrzony w swoje myśli, które krążyły niespokojnie jak jaskółki przed burzą.

„Może tak będzie jednak najlepiej, myślał, ”jeśli dziewczyna spróbuje. Uczynimy wróżbę, zwyczajem starożytnych! Pędzą stado krów... Jeżeli liczba będzie parzysta, niech gdzie, jeżeli nieparzysta, na nic wszystko”.

Przystanął i zaczął głośno liczyć krowy.

<sup>82</sup>*Lot* — bohater biblijny, bratanek patriarchy Abrahama; jego żona za nieposłuszeństwo wobec Boga została zamieniona w słup soli. [przypis edytorski]

— Jedenaście krów i jedno cielę... Czy to parzyste czy nieparzyste? Diabli nadali cielę! Wszystko nieważne... Trzeba będzie wyprorokować z liczby wróbli siedzących na płocie...

Wróble patrzyły ciekawie na tego dziwnego męża, który je po kolei wskazuje palcem i głośno liczy:

— Trzynaście, czternaście, piętnaście...

Kiedy miał zakonotować ostatniego wróbla, szesnastego, temu coś nie bardzo się spodobało i zerwawszy się z płotu, z gęstym ćwierkaniem uciekł. Doktor opuścił wznieścioną rękę:

— Był czy go nie było? Oszust, nie wróbel. Był i uciekł. To nie może być ważne...

Zrezygnował z mętnych wróżb i postanowił zaufać niewzruszonej potędze swojego rozumu, który wyostrzył jak nóż, aby nim olśnić panią Borowską, w razie gdyby przeciwko podróży Irenki wytoczyła walne<sup>83</sup> argumenty. Pani Borowska jednakże, oprócz łez, nie miała żadnych argumentów. Rozżalona była twardym i nielitościwym listem pani Opolskiej i teraz nie miała żadnej nadziei, aby poselstwo Irenki mogło się przydać. Trwożył ją wyjazd dziewczyny, chociaż takie dzielne stworzenie jak Irenka można bezpiecznie wysłać na kraniec świata.

— Wstyd mi — mówiła — że musimy prosić. Wolałabym zapaść się pod ziemię, niż wysyłać to dziecko. Czy nie ma innej rady?

Nikt nie odpowiedział na to pytanie, bo istotnie nie było rady. Irenka pokazała doktorowi ścianę, po której zielonym liszajem pełzała wilgoć. Doktor skinął głową.

— Pani droga — rzekł miękko — przecież Irenka nie pojedzie prosić o jałmużnę. Pani Opolska ma obowiązek ratowania swoich najbliższych. Gdyby pani była bogata, a pani Opolska mieszkała w stęchłym mieszkaniu i nie miała co jeść razem z dziećmi, co by pani zrobiła?

— Ach, to zupełnie co innego!

— Otóż Irenka ma to wykazać, że to nie jest co innego. Skoro Pan Bóg dał jednemu więcej niż drugiemu, uczynił to zapewne w tym głębokim przekonaniu, że ten pierwszy czym prędzej z drugim się podzieli. Zresztą możemy przyrzec pani Opolskiej, że jej kiedyś oddamy.

— Jak to: „oddamy”? Kto?

— My wszyscy razem — odrzekł doktor. — Cóż to? Czy ja należę do rodziny czy nie należę? Mógłbym równie dobrze być pani wujem, jak pani Opolska ciotką. Powagę odpowiednią do tego mam, z tym tylko bieda, że jestem taki łapserdak<sup>84</sup>. Irenko, będziesz mnie nazywała wujem?

— Zrobione! — krzyknęła dziewczyna z entuzjazmem.

— O, widzi pani, jak łatwo jest o uczciwe pokrewieństwo. Niechże więc dziewczyna jedzie, a mnie pozostawi opiekę nad panią i tym basalykiem. Najgorsza rzecz w tym, żeby dała sobie radę w Warszawie. Nie macie tam kogoś bliskiego?

— Nikogo — odpowiedziała pani Borowska.

— Przepraszam — rzekła Irenka. — Ja mam. Tam przecież jest pan Podkówka!

Wyjaśniono doktorowi, kto to taki pan Podkówka, a lekarz — zanotowawszy sobie jego imię, nazwisko, stan cywilny, przypuszczalny wiek i adres — skinął głową z uznaniem.

— Jeśli Irenka ma w stolicy tak potężne protekcje, włos jej nie spadnie z mokrej głowy. Pan Podkówka musi być dzielnym człowiekiem i zyskał mój głęboki szacunek.

Wobec tego postanowiono wysłać Irenkę do Warszawy, zawiadomić pana Podkówkę, a panią Borowską z Jasiem przenieść na czas nieobecności córki do obszernego domu doktora. Podróż mogła potrwać kilka dni — oczywiście, jeśli wszystkie skrupulatne obliczenia nie zawiodą i jeśli Irenka nie pogmatwa ich z właściwą sobie fantazją. Jej jednak już było śpieszno z powrotem, chociaż jeszcze nie wyjechała.

Wieczorem zapytała matkę:

— Mamusi, do którego świętego należy pomodlić się, aby się wszystko udało?

Podróż

<sup>83</sup>walny — tu: zdecydowany, decydujący. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>łapserdak — nicpoń, łobuz; także człowiek nędznie ubrany. [przypis edytorski]

— Czy ja wiem, moje dziecko? Jest jeden taki wielki i cudowny święty, co bierze udział we wszystkich szarych ludzkich troskach. Może on cię wysłucha... To święty Antoni<sup>85</sup>.

Jaś jednakże żywo zaprotestował:

— Po co ma szukać innych świętych, kiedy w domu jest swój!

— Jaki swój?

— A święty Jan<sup>86</sup> to nic?

## X

Pan Podkówka czekał na dworcu kolejowym z wielkim wzruszeniem w radosnym sercu i na pocziwym obliczu. Dowiedział się z listu Irenki o wszystkim, co się zdarzyło w ciągu lat kilku, i o szalonej jej wyprawie do Warszawy. Tyle lat, tyle już minęło lat... To chude, śniade Cyganiatko musiało podróżyć cokolwiek. Stracił nadzieję, że je kiedyś zobaczy, a ona o nim pamiętała.

Jakaś wysoka panienka, w baskijskiej czapeczce<sup>87</sup>, podniosła na jego widok obie ręce w górę i daje mu znaki przez okno. „Boże drogi! To Irenka... «Panna z mokrą głową», lecz jakże wspinała panna... Jaka wysoka i jaka śliczna...”. Pan Podkówka podbiegł i roześmiał się szczęśliwy, a ona roześmiała się też, ale jakby rzewnie. Uściskał zatem najpierw ją, a potem jej tobolek — wprowadzie mizerny, lecz skutek zapobiegliwości doktora dość pękaty i mogący swoją treścią żywić przez tydzień rozbitków niewielkiego okrętu.

— Panna Irenka! — śmiał się rozczerwony pan Podkówka.

— Żadna „panna Irenka”, tylko po prostu Irenka! — rzekła dziewczyna. — Niech panu Bóg zapłaci za to, że pan jest taki dobry. Dokąd ja teraz mam pójść?

— Jak to: „dokąd”? Do nas! Do tej pani pójdzie pani jutro, a dzisiaj do nas, bo Irenka u nas zamieszka. Irenka pewnie nie wie, że ja się ożeniłem... A jakże! Znalazła się taka, co mnie chciała, zamknęła oczy i wyszła za Podkówkę. Czekaj na panią i doczekać się nie może. Moja mama też... Kiedy usłyszała, że panna Irenka ma przyjechać, rozplakała się, ale nie tak zwyczajnie, tylko strasznie serdecznie.

— A może miejsca nie ma?

— Och, och! — śmiał się pan Podkówka z ogromnym zachwytem. — Ja mam ogromne mieszkanie, a list odniesiono mi z dawnego. Będzie panna Irenka mieć osobny pokój w moim gabinecie.

— To pan ma gabinet? — zapytała z szacunkiem.

— Mam, bo ja już jestem adwokatem, ale gabinet na razie jest mi zupełnie niepotrzebny, bo jeszcze ani jeden klient do mnie nie przyszedł. Jakoś jednak żyję, bo ojciec mojej żony nie jest adwokatem, tylko rzeźnikiem, i doskonale mu się powodzi. Mnie się też kiedyś zacznie... O, jak ja się cieszę, jak ja się cieszę!

Radość pana Podkówki udzieliła się całej rodzinie. Ściskano Irenkę i całowano jak kogoś bardzo bliskiego. Mama pana Podkówki wylała jezioro szczęśliwych łez, oświadczając ze szlochaniem, że takiej ślicznej panienki nie widziała w swoim życiu, co z wielką radością poświadczyła żona pana Podkówki, osoba ogromnie wesoła, błękitnooka, rumiana i szczęśliwa. Męża swojego poznała na uniwersytecie i przejrawszy go roztropnymi oczami na wylot, sama mu się oświadczyła; pan Podkówka bowiem, chociaż za sprawą Irenki młodzian odważny, nie był zdolny do tak wspaniałego bohaterstwa.

Przypominali sobie teraz z Irenką na wyciągi wszystkie szaleństwa, śmiechem jak źródłaną wodą skrapiając każde wspomnienie. Mama zalewała się łzami i wydawała trwożne okrzyki — ile razy jej syn wlaził we wspomnieniach na wysokie drzewo — bojąc się, aby nie spadł, żona zaś zanosila się od śmiechu. Było im dobrze i bardzo, bardzo przyjemnie. Wieczorem przyłączył się do kompanii ojciec rzeźnik, sumiasty i jowialny<sup>88</sup> jegomość, który, oceniwszy Irenkę zawodowym okiem, uśmiechnął się do niej z miłym uznaniem jak do dorodnej „przedniej cielęcej”.

<sup>85</sup>święty Antoni a Antoni Padeuski (1191–1231) — portugalski teolog, franciszkanin, święty Kościoła katolickiego i doktor Kościoła. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>święty Jan a. Jan Chrzcziciel (ok 6/2 p.n.e.– ok. 32) — żydowski pustelnik, prorok dla chrześcijan i muzułmanów, święty katolicki i prawosławny. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>baskijska czapeczka — rodzaj beretu, noszony pierwotnie przez Basków. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>jowialny (daw.) — pogodny, rubaszny. [przypis edytorski]

Spotkanie

Wszystko to w obszernym liście nazajutrz o świcie zostało opisane i wysłane do pani Borowskiej jak sztafeta z placu boju. Dzień zaczął się od przygotowań uroczystych i przezornych. Żona pana Podkówki odprawiła jakieś dziwne czarodziejstwa z garderobą Irenki i ze znakomitą zręcznością przydała wdzięku jej smutnej sukience. Jedyne próby ujarzmienia oszalałej czupryny spełzły na niczym. Pan Podkówka, wiele mający czasu, oświadczył, że na krok jeden nie puści Irenki samej, bo nie chce odsyłać jej szczątków wydobytych spod samochodu, poszli więc razem — on poważny, ona zaś z niespokojnym drżeniem serca.

— To tu! — szepnął wreszcie wzruszony pan Podkówka.

Pokazał jej pałacyk, odgradzony od ulicy, zarosły dzikim winem, wytworny i czysty. W oknach wisiały zasłony, dębowa, pięknie zdobiona brama była zamknięta.

— Ładny dom — rzekła Irenka nieswoim głosem. — Czy to naprawdę tutaj?

— Na domu jest tabliczka, niech Irenka spojrzy... „Zofia hr. Opolska”.

— Boję się! — szepnęła Irenka.

— Czego Irenka się boi? — mówił gorąco pan Podkówka.

— Nie wiem... Nigdy się tak nie bałam... Proszę pana, a jeżeli ona na mnie krzyknie?

— No to co? Niech Irenka wtedy krzyknie na nią.

— Prawda! — rzekła Irenka zdumiona prostotą pomysłu.

— Irenka wejdzie — układał plan pan Podkówka — a ja zaczekam na ulicy.

— Ale niech pan stoi blisko bramy, bo mnie mogą wypchnąć za nią gwałtownie.

— Niemożliwe!

— Ja też tak myślę. Czy zadzwonić? O Boże, jak mi serce bije.

Pan Podkówka jednakże był spokojny i wyniosły. Bez trwogi nacisnął guziczek dzwonka i spojrzeniem dziewczynie dodawał odwagi. Ona wbiła wzrok w bramę i zdawało się jej, że czeka bardzo, bardzo długo. Wreszcie drzwi otwarto i ukazał się siwy lokaj z miłą twarzą.

Sluga

— Panienska do kogo? — spytał uprzejmie.

— Do pani Opolskiej... Ja w bardzo ważnej sprawie.

— Pani hrabiny nie ma w Warszawie.

— O Boże! — jęknęła dziewczyna. — A kiedy wróci?

— Tego nikt nie wie. Pani hrabina mieszka w tej chwili w Zakopanem<sup>89</sup>, w willi „Ustronie”, ale jak długo tam będzie, tego też nikt nie wie.

— Dziękuję panu... — szepnęła Irenka.

— Czy paniencie słabo? — zapytał stary człowiek z niepokojem.

— Nie, nie... Pan jest bardzo dobry... Willa „Ustronie”, prawda?

— Tak, panienko — odrzekł, patrząc na nią dziwnie serdecznie.

Zamknął bramę powoli i bez trzasku, jakby jej nie chciał uczynić przykrości.

— Kłapa! — rzekła Irenka z cichą rozpaczą. Pan Podkówka hardo podniósł głowę, jak gdyby złośliwemu losowi chciał spojrzeć prosto w twarz.

— Przecież nic się nie stało jeszcze — rzekł z mocą. — A Irenka zaraz w krzyk.

— Ja wcale nie krzyczę...

— Ja wiem, że nie, tylko tak powiedziałem. Kłapa byłaby wtedy, gdyby pani Opolska była, a jednak jej nie było. Ale ponieważ naprawdę jej nie ma...

— Nie rozumiem... Jak to może być, że mogła być i nie być?

— Możliwe. W tych wszystkich domach, Irenko, mieszkańcy są, ale nie dla każdego. Taki lokaj od razu wie, dla kogo są w domu, dla kogo są tylko niekiedy, a dla kogo nigdy ich nie ma.

— A czy ten starszek powiedział prawdę?

— Ten powiedział prawdę. Od razu można to było spostrzec, zresztą podał nam adres pani Opolskiej w Zakopanem.

— Zakopane... Zakopane... — mówiła Irenka, jakby coś rozważając. — To bardzo daleko...

— W każdym razie nie na końcu świata. Będzie sobie Irenka u nas mieszkała, a tymczasem ta pani powróci...

<sup>89</sup>Zakopane — polskie miasto powiatowe w województwie małopolskim, położone u podnóża Tatr. [przypis edytorski]

- Bóg wie kiedy. A jeżeli pojechała na całą zimę?
- To poczekamy do wiosny.
- Ja nie mogę czekać — odrzekła Irenka twardo.

W domu zastał pan mecenas Podkówka niespodziewany list, pisany pismem zawa-diackim, pełnym zakrętasów i esów-floresów. Każde słowo wypuszczało z siebie cienie i długie wąsy jak dzikie wino, a podpis przypominał autograf królewski sprzed pięciuset lat, położony na wyroku śmierci. Wiele słów było podkreślonych, co im miało dodać wagi i znaczenia, po innych wyrastał wykrzyk jak młode drzewko, aby zwrócić uwagę czytelnika, że słowo to jest potężnym okrzykiem.

Podkówka czytał zdumiony:

„Doktor Zenobi Lipień, konował<sup>90</sup> i filozof małomiasteczkowy — Józefowi Podkówce, szlachetnemu młodzianowi, pozdrowienie!

List

Ponieważ pod pańskie skrzydła — jak pisklę pod skrzydła orla — schroniła się dziewczica szlachetnego rodu, znana powszechnie pod przezwiskiem «Panny z mokrą głową», piszę do pana w te pędy z uniozoną prośbą, aby pan raczył otoczyć ją opieką, staraniem i zbytkiem! Gdyby te skromne zapasy, które zabrała na w podróż, nie wystarczyły, niech pan nabędzie nowe u odpowiednich specjalistów, sprzedających chleb, masło, kielbasy i salcesony! I niech jej pan strzeże jak oka w głowie i nie pozwoli pani Opolskiej wydrzeć jej serca i wypić jej krwi!!! Czarownice często to czynią, uważając krew niewinnych dzie-tek za wyborny pokarm! Proszę też dawać baczenie, aby zwariowana nasza pannica nie postradała w stolicy tej odrobiny rozsądku, który pańskiej uporczywej pracy zawdzięcza! Niech zażywa zabawy, byle w miarę! Ponieważ wiadomo mi przypadkiem, że pan nigdy nie fabrykował pieniędzy, a w inny sposób nie mógł pan dojść do posiadania majątku, załączam zatem parę groszy, aby pan mógł ich użyć, w razie gdyby Irenka chciała oblec się w jakieś kiecki albo co!!! Niech rozrzuci to złoto garściami, lecz rozważnie. Gdyby chciała zakupić ze zbytku fantazji Zamek Królewski<sup>91</sup> lub Łazienki<sup>92</sup>, niech ją pan z właściwym sobie taktem stara się od tego odwieść. I niech czym prędzej powraca, notabene<sup>93</sup>, jeśli wyjdzie żywa z rąk tej pani, do której zwróciła swe kroki. Zwłok odsyłać nie potrzeba!!! Wiedź bowiem, szlachetny młodzianie, że chociaż zaledwie niewiele godzin trwa rozłąka, brak nam jej bardzo, a przeraźliwa cisza trwoży nasze serca! Gdyby potrzeba było wsparcia fizycznego, niech pan mnie wezwie za pomocą telegrafu. Widziałem w naszym mieście wiele drutów na słupach, stąd sędzę, że maszyna ta działa i na naszym terenie! W wypadku gwałtownym mogę zabrać ze sobą dubeltówkę i ukatrupić, kogo trzeba! W wypadku łagodnym wystarczy moja recepta, działająca wprawdzie wolniej, lecz równie skutecznie! Czekam zatem na szanowne pismo pańskie, tymczasem zaś i ją, i pana polecam łasce boskiej. Bądź zdrów, zacny młodzianie, i sędziwego dożyj wieku!!!”

— Pan doktor zawsze jest taki śmieszny — objaśniła Irenka. — Gdyby jednak wie-dział, że cała moja wyprawa na nic, byłoby mu smutno. Ale moja wyprawa nie będzie daremna... Jadę do Zakopanego!

— Matko święta! — krzyknęła mama pana Podkówki, przerażona wizją niezmiernej dali.

— Jakże tak, sama? — bąknął zatroskany mecenas. — Irenka jest pod moją opieką, a ja na to nie zgodzę się.

Irenka zmrużyła lewe oko na znak, że uwielbia pana Podkówkę, ale lekceważy sobie cokolwiek jego powagę. Wiedzioną znakomitą instynktem, zwróciła się czym prędzej do wesołej jego żony, jakby czując, że uśmiechnięte jej słowo miało w tym domu siłę gromu i ostatecznego wyroku.

— Prawda, proszę pani, że mi nic nie grozi?

Ponieważ równocześnie pogładziła pod stołem miękkim, kocim ruchem jej kolano, żona pana Podkówki orzekła po krótkim namyśle, że prawie dorosła panna może jechać

<sup>90</sup>konował (pogard.) — kiepski lekarz lub weterynarz. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>Zamek Królewski — barokowo-klasycystyczny zamek na warszawskiej starówce, dawniej siedziba królów. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>Łazienki a. Łazienki Królewskie — największy warszawski park, założony w XVIII wieku przez króla Sta-nisława Augusta Poniatowskiego (1732–1798). [przypis edytorski]

<sup>93</sup>notabene (z łac.) — na marginesie. [przypis edytorski]

bezpiecznie — tym bardziej, że ona czytała kiedyś, jakoby czteroletnie dziecko z przypiętą na piersi kartką przejechało przez całą Europę.

— Pojedzie pani! — ogłosiła zdumionemu światu.

Tylko powszechna rewolucja albo straszliwe trzęsienie ziemi mogło odmienić ten wyrok. Mama oblała go łzami, a pan Podkówka przypatrywał mu się nieufnie, bladym wzrokiem.

Wydobyto mapę, rozkłady jazdy i rozpoczęto narady, jak, kiedy i którędy uda się Irenka w tę niebezpieczną podróż.

— Obliczmy przede wszystkim, za co — powiedziała Irenka gorączkowo.

Wysypała na stół pieniądze, przeznaczone na powrót; przeliczono je trzykrotnie i uważano ze smutkiem, że razem z przesyłką doktora starczy ich może na połowę, może na trzy czwarte dalekiej drogi.

Resztę drogi odbędzie pieszo — oświadczyła Irenka.

Na to mama w płacz, żona w śmiech, a pan Podkówka, drapiąc się za uchem, szukał rady w pobliżu rozumu.

— Mam, mam! — zawołał nagle uradowany.

Mama przestała płakać, jakby nożem uciął, żona spojrzała na męża z uwielbieniem.

— Zdarza się tak szczęśliwie — mówił szybko pan Podkówka — że kasjer na kolei to mój szkolny kolega. Wyborny chłopiec i bardzo uczynny... Że też mi to od razu nie przyszło do głowy! Otóż ten mój kolega zawsze mi daje po znajomości bilety kolejowe znacznie taniej.

— Czyż to możliwe? — spytała Irenka z niedowierzaniem.

— Z całą pewnością możliwe! Oni mają jakieś takie prawo, tylko że nikt o tym nie wie, a oni nikomu o tym nie mówią. Ileż jednak razy ja sam tak jeździłem! Niech pani zapyta moją żonę...

Ponieważ szlachetne łgarstwo zaczęło się płać, więc je czym prędzej oddał swojej roztropnej żonie, aby je rozwikłała jak kłębek nici.

— Tak mówią — oświadczyła żona. — To się nazywa jechać „ze zniżką”.

O tym, że można jechać „ze zniżką”, Irenka też kiedyś słyszała, stało więc na tym, że pan Podkówka zorganizuje przyjacielskie cygaństwo na kolei, wszyscy się zajmą przygotowaniem do podróży, a Irenka napisze natychmiast list do matki z oznajmieniem, że jedzie na szczyty gór, gdzie na śniegu siedzi w pełnej chwale pani Opolska. Wieczorem, po krwawej pracy, zjawił się ojciec rzeźnik; dowiedziawszy się zaś o wielkim przedsięwzięciu, bawił krótko i poszedł. Po godzinie wrócił, niosąc ciężkie zawiniątko, i oddał je Irence.

— To na drogę — rzekł serdecznie.

W zawiniątku była cała szynka i niewinne prosię, na wolnym ogniu upieczone w zaranu swego żywota.

Chociaż wszystko przygotowano wybornie, pan Podkówka był bardzo blady i niespokojny, kiedy nazajutrz wyprawiał Irenkę w podróż. Niepokoje te opisał z niezwykłym talentem w długim liście do doktora, pocieszając równocześnie i jego, i siebie, że Irence — mądrej i rozważnej — nic nie grozi. Polecil ją opiece jakiejś statecznej pani, która z trojgiem dzieci jechała też do Zakopanego; należy zatem przypuścić, że dojedzie szczęśliwie.

Bystre przewidywania pana Podkówki spełniły się wybornie. Tego jedynie nie przewidywał, że Irenka zwróci się do owej statecznej pani z uprzejmym pytaniem, ile zapłaciła za bilet do Zakopanego. Matka trojga hałasujących dzieci odczytała cenę na bilecie, Irenka zaś sprawdziła, że ta wydrukowana na jej bilecie, niczym się od tamtej nie różni. Pokręciła głową, poznawszy, że pan Podkówka szlachetnie zełgał, a resztę tego kłamstwa, w niewielkiej zresztą kwocie, włożył jej do torebki, aby miała trochę pieniędzy na wszelki wypadek. Jeszcze jedno rozrzewnienie wiozła w krainę mroźnych gór. Poza tym dowiozła mizerne jedynie resztki zwłok starego wieprza i kości z młodzieniaszka; towarzysze podróży bowiem, których było coraz to więcej, uprzejmie nie odmawiali serdecznym jej prośbom, aby wzmocnili nadwątłone podróżą siły. Chude z początku stosunki towarzyskie, nasyczone tłustością wybornej szynki, z godziny na godzinę stawały się coraz bardziej zażywe i zażyłe. Młody jakiś człowiek, nadobnie blady i uroczo smętny, drgnął na widok wspaniałego przyjęcia i chociaż na oko niepozorny, okazał się w jedzeniu lwem.

Podróż, Podstęp, Uczta

„Ten dawno nie jadł”, pomyślała Irenka, starając się ocalić dla niego jak najwięcej.

Młodzieniec z wdzięcznością zaczął mówić o górach i o ich przedziwnej piękności. Wpadł w zapal i tak przemawiał, jak gdyby ze ślicznej czytał książki. Słowo tak układał po słowie jakby głaz na głazie — aż z tego wreszcie urosła góra, a on zaraz nad nią zapalił świetne słońce. Wnet je jednak zgasił, słowa zwołał czarne i bure i uczynił z nich kłębowisko chmur. Powiało mrozem i wichrem, wreszcie zaczął padać ogromny śnieg i zasypał jego i wszystkich w wagonie, a młodzieniec zaczął kaszleć gwałtownie i rękami chwycił się za piersi, jak gdyby się trwożył, że mu z nich serce wyskoczy. Potem przymknął oczy i ciężko dyszał.

— To musi być poeta — szepnęła do Irenki stateczna dama. — W Zakopanem takich jest mnóstwo. Niech pani patrzy: bieda z nędzą, że aż pożał się Boże, a kiedy mówi, to jakby się błyskało. A wygłodzony jak wilk... Czy pani widziała, jak on jadł? Śpi, biedaczyna...

Irenka nie odpowiedziała. Cichutko zawinęła ocalałe resztki, zawiązała je starannie sznureczkiem i kiedy nikt nie patrzył, wsunęła je do kieszeni płaszcza bladego młodzieńca.

Musiała potem długo spać, bo zbudził ją dopiero mróz. Otworzyła oczy niechętnie i spojrzała dokoła ze zdumieniem, jak gdyby nie rozumiejąc, gdzie się znajduje. Nagle krzyknęła cicho. Za oknami szalała wielka, śnieżysta, brylantowa jasność. Pociąg pędził przez zimową bajkę, dysząc z uciechy i sapiąc, jak gdyby czym prędzej chciał dobiec tam, gdzie słońce tarza się po śniegu. Patrzyła oczarowana, zdumiona radosnym, najszcześliwszym zdumieniem. Daleko, daleko, za śnieżystym morzem, ukazały się nagle góry, sine u podnóża, z wyłożonymi głowami. Ponad nimi, jak ogromne ptaki, ciężkim, powolnym lotem dźwigały się chmury, płynąc po lazurowym oceanie. Przypomniało się jej każde śliczne słowo bladego młodzieńca. Jego już nie było. Wsiąkł gdzieś po drodze w tę jasność, co się tłoczy radośnie przez okna i budzi wszystkich w pociągu, jakby wołając: „Nie śpijcie! Patrzcie na cud! Patrzcie na cud!”

Serce Irenki uderzyło mocniej, jak gdyby też miało oczy i patrzyło olśnione. Chciało się jej krzyczeć z radości i z wielkiego szczęścia, że na świecie jest tak niebiesko i biało, i złościście. Patrzeć nie można było na tę białość niepokalaną. Oczy Irenki napęły się łzami, a ona nie wiedziała dobrze, czy naprawdę płacze czy to ten blask diamentowy lzy wyciskał z jej oczu. A góry znikwały i ukazywały się znowu; słońce, jakby z wielkiej uciechy igraszki sobie czyniąc, złościło się raz z lewej, raz z prawej strony albo chowało się za lasem czarnym, wysokopiennym i dostojnie poważnym, bo mu nie były dziwne te dziwa.

— Już! Już! Już! — sapnęła lokomotywa i ostatnim wysiłkiem wyciągnąwszy pociąg na górkę, przystanęła, własnym zdumiona trudem.

Irenka, niosąc tobolek, szła powoli przez zaczarowany świat. Słońce było wszędzie, jak gdyby w tym cudownym kraju nie było niczego innego prócz słońca. Może dlatego wszyscy ludzie są uśmiechnięci i mają w oczach radość. Dziwnie ubrani, krążą ulicami, a słońce chodzi za nimi. Irenka namyślała się długo, którego z przechodniów zapytać o drogę. Wybrała wreszcie do tej misji dziewczynkę, co w czerwonej czapeczce i czerwono rozkrzyczanym szaliku wyglądała jak wesoły gil na śniegu. Ta jednak po głębokim namyśle oświadczyła, że nie wie. Należało zwrócić się do kogoś poważniejszego niż dziewczynka, która ma zazwyczaj źle dobrane kolory, bo czerwoną czapeczkę na głowie, a w głowie jasną, wiosenną zieloność.

Przechodził właśnie młody człowiek, tak świetnie odziany, jak gdyby za nim biegał nieustannie krawiec z żelazkiem i wciąż prasował śliczne ubranie. Młodzieniec patrzył jasno i zwycięsko. Od czasu do czasu uśmiechał się sam do siebie i ogarniał błękitny świat takim wzrokiem, jak gdyby cały ten świat i słońce, góry i doliny należały do niego. Zdawało się, że po skrzypiącej od mrozu ziemi stąpa łaskawie, a ona, uległa i szczęśliwa, rzuca mu pod nogi brylanty śniegu. Przechodząc, spojrzał na Irenkę wesoło, co ją ośmieliło nadzwyczajnie.

— Proszę pana... — zatrzymała go, dygnawszy uprzejmie.

On spojrzał na nią, cokolwiek zdziwiony, ujrawszy jednak śliczną twarzyczkę, uśmiechnął się jak król, któremu najpiękniejsza dziewczyna miasta podaje przy bramie kwiaty, a za chwilę wygłosi wiersz powitalny.

— Może pan wie, którądy się idzie do takiego domu, co się nazywa „Ustronie”?

Góry, Natura, Piękno

Cień zawodu przemknął po zwycięskim obliczu młodziana, odrzekł jednak uprzejmie:  
— Idę właśnie w tamtą stronę. Niech pani idzie ze mną, a ja potem pokażę pani ten dom.

— Bardzo panu dziękuję! — rzekła Irenka z wielką powagą.

Poszła za nim, niosąc swoją walizczkę, bardzo rada, że ją prowadzi młodzieniec tak bardzo wytworny.

„Pierwsza klasa”, pomyślała z uznaniem Irenka, dla której uosobieniem elegancji i doskonałych manier był dotąd pan Podkówka.

Młodzieniec zwrócił się nagle do niej z wesołym pytaniem:

— A czemu pani nie wzięła dorożki?

— Szkoda pieniędzy na takie hece — odrzekła Irenka wesoło.

On przyjrzał jej się spod oka i pokręcił głową.

— I pani chce zamieszkać w „Ustroniu”?

— A bo co?

— Nic... nic... A czy pani wie, że w „Ustroniu” jest bardzo drogo i że tam mieszkają same hrabiny?

Irenka pokazała w uśmiechu wszystkie zdrowe i białe zęby.

— Jeśli pan nikomu nie powtórzy, to panu coś powiem.

— Nikomu nie powtórzę — zaśmiał się młodzieniec. — No, niech pani mówi...

— Ja też jestem hrabianką, ale podróżuję *incognito*<sup>94</sup>.

On najpierw bardzo się zdumiał, a potem zaśmiał się tak głośno, jak gdyby usłyszał najlepszy dowcip. Irenka wybuchnęła śmiechem równie donośnym, tylko bardziej perlistym.

„Śmieszny berbeć!”, pomyślał, patrząc na nią z przyjemnością. A głośno dodał:

— Już niedaleko. Przejdziemy jedną tylko ulicę...

— Proszę pana...

— Co takiego?

— Czemu wszyscy ludzie tak na pana dziwnie patrzą? Każdy się odwraca... Przystojny pan jest, nie ma co, ale i mężczyźni też pana oglądają jak wielkie dziwo.

Młodzieniec wpadł w wyborny humor i raz po raz śmiał się głośno.

Droga wiodła pod górę, a ponieważ śnieg zaczął tajać w słońcu, zrobiło się ślisko. Irenka, zmęczona nocną podróżą, niewyspana i dźwigająca walizkę, zaczęła iść z trudem.

— Pan mówił, że to niedaleko, ale zapomniał pan powiedzieć, że jest ślisko.

— Troszeczkę cierpliwości!

— Proszę pana...

— Czym mogę służyć?

— Proszę pana... Czy ja jestem damą?

— Oczywiście! Oczywiście! — zaśmiał się młodzieniec.

— W takim razie mógłby pan pomóc damie i ponieść trochę moją walizkę. Ja już nie mogę.

Bezgraniczne zdumienie odmalowało się na jego twarzy. Widać było, że nie wie, czy zaśmiać się czy też porwać bezczelną panienkę i cisnąć w rwący potok, co płynął wzdłuż ulicy. Spojrzał na nią groźnie, lecz ujrawszy oczy wesołe i szczere, a na ustach uśmiech serdeczny i zarazem figlarny, pomyślał, że ten podłotek musi pochodzić z dalekiej prowincji i ma sielskie<sup>95</sup> maniere, ale wcale go nie chciał obrazić.

— Proszę mi to dać! — zawołał nagle.

Wziął jej parciane bogactwo i zaczął iść szybciej.

— Dziękuję panu... Pan jest nadzwyczajny!

— Pani też... Skąd pani przyjechała?

— Ja mieszkałam od urodzenia na wsi, a teraz żyję w małym miasteczku. A pan?

— Ja mieszkam wszędzie. Raz w Rzymie, raz w Paryżu...

— To musi być cudownie! — rzekła Irenka z uznaniem. — Gdybym była bogata, mieszkałabym co tydzień w innym mieście... Czemu te panie tak patrzą?

<sup>94</sup>*incognito* (łac.) — anonimowo, zatajając swą tożsamość. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*sielski* — tu: wiejski, prowincjonalny. [przypis edytorski]

Przechodzące dwie kobiety przystanęły i trąciwszy się łokciami, spoglądały ze szczególnym zdumieniem na tę parę, złożoną z wytwornego młodzieńca i czarnej, biednie ubranej panienki.

— Bo jest na co patrzeć — odrzekł młodzieniec, już mocno rozbawiony. — A oto pani „Ustronie”. Niech pani zabiera swoją walizkę...

— Jeszcze nie, jeszcze nie, proszę pana... Niech pan będzie taki kochany i zanieś ją aż do samego domu!

— Po co? Na co?

— Bo mnie tam lepiej przyjmą, skoro ujrzą, że taki wspaniały pan niesie moją walizkę.

— Ach, tak?... Jazda!

Wszedł wesoło do ogródka przed domem i głośno zakrzyknął, ujrawszy kogoś w oknie, aby ten ktoś wyszedł na spotkanie hrabianki, podróżującej *incognito*. Ten ktoś musiał również krzyknąć, bo cały dom zaroił się od razu i na ganku zjawili się kilka osób. Wszystkie twarze, jak na komendę, powlekły się uśmiechem. Nikt nie spojrzał na Irenkę, lecz wszyscy patrzyli z zachwytem na młodzieńca. On zaś, głośno śmiejąc się, rzekł, wskazując dziewczynę:

— Przyprowadziłem gościa z pociągu...

Ktoś podbiegł i wziął z jego rąk walizeczkę.

Irenka, oszołomiona cokolwiek tym przywitaniem, dygnęła przed nim i wyciągając rękę, powiedziała:

— Niech Bóg panu zapłaci. Nazywam się Irena Borowska.

— Bardzo ładnie nazywa się pani... Do widzenia! Kiedy pani będzie wyjeżdżała, niech mi pani da znać, a ja odniosę walizkę na kolej.

Uklonił się najpierw jej, potem całej werandzie, a wtedy cała weranda westchnęła, jak gdyby wielkie jakieś spotkało ją szczęście.

Splendor z tego słonecznego młodziana musiał spłynąć i na Irenkę, bo ją otoczono czym prędzej i z honorami wprowadzono do wnętrza domu. Nie mogła wypowiedzieć ani słowa, gdyż panie zarzuciły ją pytaniami:

— Skąd go pani zna? Dlaczego on niósł walizkę pani?

— Bo go o to prosiłam. A kto to jest?

Piorun z zimowego nieba spadł z niezmiernym łoskotem. Na twarzy jednej bladej panienki widać było zgrozę.

— Jak to? Pani nie wie, kto to jest?

— Nie wiem... Skąd mogę wiedzieć. Ja mu się przedstawiłam, a on mnie nie.

— Przecież to Jerzy Zadora!

— Pierwszy raz słyszę — rzekła Irenka.

Wtedy nastąpiła ogólna zgroza, a blada panienka chwyciła się rękami za głowę i spojrzała w niebo, patrząc, czy przypadkiem nie wali się na tę głupią dziewczynę, która nie wie, kto to jest Jerzy Zadora.

## XI

Postawiono Irenkę przed panią Milecką, osobą dystygowaną i przyjemną, mającą we włosach siwe pasma. Umiała ona uśmiechać się podczas rozmowy, po jej ukończeniu zaś twarz jej przybierała wyraz ciągłej troski, tak jakby po ostatnim słowie zdejmowała ten obowiązkowy uśmiech jak ozdobę, i kładła go byle gdzie, aby go znowu położyć na twarzy, kiedy ją ktoś zagadnie. W oczach jej było wiele dobroci i to Irenka dostrzegła przede wszystkim.

— Czego sobie panienka życzy? — zapytała pani Milecka, ogarniając ją szybkim spojrzeniem. — Proszę usiąść...

Irenka, nie korzystając z zaproszenia, rzekła czym prędzej:

— Ja przyjechałam do pani Opolskiej...

— Niestety, pani Opolska przed dwoma dniami wyjechała.

— Jezus, Maria! — krzyknęła dziewczyna tak zbolalym głosem, że pani Milecka szczerze się przełękła.

— Niechże pani usiądzie... Co panience jest? Czemu pani tak zbladła?

Sława

Irence tak zakręciło się w głowie, że musiała usiąść. Podniosła rękę do czoła i otarła z niego krople potu.

— To jest nieszczęście, to jest wielkie nieszczęście... — mówiła, a widać było, że z trudem broni się przed łzami; mężnie jednak zacisnęła usta.

— Jakie nieszczęście? Niech pani uspokoi się, drogie dziecko, i powie mi, co się takiego straszego stało.

Patrzyła na dziewczynę serdecznie, zdjawszy z twarzy niepotrzebny zdawkowy uśmiech.

„Biedne jakieś, a takie śliczne stworzenie”, pomyślała i wzięwszy jej zziębłą, drobne rękę w swoje, dobrym i łagodnym głosem zaczęła ją zachęcać, aby przemówiła.

Irenka opowiedziała jej, że pani Opolska jest ciotką jej matki, że szuka jej w sprawie niezmiernie ważnej i że nie może jej znaleźć. Kiedy wymieniła jej swoje nazwisko i powiedziała, skąd pochodzi, pani Milecka rzekła z wielką czułością:

— Znałam twego ojca, drogie dziecko, bo pochodzimy z jednych stron, i o waszym nieszczęściu też słyszałam. Ja także wychowałam się na wsi... Mój Boże! Więc pani Opolska jest twoją krewną... Nie chcę o nic pytać, dlaczego jej tak szukasz, bo to twoje sprawy, niech mi tylko Irenka... Wszak Irenka, prawda Niech mi Irenka to jedno powie: czy musisz widzieć się z panią Opolską?

— Piechotą pójdę tam, gdzie pani Opolska teraz się znajduje.

— Aż tak?! Jest ona teraz na wsi pod Krakowem<sup>96</sup>, ale piechotą tam, biedactwo kochane, nie zajdziesz.

— Droga, złota pani, co ja mam teraz zrobić?

— Czy ja wiem, czy ja wiem... — zatroskała się pani Milecka. — Pozwól, niech się zastanowię.

Milczała przez długą chwilę, wreszcie rzekła serdecznie:

— Napiszesz, moje dziecko, w tej chwili do matki, że na kilka dni zostaniesz w Zakopanem.

— Napisać to ja napiszę, ale gdzie ja się podzieję?

— U mnie. Zapraszam cię z całego serca.

— Strasznie pani dziękuję, ale to na nic... Ja muszę albo wracać, albo powędrować za panią Opolską.

— A jakżeż powędrujesz? Masz jakieś pieniądze?

— Tyle, żeby nie umrzeć.

— No, to niewiele. Zostań więc tutaj, a ja wymyślę jakiś sposób, abyś mogła zobaczyć się z panią Opolską.

— Proszę pani... Pani jest strasznie kochana, ale ja nie śmiem... Przecież to wielki kłopot i cała awantura.

— Taki kłopot i taka awantura, jak gdyby zziębnięty i głodny ptak wleciał do domu przez otwarte okno. Czy nie przytuliłabyś ptaka, drogie dziecko? Ale, ale... Skąd ty znasz Zadorę?

— Tego pana, co przyniósł mi walizkę? Ja go wcale nie znam. Spotkałam go po drodze i poprosiłam, aby mi pomógł, a on to chętnie uczynił. Bardzo miły pan. Kim on jest, proszę pani?

— To sławny śpiewak, znany na obu półkulach i dlatego tylko nieznany na trzeciej, że jej nie ma. Ale żeby obcej panience niósł walizkę... To nadzwyczajne!

— To dlatego tak się wszyscy za nim oglądali! — uśmiechnęła się Irenka.

— Masz szczęście, moja mała — zaśmiała się pani Milecka prawdziwym śmiechem, a nie tym „dla gości”. — Wszystkie zwariowane panienki z rozkoszą nosiłyby za nim laskę albo parasol, a ty mu kazałaś nieść walizkę. Doskonale. A teraz zdejmij płaszcz i pójdz zjeść śniadanie. Bardzo jesteś głodna?

— Nie bardzo. Trochę mniej przed chwilą ścisnęło w żołądku, ale myślę, że to z rozpacz, a nie z głodu.

— Niech cię już nie ściska. Co ty wyprawiasz, dziewczyno?

— Ja nic nie wyprawiam... Ja tylko chciałabym panią ucałować...

Pani Mileckiej zwiłgotniały oczy; otworzyła ramiona i przygarnęła Irenkę do piersi.

<sup>96</sup>Kraków — polskie miasto, stolica województwa małopolskiego, jedna z historycznych stolic Polski. [przypis edytorski]

— Ucałujże mnie, ucałuj, drogie dziecko.

Uściskały się mocno, po czym pani Milecka, niezwykle zadowolona i ożywiona, zapukała do sąsiednich drzwi, wołając:

— Zbyszek. Chodź no tu na chwilę! To mój syn — wyjaśniła serdecznym głosem.

Zbyszek wszedł, nie bardzo się śpiesząc; odziany był w gimnazjalny mundurek, ale miał minę znudzonego filozofa, któremu każą uczyć się takich rzeczy, które go stanowczo nic a nic nie obchodzą.

— To jest panna Irena Borowska, która zabawi u nas przez kilka dni. Bardzo cię proszę, Zbyszku, abys ją uważał za kogoś bliskiego i abys serdecznie się nią zajął.

Zbyszek podał Irence rękę, obrzucił ją krytycznym spojrzeniem i skinął głową protekcyjnie.

— Jestem na pani rozkazy — bąknął pod nosem i wyszedł.

— Ładny chłopiec, nieprawda? — zapytała pani Milecka takim tonem, jakby sobie od razu odpowiedziała na pytanie.

— Śliczny! — zawołała Irenka z takim entuzjazmem, że pani Milecka zaśmiała się głośno.

Irenkę naprawdę zachwycił ten chmurny młodzieniec i wielkie na niej zrobił wrażenie; pana Podkówki nie można było nawet z nim porównać, a ten sławny śpiewak też nie mógłby z nim wytrzymać konkurencji. Zbyszek jest „jakiś taki”... Patrzy pochmurno, głos ma miękki i widać, że jest bardzo znudzony — jak wielki pan, który nie wie, co właściwie ze sobą począć. Irenka nie widziała dotąd tak zajmującego młodzieńca. A w pani Mileckiej można od razu się zakochać.

„Jeżeli mi kto powie”, myślała Irenka, „że na świecie nie ma dobrych ludzi, to ja mu powiem jakieś wielkie głupstwo”.

Tego dnia wysłano z „Ustronia” dwa długie listy. Irenka napisała list<sup>97</sup> potężną, wyczerpującą, barwną i tak prześwieconą promieniami nadziei jak świat słońcem. Drugi list wysłała pani Milecka. Pisała go bardzo długo i starannie dobierała słowa.

Irenka poznała Zakopane. Pogoda była taka przecudowna, jak gdyby słońce chciało uradować dziewczynę, na którą w ostatnich czasach zbyt wiele spadło udręczeń. Melancholijny Zbyszek został wyznaczony do towarzyszenia jej w śnieżystych wyprawach — zaczęły się one jednak od awantury. Kiedy usłyszał polecenie matki, uśmiechnął się ironicznie, po czym rzekł:

— Dobrze, ale muszę postarać się o wózek...

— O jaki wózek?

— Taki, w którym wożą niemowlęta...

Irenka, usłyszawszy to, chciała w pierwszej chwili chwycić przyzwocie ciężką lampę i cisnąć nią w piękny łeb znudzonego młodziana. Pomyślała jednak, że ze względu na panią Milecką należy wytrwać w dostojeństwie.

— Jeżeli ja panu przeszkadzam... — zaczęła.

— Przede wszystkim nie jest on żadnym panem, tylko zwyczajnie po prostu Zbyszkiem, a następnie Zbyszek powinien pamiętać, że Irenka jest naszym gościem — rzekła pani Milecka surowo.

— My, z siódmej klasy — bąknął znudzony melancholik — wiemy, co to jest *savoir-vivre*<sup>98</sup>. Służę pani!

To „pani” było bardzo ironiczne. Irenka udawała jednak, że wcale tego nie zauważyła.

Poszli przez rozświetnione ulice, potem drogą do Kuźnic<sup>99</sup>; długie szeregi jarzębin, obwieszone szczerbymi koralami owoców, dźwigały na gałęziach puszysty, brylantami jarzący się śnieg.

Zbyszek objaśniał oczarowaną dziewczynę:

— To jest słońce, a to są góry. Dawniej ich było więcej, ale zeszłego roku kilka najwyższych ukradziono...

Oczy Irenki zapaliły się jak dwa ogniki. Przystanęła i mówiła cichym, ale groźnym głosem:

Spotkanie

List

<sup>97</sup>epistola (daw.) — list. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>*savoir-vivre* (fr.) — zasady dobrego wychowania, etykieta; dosłownie: „umieć żyć”. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>Kuźnice — obecnie część Zakopanego, położona w Dolinie Bystrej. [przypis edytorski]

- Jeżeli Zbyszek nie przestanie ze mnie kpić...
- To co? — zaśmiał się krwawo melancholik.
- To go tak wyrznię głową w brzuch, że fiknie kozła aż tam, do tego rowu.

On spojrział na nią z nagłym zdumieniem i sądząc z błysku jej spojrzenia, zrozumiał, że groźba była uczciwa i bardzo bliska spełnienia. Nic nie powiedział i szli dalej w groźnym milczeniu. Najpierw odtajał gniew kobiety. Irenka, jak gdyby wstydząc się swoich słów, spojrziała na niego z boku raz i drugi, wreszcie rzekła dość miękko:

- Czemu Zbyszek jest taki nieuprzejmy?

On nagle spochmurniał i przyoblekł twarz w grymas piekielnej boleści.

— Ja Zbyszka przepraszam... Mnie się tak wyrwało... Czy Zbyszek mnie nienawidzi? Co ja złego zrobiłam?

— Nic — odrzekł on takim bulgotem, jaki wydaje burzliwa chmura, z daleka pomrukująca grzmotem; jego głos wyraźnie pochodził z przepaści brzucha. — Ja nie mam do Irenki żadnej pretensji, ale ja w ogóle... No! W ogóle nienawidzę wszystkich kobiet na świecie.

- O, Boże! — zakrzyknęła Irenka. — I za cóż to?

Pochmurne serce Zbyszka otwarło się na chwilę. Spojrział na nią bokiem, nieco nieufnie, spostrzegłszy zaś, że dziewczyna jest szczerze zdumiona, mówił czarnymi słowami:

- Wszystkie są przewrotne i wszystkie są chytre.

- Ja nie jestem ani przewrotna, ani chytra — rzekła Irenka serdecznie.

- Może być... Nie wiem... To wiem, że wszystkie cierpienia zadaje kobieta.

- Zbyszku! — mówiła Irenka głosem dobrym i ciepłym, jakby ogrzany na słońcu.

— Czy Zbyszek bardzo cierpiał przez kobiety?

Melancholik zelżał już całkowicie i począł wyciągać z ust czarny kir boleści, jak magik wyciąga z nich długie skrawki papieru. Mówił tajemniczo i zdławionym szeptem:

— Cała siódma klasa jest tego zdania. Cierpimy wszyscy, a ja najwięcej... Widzę, że Irenka jest dobrą dziewczyną, bo i to się czasem zdarza wśród kobiet, więc coś Irence wyznam... Czy dasz mi słowo honoru, że nie powiesz nikomu?

- Irenka podniosła rękę i przysięgła w obliczu gór, że kamień padnie na dno studni.

- Ja jestem śmiertelnie zakochany! — ogłosił Zbyszek zdumionemu światu.

Słońce cokolwiek pociemniało, a wiatr, wypadłszy nagle z lasu, porwał w zgrabiałe ręce trochę śniegu i uczynił z niego małą trąbę. Wnet jednak ucichł, aby nie zamrozić rozplakanych zwierzeń.

- Kto ona? — szepnęła Irenka szeptem tak bladym jak śnieg.

— Nazywają ją „Białym płomieniem Szwecji” — mówił Zbyszek, patrząc przed siebie nieprzytomnym wzrokiem jak lunatyk.

- „Biały płomień Szwecji” — powtórzyła Irenka. — Co to znaczy?

- To znaczy, że pali, a nie grzeje. To takie cudowne określenie jej duszy.

- Rozumiem — rzekła Irenka. — Mnie nazywają „Panną z mokrą głową”.

Zrozpaczony melancholik zaledwie usłyszał, bo w dalszym ciągu rwał swoje serce i rozrzucał je po zaśniewanej drodze.

— Trzech z naszej klasy kochało się w niej śmiertelnie, dzisiaj jednak kocham się w niej ja jeden tylko.

- A tamci dwaj?

— Przeszło im. Jeden przerzucił się na Marlenę Dietrich<sup>100</sup>, a drugi zakochał się na miejscu, w Zakopanem. Ja tylko wytrwałem i cóż mi z tego?

— Biedny Zbyszek... — szepnęła Irenka z wielkim przejęciem. — Czy „Biały płomień Szwecji” przebywa w Zakopanem?

On aż przystanął ze zdumienia.

- Czy ty udajesz czy kpisz? — zapytał preraźliwym szeptem.

- Naprawdę nie udaję...

- Nie wiesz, kim jest „Biały płomień Szwecji”?

- Skąd mam wiedzieć?

- To Greta Garbo<sup>101</sup>!

Kobieta, Młodość, Gniew

Miłość niespełniona,  
Tajemnica, Przysięga

<sup>100</sup> Dietrich, Marlena (1901–1992) — niemiecko-amerykańska aktorka i piosenkarka. [przypis edytorski]

<sup>101</sup> Garbo, Greta (1905–1990) — właśc. Greta Lovisa Gustafsson, szwedzko-amerykańska aktorka filmowa i teatralna. [przypis edytorski]

— Ach! — zawołała Irenka.

Słyszała to nazwisko i czytała o nim o gazetach. Teraz sobie przypomina. To słynna aktorka. Spojrzała na Zbyszka z niewymownym zdumieniem i z trwożnym zachwytem. Teraz nie dziwi się wcale, że człowiek, który uwielbia tak wielką sławę, nie chciał z początku nawet gadać z nią, ze smagłym podlotkiem. Odrobina boleści wsączyła się do jej serca, żal się jej zrobiło Zbyszka, a do Greta Garbo poczuła niechęć.

— Czy ona wie o tym? — zapytała serdecznie.

— Jakże nie ma wiedzieć? — odrzekł Zbyszek, dręcząc własne serce. — Pisałem do niej...

— A cóż ona?

— Nawet mi nie odpisała. Otóż masz... Kobieta!

Każde słowo tego zdania było ostrym nożem, który Zbyszek nie tylko że wbijał sobie w serce, ale wbiwszy, obracał ostrze kilkakrotnie, dla tym większej męki.

Irenka z wielkim wzruszeniem rozmyślała o tej rozmowie, pełnej rozpaczy. Biedny chłopak ten Zbyszek... Taki ładny i taki „jakiś taki”, a zła kobieta zza morza złamała mu serce. Nawet mu nie odpisała, a przecież powinna była uczynić to natychmiast. Jeśli nie jest wolna, powinna mu była napisać: „Bardzo mi przykro, mój Zbyszku, ale nie zwracaj sobie nadaremnie głowy. Ty pójdziesz górą, a ja doliną!”. A ona ani słowa... Pewnie! Cóż ją, gdzieś tam daleko, obchodzi to, że w Zakopanem męczy się i dręczy biedny chłopiec!

„Gdyby był do mnie napisał”, myślała, „odpisałabym mu natychmiast. Ułożyłybyśmy list z mamą, a zakończenie dorobiłaby ciocia Amelia wierszem”. Machnęła ręką.

Nie mogła jednak przestać myśleć o tym tak potwornie nieszczęśliwym chłopaku. Przebaczyla mu od razu wszystkie jadowite słowa, wypowiedziane pod jej adresem, i wszystkie miny. Czuła jej serce roztkliwiło się i rozżaliło. Patrzyła teraz na niego inaczej i za wszelką cenę chciała go pocieszyć. Gdyby ona miała taki straszliwy dramat w życiu, poszłaby do matki i wypłakałaby się na jej piersi — on jednak tego nie uczyni. I nie można mu się dziwić, bo jest już w siódmej klasie, a na czole ma wspaniałą, niezłomną dumę. Jedna jest tylko rada na to przeraźliwe nieszczęście: niech uczyni tak, jak jego dwaj przyjaciele, co też kochali się śmiertelnie w „Białym płomieniu Szwecji”. Albo niech mu to przejdzie, albo niech się zakocha w innej. Widać, że jest to dobre lekarstwo i używane z powodzeniem. Inaczej bowiem albo mu pęknie serce, albo znienawidzi wszystkie kobiety, bo już jest na drodze do tego obłądnego przedsięwzięcia. Do tego dopuścić nie można! Niech zakocha się w kimś innym. Ale w kim?

— We mnie! — szepnęła z wielkim drżeniem serca.

Tak przeraziła się własnej, olśniewającej myśli, że zrobiło się jej słabo. Wszystko w niej omdlało: serce, dusza, ale przede wszystkim głowa. Poczuła w niej wielki zamęt, bo świat się z nią zakręcił, a góry, na pozór wieczystie nieruchome, zmieniły położenie.

— O, mamó! — szepnęła, jakby wołając o ratunek. — Czy ja zakochałam się czy co?

Nikt jej nie odpowiedział.

W tej chwili weszła pani Milecka z depeszą w rękę. Spojrzała na Irenkę zdziwionym wzrokiem i zapytała z wielką czułością:

— Czy tobie słabo, moje dziecko?

— Nie — odrzekła Irenka. — Tylko mi jakoś dziwnie.

— Nie przywykłaś do górskiego powietrza. A może ty masz słabe serce?

— Coś mi się zdaje, że bardzo słabe... Ale to nic... Czy to do mnie, proszę pani?

— Depesza jest do mnie, ale i do ciebie też. Pani Opolska...

— I co? I co?

— Pani Opolska prosi, abys u mnie zaczekała kilka dni, a ona...

— Przyjedzie?

— Nie wiem. Zapowiada długi list.

— Dziękci Bogu, dziękci Bogu!

— Nie ciesz się, mała, bo jeszcze nic nie wiadomo. Ale czekaj spokojnie. Nie wiesz, gdzie jest Zbyszek?

Irenka poczuła, że chociaż stara się być twarda jak granit, jednak oblał ją rumieniec.

— Zdaje mi się, że wziął narty... — bąknęła cichutko.

Pani Milecka przyjrzała się jej z nagłym zainteresowaniem i serdecznie się uśmiechnęła.

— O, wiosno, wiosno! — powiedziała cicho, jakby sama do siebie.

Irenka przyjrzała się po jej wyjściu tym wiosennym słowom i zastanowiła się głęboko. „Czy ja jestem ze szkła” pomyślała, „czy też na tej mojej nieszczęsnej twarzy od razu wszystko widać?”.

Każdy coś spostrzegł, tylko on nic nie widział. On, Zbyszek. Smażył swoje serce na „Białym płomieniu Szwecji” jak na szwedzkim prymusie<sup>102</sup> i nie widział rozczulonych, przełękłych, wilgotnych, sarnich spojrzeń Irenki. Nie zrozumiał, że „mokra głowa” postanowiła bohatercko wyrwać go z „białego płomienia”, aby nie spłonął z kretesem. A serduszek Irenki drżało na różowym wietrze, który przywiał znikąd. Była sroga zima, a ono rozwinęło się jak pączek kwiatu na wiosnę. Mądra głowa Irenki pełna była niemądrych myśli. Z marsem na czole szukała takiego sposobu, który by bez użycia słów zwrócił uwagę śmiertelnie smętnego Zbyszka, że jest niedaleko ktoś, kto myśli o nim tkliwie i z głębokim wzruszeniem. Rozmaite pomysły przychodziły jej do głowy. Mogła zaziębić się umyślnie i dostać zapalenia płuc. Może wtedy spojrzałby na nią i uśmiechnął się do niej. Nie najgorszym też sposobem byłoby włożenie ręki do rozpalonego pieca. Prędko jednak pomyślała, że wprawdzie Zbyszek zwróciłby uwagę na jej wielkie cierpienie, ale bohaterские te czyny wcale nie zachwyciłyby jej matki. Trzeba było znaleźć na dnie wzburzonego serca sposoby inne, mniej bolesne, a równie skuteczne — trudno jednak było je wymyślić.

Najbardziej subtelne pomysły zawodziły od razu. Zbyszek siedział przy oknie i z wyniosłą pogardą studiował rozdział historii starożytnej, ona zaś w drugim kącie dziergała misterną robótkę wedle mądrych poleceń pani Mileckiej,

„Jeżeli teraz głęboko westchnę”, myślała Irenka, „musi na mnie spojrzeć!”.

Nabrała w płuca potężny haust powietrza i westchnęła bardzo tkliwie.

Na nic! On nawet nie spojrzał.

Należy powtórzyć kilka razy, bo jest tak zamyślony, że mógł nie zauważyć. Powtórzyła wdychający zabieg tak wspaniale, że kamień, mchem obrosły, byłby się odwrócił. Zbójca zapytałby, czy jej przypadkiem serce nie pęka — ale on nie zapytał. Wydała więc ze zbolątych piersi prawie jęk, długi, bolesny, przeciągły. Och, nareszcie!

Zbyszek podniósł głowę przywaloną cierpieniem i z trzaskiem zamknął książkę.

— Ząb cię boli czy co? Słowo daję, że w tym domu nawet pracować nie można.

Zamknął za sobą drzwi z gniewnym hałasem, który zwałił się na biedną głowinę Irenki jak stokrotnie powiększony grzmot. W jej oczach błysnęły łzy.

— Nie dasz rady, nieszczęśliwa kobieto! — rzekła do siebie głosem suchym i złamanym jak bąbel na jesiennym wietrze.

Wieczorem zanosła swój smutek do pokoju na poddaszu, skąd był przepyszny widok na góry. Noc była ciemnogrnatowa, ale zaczęła powoli mienić się jak połyskliwa woda. Wielki, srebrny księżyc, który dzień przespał w jakiejś górskiej pieczarze, gramolił się po chmurach na niebo i pusząc się swoją jasnością, wędrował wśród błędnokich gwiazd, które na jego widok z zachwyty mrużyły oczy. On łaskawie uśmiechał się dobrym uśmiechem, a kiedy wreszcie stanął na samym szczycie nieba, rozejrzał się po białym świecie, który rozbłysnął wielką jasnością. Już nie było nocy, tylko niezmierny czar, srebrna cisza i tkliwy, rzewny niepokój.

Irenka patrzyła wielkimi oczami.

Góry miały na głowicach srebrne korony, a srebrzyste płaszcze zsuwały się po ich stokach, aż do tej niskości, gdzie mieszkali ludzie. Zrobiły się jakoś wyższe, jakby urosły w księżycowej masce i jakby w jego rozjaśnionym bogactwie stały się wspanialsze. Na śniegi padły liliowe cienie, przędzone cienko i misternie. Zdumionej dziewczynie wydało się, że cały świat, cała ta ciężka, głazem zimy przywalona ziemia zaczęła — za tajemną sprawą księżyca — dźwigać się ze swego padółu i na promieniach podnosić się w górę. Wszystko stało się światłem i ciszą, zrobiło się lekkie i powiewne, smutne i zarazem radosne. Wielka bajka miesięcznej nocy ogarnęła cały świat i szeptała coś w niezmiernej ciszy.

Góry, Księżyc, Noc,  
Piękno, Zima

<sup>102</sup>prymus — tu: dawna maszynka do gotowania na naftę. [przypis edytorski]

A ona też stała się jakaś inna. Zdawało się jej, że wszystkie smutki i udręczenia, wszystkie myśli i zadumania opadają z niej jak ciężkie, wilgotne odzienie, a ona, lekko, jak ta biała chmurka, szybko po niebie frunąca, leci przez powietrze na srebrny księżyc.

W tej chwili wszystko rozumie. Już wie, dlaczego czasem chciało się jej płakać bez powodu. Nie umie tego wypowiedzieć, ale teraz już wie, dlaczego nagle zaczynała tęsknić — nie wiadomo za czym. Pewnie z każdym na świecie człowiekiem dzieje się to samo, co się czasem dzieło z nią. Teraz rozumie: wszystko to, co się dokoła niej odbywa, to małe sprawy. Kłopoty, pieniądze, troski to drobne kamienie, zawałające drogę. Człowiek pragnie je minąć i uczynić wielki krok w górę, tam gdzie jest światło i błękit, nabijany gwiazdami. O, jakże cudnie jest w tym zaczarowanym kraju! Zdaje się, że to światło dźwięczy. A może to gwiazdy szemrzą jak złote pszczoły na niezmiernej łące? Dziwne... Dziwne... Jest w tej chwili bardzo szczęśliwa, bo leci ponad ziemią, a jednak czuje, że siłą musi powstrzymać łzy. Może to dlatego, że trzeba będzie wracać, bo nie można wciąż latać pod błękitami... Nie zawsze jest księżycowa noc...

— Boże mój, Boże mój! — westchnęła cichutko.

Księżyc musiał ją usłyszeć, bo przystanął na wprost jej twarzy i uśmiechnął się do niej jak ktoś bardzo, bardzo kochany. Zalał srebrystą wodą jasności jej pokoi, a ją otoczył promieniami jak przędzą. Zdawało się jej, że cała jest światłem — dobrym, łagodnym i słodkim. Serce przestało w niej bić, bo też zamieniło się w jasność. Jak gdyby promień zadźwięczał o promień, tak w niej odezwał się nieznaną głos, proszący Boga, aby to trwało długo, długo... A jeśli trwać nie może, niech jak najczęściej nachodzą ją takie chwile, kiedy można wzlecieć ponad ziemię, gdzie jest tak jasno i tak niezmiernie słodko.

W tej chwili księżyc ucałował jej głowinę, bo musiał iść dalej. Ona patrzyła za nim jak ktoś, kto stoi na brzegu wielkiego morza i żegna spojrzeniem srebrną łódź, która pod żaglem białej chmury płynie na kraniec świata. Ale ten, co odpływa, zostawił jej srebrną okruszynę mądrości o ludzkiej tęsknocie za tym, co jest piękne i mieszka na wysokościach. I zostawił jej duże, srebrne łzy — szczęśliwe, dobre łzy, co ciężko spływają po jej twarzy.

Nikt nie wie, gdzie jest źródło takich łez.

Ona też nie wie. Nikt tych łez nie widział i nikt się o nich nie dowie. A mądry samotnik, księżyc, który o nich wie, ma usta na wieki zamknięte.

## XII

Pani Borowska, ciocia Amelia i doktor Lipień czytali list Irenki. Pani Borowska czytała głośno, a oni słuchali, łowiąc każde słowo w locie. List był długi jak droga przez pustynię do studni, a tak zszyty z najdziwniejszych zdarzeń jak dawne dywany ze skrawków różnokolorowych materiałów, które nasze babki zawieszały nad łóżkiem. Czytano go ustępami, w słusznej obawie, że odczytanie go od razu, za jednym zamachem, groziło czytelnikowi pomieszaniem zmysłów. Była to opowieść o wszystkim, przewyborny galimatias, zupa ze stu siedemdziesięciu ingrediencji, czyli — wedle wyrażenia doktora — groch z kapustą. Irenka opisała sumiennie wszystkie swoje przygody w Zakopanem, poza tym ludzi, zwierzęta, drzewa i kamienie, niebo i ziemię; powtórzyła swoje myśli i słowa.

Pani Borowska czytała: „...Walizkę moją odniósł z dworca kolejowego sławny na dwóch półkulach, bo trzeciej nie ma, śpiewak Jerzy Zadora...”.

— Oszałała dziewczyna! — krzyknął doktor.

— Przecież Irenka nie kłamie — rzekła pani Borowska.

— W takim razie on oszalał. Coś niesłychanego! Skąd ona wytrzasnęła słynnego śpiewaka do noszenia walizek?

— Ona wszystko potrafi! — wtrąciła z uwielbieniem ciocia.

— Niech pani czyta dalej, a ja każę przynieść lód na głowę, na wszelki wypadek.

Pani Borowska brnęła przez list jak przez dziewiczą puszcę, a wreszcie odczytała zmienionym głosem, jakby sama sobie nie wierząc: „...I w tym Zbyszku, który kocha się w «Białym płomieniu Szwecji», ja sama zakochałam się śmiertelnie...”.

— Demencja! — wrzasnął doktor.

— To nie demencja, to miłość — westchnęła ciocia.

— To dzieciństwo! — uśmiechnęła się pobłaźliwie pani Borowska.

Po takiej niespodziewanej wiadomości musieli odetchnąć.

Księżyc, Łzy, Szczęście,  
Tęsknota

List

— Niech pani przerwie, bo muszę zmysły zebrać — gadał doktor. — A mówiłem, żeby lód był pod ręką... Zakochała się! Przecież tak wyraźnie pisze?

— Tak pisze, bo jej się coś zdaje.

— Ale co znaczy ten jakiś „Biały płomień Szwecji”? Czy może mnie ktoś objaśnić? Może to szwedzka zapalka? Nie! Zapalka pali się płomieniem żółtym... A jeżeli nie zapalka, to co? Biały płomień... Biały płomień... To musi być powiedziane pod figurą. Wiem! To jest szwedzki poncz. A jeżeli to jest szwedzki poncz, który jest wybornym, lecz mocnym napitkiem. W takim razie młodzieniec, zakochany w ponczu, jest obrzydliwym pijakiem. Otóż macie! Puść kozę na drzewo, a ładne będzie przedstawienie. Licho nadało niedowarzone panny! Rozumiem, że Pan Bóg stworzył lwy, tygrysy i słonie, ale po co stworzył panny, tego nie mogę zrozumieć.

Ciotka Amelia skrzywieniem twarzy dała mu do poznania, że żart jest w złym guście, bo i ona jest panną.

— Nikt nie wie — rzekł doktor — co uczyni kot, któremu przywiązano pęcherz do ogona, co uczyni taka panna, której przywiązano do ogona piętnaście lat.

— Co też doktor wygaduje! — zaśmiała się pani Borowska.

— Ja wiem, co mówię. My tu nie wiemy, co ze sobą zrobić, a ona zakochała się. Niech pani czyta dalej, może się już odkochała.

Nic o tym nie było w liście. Na widownię natomiast wypłynął księżyc.

„...Przecudowna była ta noc księżycowa. Było tak ślicznie, że mi się chciało płakać...”.

— O, Boże! — westchnął doktor, ale zaraz groźnie warknął.

„...Czemu was tu nie ma? Czemu nie ma tu ciebie, najdroższa i jedyna, święta moja mateczko...”.

Pani Borowska zaczęła czytać z trudem, bo oczy jej zaszkliły się łzami.

„...Czemu tu nie ma ciotki, która napisałaby najpiękniejszy w życiu swoim wiersz...”.

— Małeństwo moje ukochane... — szepnęła ciotka.

„...Czemu tu nie ma tego najlepszego człowieka na świecie, wujaszka doktora? Zdało mi się, że go widzę na księżycu, jak się do mnie uśmiecha, mój drogi i kochany...”.

— Powoli! — rzekł doktor bardzo cicho. — Czemu pani tak prędko czyta? Niech pani przeczyta to raz jeszcze...

Pani Borowska odczytała po raz drugi, a doktor wlaź w jakiś ciemny kąt i pytał stamtąd:

— Napisała: „mój drogi i kochany”?

— Tak, panie doktorze...

Nagle doktor wrzasnął ni stąd, ni zowąd:

— Czego panie właściwie chcą od tej dziewczyny?! Jeżeli zakochała się, to jej rzecz. Ho ho! Ona wie, co robi... Irenka, złota moja Irenka... Ale ja nie pozwolę jej krzywdzić. Jeśli panie chociaż jedno złe słowo o niej powiedzą, to ja się upomnę o to biedne dziecko!

Pani Borowska spojrzała ze zdumieniem.

— Ależ, doktorze kochany, przecież to pan...

— Ja? W imię Ojca i Syna!... Żebym siebie samego leczył, jeśli cokolwiek powiedziałem.

— Może nam się przesłyszało — uśmiechnęła się pani Borowska.

— Nawet z całą pewnością — oświadczył doktor.

List kończył się wiadomością o depeszy pani Opolskiej, co wielkie na wszystkich uczyniło wrażenie. Pani Borowska gładziła go ręką, jak gdyby to była sama Irenka, a doktor szybko krążyć zaczął po pokoju. Nagle przystanął i podniósł w górę wskazujący palec — jak człowiek, który bada kierunek wiatru.

— Jestem tak wzruszony — rzekł radośnie — że muszę pójść zaczerpnąć świeżego powietrza i zobaczyć gwiazdy.

— Uroczy człowiek — powiedziała po jego wyjściu ciotka Amelia. — Szkoda tylko, że wciąż gubi swoje gumowe mankiety.

Doktor, nucąc arię z opery, o której wszyscy już na całym świecie zapomnieli, nawet nie spojrzał na niebo, gdyż nie trzeba było kierować się gwiazdami, aby trafić do jedynej w tym mieście knajpy, tym się odznaczającej, że w lecie było w niej więcej much niż gości, a w zimie tylu gości, ile much. Siedzieli w niej w tej chwili dwaj wytrwali: burmistrz z zakłopotaną głową i nauczyciel kaligrafii, tak długi i chudy jak chuda i długa litera „f”

Karczmia

— żyrafa abecadła. Doktor, należący do odmiennego niż oni stronnictwa, którego był jedynym członkiem, skłoniwszy się uprzejmie, usiadł przy osobnym stole, w najlepszym towarzystwie, jakie można było znaleźć w tym miasteczku, bo sam ze sobą. Wiódł też sam ze sobą rozmowę zajmującą i wesołą, bo wciąż się uśmiechał. Po jakimś czasie zawołał półgłosem:

— Europejska heca! Słowo daję...

Tamci spojrzeli na niego ciekawie.

— Jaka heca? Co się stało, panie doktorze?

— Nic... Nic... Tylko, że słynny tenor niósł walizkę za Irenką. Ha! Ha!

Burmistrz mrugnął na żyrafę.

— Piąte piwo! — szepnął.

Po półgodzinie doktor zaśmiał się po raz drugi.

— „Pokochać można, wierzyć nie trzeba”, rzekła matka do swej córki — głosił doktor.

Oni spojrzeli ze zdumieniem.

— Szóste piwo! — z gorzką zawiścią bąknęła żyrafa.

Radość zacnego doktora nie byłaby jednak tak rozszumiana jak piana na piwie, gdyby wiedział jakie serdeczne cierpienia przeżywa Irenka.

Dni w Zakopanem były promieniste, a jej dusza tułała się w mroku. Nie mogła uratować Zbyszka; jeśli nawet na nią spojrział, patrzył tak, jakby była ze szkła i jakby przez nią — jak przez powietrze — można było widzieć stół czy krzesło. Na nic zatem wszystkie westchnienia, na nic serdeczna ofiara. On jest zgubiony, a ona będzie smutna do końca swoich dni. Cóż dla takiego wspaniałego melancholika znaczy taki laskonogi podłotek, dla człowieka z siódmej klasy — piętnastoletni skrzat! Trzeba będzie zapaść się w żalność jak w trzęsawisko, kupić sobie olbrzymi dzban na lzy i patrzeć z pękniętym jak szklanka sercem, jak jakiś zamorski dziwoląg zwycięża polską pannę. O, boleści! Jak wytłumaczyć temu opętanemu Zbyszkowi, że ona nie jest dzieckiem, lecz dorosłą, zdolną do największych poświęceń osobą, gotową do czynów śmiałych i zdumiewających, i że posiada serce najczulsze na świecie? Jak zwrócić jego uwagę?

Przypadek, wspaniały przypadek sprawił, że musiał przekonać się o jej znaczeniu we wszechświecie. Nikt tego nie mógł przewidzieć, a ona pojęła w lot, że jeśli teraz nie skorzysta z dziwnego zbiegu zdarzeń, przypadek taki już nigdy nie powtórzy się. Szła przez zalany słońcem park, kiedy usłyszała za sobą śmiech i głośnie rozmowę. Zdawało się jej, że poznaje głos Zbyszka, miękki jak mech. Co tam mech! Miękki jak aksamit. Szedł w towarzystwie dwóch dryblasów, swoich kolegów, i głośno o czymś rozprawiali. Przyspieszyła kroku, a wtem coś zalśniło w jej duszy jak błyskawica. Tuż przed nią, szczerząc zdrowe zęby do słońca, siedział na ławce wielki On, słynny Zadora. Z oszołomionej jej głowy wytrysnął nagle pomysł perlisty jak fontanna. Tamci już się zbliżają... Za chwilę Zbyszek będzie tędy przechodził... Wszystko jedno!... Żegna się z przyjaciółmi i nadchodzi...

Podbiegła do Zadory i usiadła przy nim tak niespodziewanie, jak gdyby zleciała z drzewa. Sławny człowiek zdumiał się zupełnie tak jak zwyczajny człowiek.

— O, to pani — rzekł wesoło.

— Tak, ja... Drogi, złoty, kochany... Potem panu wszystko wytłumaczę... Ale teraz niech pan powie głośno, jak najgłośnie: „O, cudna pani, szaleję za tobą!”. I niech pan oczy wywróci albo ręką położy na sercu... Już, już, niech pan mówi!

Zadora, wesoły chłopak, poczuwszy jakąś radosną awanturę, o nic nie pytał, tylko wrzasnął z niezmiernym przejęciem:

— O, cudna pani, szaleję za tobą!

A od siebie, z własnej inicjatywy, dodał:

— Albo ty, albo śmierć!

Zbyszek spojrział! Spojrział! Jest cokolwiek zdumiony, lecz cóż to... Wzruszył ramionami i uśmiechnął się tak litościwie i tak drwiąco... I spokojnie poszedł dalej.

Zimny, bezgłośny piorun padł u stóp Irenki.

— Dobrze było, co? — zaśmiał się Zadora z całego serca. — To o niego szło? Rozumiem! O, cóż panienka taka smutna?

— Nawet pan nie pomógł — szepnęła Irenka. — W takim razie już nic nie pomoże... Dziękuję panu... Jest pan strasznie dobry.

— Przejdzie, przejdzie, moja mała — uśmiechnął się Zadora bardzo czule.

Miłość niespełniona

Podstęp, Kłamstwo, Żart

Patrzył za nią długo, kiedy odchodziła wolnym krokiem.

„To jakaś pomyłona dziewczyna — pomyślał — ale bardzo zabawna”.

Tego samego zdania byli wszyscy, kiedy przy wspólnym obiedzie, podczas chwilowej ciszy, Irenka rzekła niedbale:

— Ten sławny Zadora oświadczył mi się dzisiaj w parku, ale go nie przyjąłem.

Jednej pani wypadła łyżeczka z ręki, ktoś inny znieruchomiał z wzniesionym w górę widelcem. Trwało to jednak krótką chwilę, nagle bowiem wszyscy — oprócz Zbyszka — wybuchnęli głośnym śmiechem.

„Klapa!”, pomyślała Irenka i pochyliła głowę nad talerzem.

— Koza! — bąknął Zbyszek.

Do końca obiadu była celem żartów. Śmiano się serdecznie, dziwiąc się jedynie, że Irenka, zrobiwszy taki wyborczy dowcip, sama się z niego nie śmieje.

„Palnęłam nieśmiertelne głupstwo”, myślała Irenka w swoim pokoiku. „Ale tej kozy nigdy mu nie przebaczę. Jak on od razu przejrzał, że to była heca? Albo słyszał wszystko, kiedy prosiłam Zadorę, albo też ten Zadora zbyt śmiesznie wygłosił wspaniałe słowa... Musiało to niemądrze wypaść i wszystko na nic. Po co on zresztą dodał: «Albo ty, albo śmierć!», kiedy tak nie było umówione? A tak to jakoś powiedział, jakby śpiewał. Po co zaraz ta śmierć? Śmierć teraz dopiero jest potrzebna... Może byłoby to najlepsze, gdybym teraz umarła... O, wtedy to już nie byłaby koza, panie Zbysku!”.

Zacisnęła powieki i przestała oddychać, być może bowiem, że jest to doskonały środek na rozstanie się z tym nędznym światem. Może byłoby się nawet udało, gdyby ktoś nie był gwałtownie zapukał do drzwi.

— Irenko, zejść czym prędzej! — wołała pani Milecka.

Irenka odsunęła śmierć łagodnie i strząsnąwszy z głowy ponure myśli, zeszła do pokoju pani Mileckiej.

— Mam dobre wiadomości, moje dziecko — mówiła ona, pokazując jej trzymany w ręku list. — Pani Opolska pisze...

Miłość odleciała z serca Irenki jak ptaszek i usiadła za oknem na gałęzi drzewa, bo jej pani miała w tej chwili ważniejsze sprawy.

— Pani Opolska pisze, że jest chora i sama nie może przyjechać — mówiła pani Milecka, dziwnie uśmiechnięta. — Przysłała za to swoją zaufaną przyjaciółkę czy też krewną, bo niewyraźnie o tym wspomina, i ta pani z tobą się rozmówi.

— Czy to dobrze, proszę pani, źle?

— O ile znam panią Opolską, to bardzo dobrze. Z pewnością przybyłaby sama, gdyby nie była chora. A ta pani przyjedzie dzisiaj wieczorem. Moje dziecko!

— Co, proszę pani?

— Odziej się starannie, jak możesz najstaranniej, a włosy spróbuj jakoś ułożyć, bo to awantura, a nie włosy. I bądź dla tej pani uprzejma. Dobrze, dobrze! Ja wiem, że zawsze jesteś uprzejma, ale dzisiaj proszę cię o to szczególnie. I jeszcze jedno! Nie skarż się na panią Opolską...

— Jakże ja mam skarżyć się na panią Opolską? Ja mam do niej tylko żal...

— Więc nie miej nawet żalu. O czym będziesz rozmawiać z tą panią, tego nie wiem, ale niech cię twoje dobre serce nauczy najserdeczniejszych słów. To ci tylko chciałam powiedzieć. Czy dać ci jakąś wstążkę do upięcia włosów?

— Nie, proszę pani, dziękuję. Ja znam swoją głowę! Może żelazna obręcz z beczki cokolwiek mogłaby pomóc, ale wstążka na nic.

— Och, ty „Panno z mokrą głową”! — zaśmiała się pani Milecka, ściskając wzruszoną Irenkę.

„Matka anioł, a syn zbrodniarz...”, pomyślała Irenka z goryczą, idąc stroić się na przyjęcie posła pani Opolskiej.

Obrzęd ten nie trwał długo, polegał bowiem na oczyszczeniu sukienki i na przejechaniu przez gęstwinę włosów rozczapierzonymi palcami jak broną po grudzie. Królowa buszmeńskiego plemienia nie czesze się inaczej.

Irenka, mając jeszcze wiele czasu, rozmyślała w ciszy, co powie tej damie, która ma zjechać do Zakopanego, aby ją obejrzyć. Cóż jej powie? Wszystko — śmiało, odważnie i jasno. Myślała o tym spotkaniu spokojnie, kiedy jednak usłyszała zgiełk i nawoływania

Spotkanie

służby w dolnych pokojach, co zapowiadało nieomylnie przyjazd znamienitej osoby, serce jej zaczęło bić niespokojnie. Potem wszystko ucichło, zapadł głęboki wieczór, a jej jeszcze nie wołano. Widocznie pani Milecka rozmawia z ową damą. Musiała ona napisać wzruszający list do pani Opolskiej, skoro pani Opolska pragnęła sama przyjechać. Niech jej to pan Bóg wielkim szczęściem wynagrodzi. O czym one tak długo rozmawiają? Pewnie o niej.

Nareszcie, nareszcie!

Pani Milecka weszła do pokoju Irenki i powiedziała cicho:

— Ta pani musiała odpocząć, a teraz chce ciebie zobaczyć. Chodź ze mną, drogie dziecko... Pamiętaj, o co cię prosiłam?

— Pamiętam, proszę pani.

— I nie bój się. Przyjaciółka pani Opolskiej ma wprawdzie groźną minę, ale zdaje mi się, że to dobra kobieta. Chodźmy! Ta pani mieszka w wielkim pokoju. Wejdz sama...

Irenka zapukała nieśmiało do drzwi.

— Proszę wejść — odpowiedziano stłumionym głosem.

Dziewczyna weszła i przystanęła przy drzwiach, szukając oczyma tej pani, w pokoju bowiem paliła się jedna tylko lampa, przygaszona kolorowym abażurem. Bystre oczy Irenki ogarnęły przestrzeń. W fotelu siedziała siwa, starsza pani, świetnie wytworna, w czarnej sukni. Spojrzenie jej było żywe i mądre; nos miała cokolwiek ostry. Barwa twarzy przypominała kolor kości słoniowej. Musiała być kiedyś bardzo piękna. Nieskazitelną urodę zachowały jej ręce — drobne, białe, starannie wypielęgnowane. Dwie rysy, opadające z kąćków ust ku dołowi, żłobiły się bardzo widocznie, tak samo jak pionowe zmarszczki między oczami.

Irenka poczuła, że oczy te patrzą na nią mocnym, natarczywym spojrzeniem, jak gdyby chciały przebić nie tylko mrok sączący się z powały, ale i jej piersi, i jak gdyby chciały ujrzyć serce. Ukłoniwszy się z czarującym wdziękiem, dziewczyna spojrzała w te oczy wzrokiem jasnym, rozbłyśniętym i szczerym.

Przez chwilę trwało milczenie, Irenka bowiem nie śmiała przemówić pierwsza, a siwa pani patrzyła... Patrzyła... Wreszcie zapytała cicho:

— Nazywasz się, moje dziecko, Irena Borowska?

— Tak, proszę pani.

— Szukasz pani Opolskiej?

— Tak, proszę pani.

— Pani Opolska prosiła mnie, abym porozumiała się z tobą. Możesz mówić wszystko, a ja jej to wiernie powtórzę. Nie mamy przed sobą tajemnic. Upprzedzam cię jednak, że ode mnie będzie zależało, czy zobaczysz kiedykolwiek panią Opolską czy jej nigdy nie ujrzysz. Teraz mów!

— Co ja mam mówić, proszę pani?

— Wszystko! Pani Milecka cuda o tobie opowiada, o twojej roztropności i o czymś tam jeszcze, więc pewnie słów ci wystarczy... Usiądź... A teraz patrz mi w oczy i odpowiadaj. Kto cię wysłał do pani Opolskiej?

— Nikt, proszę pani. To był mój pomysł.

— Mądry pomysł i głupi pomysł. Matka twoja, oczywiście, wie o twoim wyjeździe?

— Moja matka wie.

— A więc to taka mała zmowa!

Irenka spojrzała na nią wzrokiem pełnym wielkiego żalu.

— Proszę pani — rzekła drżącym głosem — niech pani mówi ze mną, jak chce, i niech pani nawet mnie zwymyśla, ile się tylko da, ale niech pani o mojej matce ani źle nie mówi, ani źle nie myśli. Moja matka jest chora, bardzo ciężko chora na serce. Gdyby mi nie pozwoliła pojechać do pani Opolskiej, byłabym może uciekła... Ja nie wiem... Ale ja musiałam pojechać właśnie dlatego, że moja matka jest taka chora. Mama nie sprzeciwiała się, bo tylko jedna pani Opolska potrafiłaby ją poratować.

— Bardzo ładnie. A czemuż tylko pani Opolska?

— Bo my nie mamy nikogo poza nią na świecie. Wprawdzie raz już jeden mamusia pisała do niej, ale odmówiła. Sama wozila list na pocztę w wielkiej tajemnicy.

— Przed kim?

— Przed ojczulkiem. Mama nie chciała, aby ojciec wiedział, że szuka ratunku.

— Ach, tak... I pani Opolska odmówiła... No, a teraz? Co masz teraz do powiedzenia pani Opolskiej? Przyjechałaś po pieniądze. Czy nie tak?

— Nie! — odpowiedziała Irenka mocnym głosem.

— Więc po co właściwie?

— Ułożyłam sobie — mówiła Irenka — że padnę do nóg pani Opolskiej i wybłagam, aby ratowała moją matkę i mojego brata. To jeszcze dziecko... Może pani Opolska wzięłaby ich do siebie na wieś albo do Warszawy na tak długo, zanim ja nie będę mogła pracować.

— Aha! Pani Opolska miałaby wziąć do siebie matkę i brata... Ale czemu nie mówisz o sobie? Co miałoby stać się przez ten czas z tobą?

— Ze mną? Ja dobrze o tym nie myślałam, proszę pani. Gdzieś byłabym się przytuliła i uczyłabym się pracy. Co tam ja! Ja mogę jeść byle co i spać na gałęzi, ale mama nie może i brat też nie. Ja nawet myślałam...

— Mów śmiało.

— Myślałam nawet o tym, że pani Opolska zajmie się nimi, a ja chociaż część tego, co im da, odśluzę jako pokojówka...

— U kogo?

— Myślę, że u pani Opolskiej.

— Jako pokojówka... Jako pokojówka... — powtarzała siwa pani bezdźwięcznie. — Czemu tak wpatrujesz się we mnie? — zapytała nagle bardzo szorstko.

— Bardzo panią przepraszam. Ja mam takie niemądre przyzwyczajenie patrzenia w oczy. Już nie będę...

— Patrz albo nie patrz... Jak ci się podoba... Ile masz lat?

— Prawie piętnaście, a brat skończył osiem.

— A matka bardzo chora?

— Bardzo. Trzeba jej wielkiego spokoju.

Siwa pani odwróciła głowę i przez chwilę patrzyła w noc, kładącą się do snu za oknami.

— Co powiedziała twoja matka po otrzymaniu listu od pani Opolskiej? Pamiętasz?

— Pamiętam. Nic nie powiedziała, tylko miała bardzo czerwone oczy... Od łez.

Wytworna pani drgnęła, jakby mróz powiał zza okien.

— Pani Opolska o tym nie wiedziała — powiedziała cicho.

— Jak mogła wiedzieć? — mówiła smutno Irenka. — Może gdyby była widziała łzy mojej matki...

— No, to co? Nikt cię o to nie pyta — zawołała gwałtownie siwa pani.

Irenka spojrzała na nią ze zdziwieniem, ale widząc, że siwa pani znowu patrzy w okno, odważyła się rzec cichutko:

— Bo ja myślę, proszę pani, że pani Opolska nie jest taka zła, jak się wydaje.

Wytworna pani odwróciła powoli głowę i zapytała głosem niespodziewanie łagodnym:

— Dlaczego tak myślisz?

— Dlatego, że ja sobie nie wyobrażam, aby ktoś mógł być zły dla swojej najbliższej krewniej, kiedy obcy ludzie byli dla nas dobrzy. Musi być jakaś inna przyczyna. Pani dobrze zna panią Opolską. Może ona jest nieszczęśliwa albo może ktoś jej wyrządził coś złego, więc pogriewała się na cały świat i na nas przy sposobności? Ja często o tym myślałam, ale nic nie wymyśliłam, bo jestem głupia.

— A gdybyś zobaczyła panią Opolską, co byś jej powiedziała?

— Dobrze nie wiem, ale powiedziałabym jej tak: „Jeżeli pani jest zła, to trudno, Pan Bóg panią osądzi, ale jeżeli pani pozwoli umrzeć mojej matce tylko dlatego, że pani ma żal do niej, nie wiem za co, to pani nie będzie miała w życiu spokojnej chwili, bo panią sumienie zadręczy”. Powiedziałabym jej to takim głosem, że by struchlała.

Siwa pani spojrzała na nią z dziwnym błyskiem w oczach.

— Czy tak bardzo kochasz swoją matkę?

— Moją matkę? Ponad życie!

— A pani Opolskiej nie kochasz chyba?

— Na to trudno odpowiedzieć. Gdybym ją była spotkała wtedy, kiedy mama przez nią płakała, byłoby jej gorąco. Byłabym jej powiedziała straszne rzeczy... Teraz to mi już przeszło. Zresztą, co innego list, a co innego żywa osoba. Mojej prośbie pani Opolska nie odmówi!

— Och, a czemuż to tobie nie miałaby odmówić?

— Bo nie może. Nawet krokodyl nie odmówiłby dziecku, które prosi o życie dla swojej matki. Zresztą, ja słyszałam, że pani Opolska miała też córkę, która, biedactwo, umarła.

— Umarła... — powtórzyła szeptem siwa pani.

— Może ona dlatego jest taka nieszczęśliwa?

— Moje dziecko, przestań o tym mówić. Powiedz mi teraz jasno: co zrobisz, jeżeli pani Opolska odmówi nawet tobie?

Irenka odpowiedziała smutno:

— Jeżeli tak się stanie, wtedy nie wiem, co my zrobimy. Moja droga, moja złota, moja jedyna pani. Niech pani tak urządzi, abym ja mogła zobaczyć panią Opolską! Ja zrobię wszystko, co ona każe, ja będę pracowała od świtu do nocy, byle tylko ją wzruszyć i byle uratowała mamusię. Może mnie nawet bić codziennie, może mi kazać śmiać się albo płakać, ja wszystko...

— Uspokój się, moje dziecko. Zrobię, co można... Zobaczysz panią Opolską... Co ty wyprawiasz, dziewczyno?

Pytanie było uzasadnione, bo bujna i czuła dusza Irenki wybuchnęła płomieniem wdzięczności; nie zważając ani na dostojność, ani na świetne maniery siwej pani, Irenka zarzuciła ręce na jej szyję i zaczęła ścisnąć jej dostojność z całego serca. Dostojność broniła się słabo, wreszcie udało się jej posadzić Irenkę na fotelu.

— Strasznie panią przepraszam, ale taka jestem głupia. Kiedy mi ktoś przemówi do serca, sama nie wiem, co robię. Czy pani wie, jak mnie nazywają w narodzie? „Panna z mokrą głową”! Dobrze, co?

— Lepiej nie było można.

— Niech pani tylko tego nie mówi pani Opolskiej, bo może pomyśli, że jestem po prostu wariat. Ja tylko pani mówię w zaufaniu.

— Tak mi wierzysz?

— Bardzo! Pani musi być bardzo, bardzo dobra, tylko...

— Tylko co?

— Przepraszam, wymknęło mi się. Pani nie pogniewa się na mnie?

— Nie pogniewam. Więc?

— Tylko że pani ani razu nie uśmiechnęła się do mnie. Do mnie zawsze wszyscy się śmieją. Ale może pani nie uśmiechać się, ja i bez tego wiem, że pani jest dobra, tylko że z początku to się trochę pani bałam.

Siwa pani starała się uśmiechnąć, ale nie bardzo jej się to udawało. Głębokie bruzdy koło ust nie mogły się rozprostować. Spojrzeniem jednakże starała się okazać Irence odrobinę życzliwości. Była bardzo jakoś zmieszana i ręce jej drżały.

— Zdaje mi się, że ciebie niełatwo nastraszyć — rzekła z jedną dziesiątą uśmiechu. — Wracajmy jednak do rzeczy. Czy możesz mi, moje dziecko, opowiedzieć o wszystkim, co działo się z wami od tej chwili, kiedy to pani Opolska tak niemiłosiernie odpisała twojej matce? Mów, jak umiesz, ale o wszystkim, o wszystkim. O ludziach i o zdarzeniach... Jeszcze nie jest późno, mamy czas. Mów, Irenko...

Dziewczyna rozpoczęła opowieść barwną i obszerną; wzięła do rąk długie, długie różnec dni i cichym głosem, jak gdyby modliła się, przesuwała paciorki. Jedne były śliczne, z pereł utoczonych, inne smutne, z czarnego drzewa. Głos jej czasem zadrżał albo wilgotniał od łez, kiedy mówiła o matce. Jak złote nitki w szarej tkaninie błyskały dziecińskie słowa, kiedy opisywała swoje dni szczęśliwe, wyprawy i szaleństwa. Potem głos jej roześmiał się, kiedy przed nieruchome, wpatrzona w nią oczy starszej pani wywlokła Jasia, zagrzebanego w śniegu lub odprawiającego medytację z jaskami w ręku. O babce i ciotkach opowiadała rzewnie, wreszcie skrzesał ognia pan Podkówka. Mówiła o dobrotliwym księdzu i o jego testamencie, o wszystkim, o wszystkim. Ustęp osobny, wspańiały i głośny, przeplatany śmiechem i wzruszeniem, poświęciła największemu swojemu przyjacielowi na świecie — doktorowi. Krótko i kwieciste zdawała raport o swojej wyprawie i o przyjeździe do Zakopanego.

Siwa pani nie przerwała jej ani jednym słowem. Słuchała pilnie, zamykając czasem oczy, kiedy Irence głos zadrżał, lub patrząc na nią ciekawie, kiedy zdawała się stanąć na głowie i wyrażać radość. Coś musiało dziać się z wytworną panią, bo jej twarz, zakrzepła w smutnej powadze, zaczęła tajać jakby słoneczny promień padł na lodową powłokę.

Irence zdawało się czasem, że zmarszczki wokół ust czyniły gwałtowny wysilek, aby zrobić miejsce uśmiechowi, co cieniutką strugą spływał z oczu wyniosłej damy.

— A teraz, na sam koniec — mówiła Irenka, znijęwszy głos — powiem pani coś, ale w największej tajemnicy.

— Mów, mów, moje dziecko!

— Otóż tu, w Zakopanem, spotkało mnie wielkie i śmiertelne nieszczęście.

Dama wzdrygnęła się.

— Co ci się stało, na Boga?! — zapytała z wyraźnym już wzruszeniem.

— Zakochałam się — ogłosiła Irenka z cichym jękiem. — W Zbyszku Mileckim...

Śmiertelnie, powiadam pani: śmier-tel-nie!

— A on? — zapytała siwa pani pośpiesznie.

— A on gwizdże na mnie!

W tej chwili stało się coś najdziwniejszego. Wytworna pani zaczęła dusić się, najwyraźniej dusić się. Zatrzepotała rękami jak tonący człowiek i chwytając ustami powietrze, też niczym topielec. A jak na rzece, kiedy słońce przygrzeje, lód trzaska i uchodzi do morza, a woda wygładza się i uśmiecha do słońca, taka sama radosna awantura wydarzyła się na twarzy owej pani. Lód spłynął z jej groźnej twarzy, wygładziły się zmarszczki, odechnęły wreszcie usta. Dostojna, mroźna, twarda twarz zelżała i świetna pani wybuchnęła śmiechem.

Irenka chciała się obrazić, ale przez krótką chwilę. Ten nieoczekiwany, niespodziewany, może od wielu, wielu lat wyglądany śmiech tak ją rozradował, że zaczęła śmiać się także. A teraz z kolei siwa pani podniosła się nagle z fotela i objawszy ramionami Irenkę zaczęła całować jej głowę.

— Och, ty śmieszne, drogie dziecko... — mówiła szybko. — Głupi ten Zbyszek, że ciebie nie kocha, bo jakże ciebie nie kochać?

— Żeby tak pani Opolska to powiedziała — westchnęła Irenka.

Siwa pani ujęła jej głowę w obie dłonie i rzekła ze wzruszeniem:

— Pani Opolska nie wiedziała o niczym. To biedna, stara kobieta, którą wiatr nosi po świecie, bo jej serce nie zna spokoju. Prawdę o niej powiedziałaś, Irenko moja złota. Ale teraz, kiedy o wszystkim dowie się ode mnie, będzie inaczej, z całą pewnością będzie inaczej... Pani Opolska też miała córkę... A ponieważ jej już nie ma, chciałaby mieć taką jak ty... Taką jak ty... Co dla matki oddałaby życie... Kochane, drogie dziecko... Niech cię Bóg błogosławi!... Zaśmiałam się po raz pierwszy od wielu lat za twoją sprawą, a teraz znowu mam łzy w oczach... Też za twoją sprawą... Co ty ze mną wyprawiasz, zła dziewczyno?... Powiedz swojej matce, że pani Opolska żałuje z całego serca. I że będzie inaczej...

Nagle Irenka cofnęła się o krok. Zbladła i usta jej zadrgały. Dobytając słów z trudem, szepnęła:

— Pani jest panią Opolską!

— Tak! — odpowiedziała jej siwa pani. — Nie gniewaj się. Chciałam usłyszeć prawdę o sobie... Nie chciałam cię przestraszyć... Przebaczysz mi, córuchno?

Irenka zaważała się na jedno króciutkie mgnienie. A potem siwa pani i czarnowłose Cyganiątko objęły się w mocnym uścisku.

A chociaż to była zima, w Zakopanem wielka tej nocy była ulewa.

Albowiem powiada mędrzec: „Kiedy jedna kobieta płacze, wtedy pada rosa. Kiedy jednak płaczą dwie kobiety — i to z radości — wtedy jest ulewa”.

### XIII

Pani Opolskiej zdawało się nazajutrz, że po ciężkiej chorobie obudziła się zdrowa i szczęśliwa. Nie powiedziała Irence wszystkiego tego, o czym ciotka Amelia mówiła doktorowi. Nie powiedziała jej, że załamała się w niej twarda, nieustępliwa duma, która dotąd lodowym pancerzem osłaniała jej serce. Odgrodziła się od wszystkich, przekonana, że jej nieszczęście jest innym nieszczęściem, większym i bardziej zbolalym niż szare nieszczęścia szarych ludzi. A ci ludzie byli jej obcy i jeśli musiała zetknąć się z nimi, czyniła to z niecierpliwą niechęcią. Nie obchodził jej los i żywot nawet najbliższych. Umieściła się na wysokiej skale swojego cierpienia i było jej obojętne, że i inni cierpią. Dopiero kiedy

Śmiech

Przemiana, Duma

śluchała opowieści Irenki — cichej, niewymyślnej, a tak napełnionej pokornym i wielkim cierpieniem jak noc mrokiem i ciszą — zdumiała się, jak gdyby objawiło się jej coś nieznanego. Więc szare istoty też tak cierpią. Cierpią dotkliwie, boleśnie i gorzko, a nie skarżą się i nie zamykają się w swoim cierpieniu jak w trumnie, lecz dzielą się nim tak samo, jakby dzieliły się radością. Przełamują serca jak chleb i mówią sobie: „Posił się moim sercem, jeśli twoje osłabło w boleści”. Dreszcz po niej przeszedł. Ci odsunięci od niej Borowscy, sami mając zaledwie kęs chleba, dzielą się nim z biednymi krewnymi, a kiedy go Borowskim zabrakło, jakiś cudaczny doktor, obcy człowiek, otwiera im swoje serce i dom. Staruszek ksiądz zza grobu myśli jeszcze o tym, aby ratować tonących. Jakiś mizerak Podkówka kłamie serdecznie, aby pomóc temu ślicznemu dziecku. A cóż ona wtedy czyniła? Ona, bogata, wspaniała i tak strasznie, strasznie dumna? Odepchnęła wszystkich, zamknęła się jak ślimak w skorupie w swojej złotej, dostatniej ciszy i nie słyszała szelestu łez, najgroźniejszego odgłosu na świecie.

— Przebac mi, Boże, przebac mi, Boże! — szeptała bez słów, słuchając Irenki.

„O, jakie to szczęście”, myślała, „że to rozsądne i mądre dziecko nie ma w swoim najczystszej sercu tyle mądrości, aby rozumieć, co we mnie dzieje się i co we mnie łamie się; że nie widziało tej koszarnej dumy, oschłej, nielitościwej i nieznającej miłości, bo może przeraziłoby się tego widoku i odeszło, przelękło. Niech niebu będą dzięki, że wzruszyło się dziecinnie i swoje rączki zarzuciło na moją szyję. Cudowne, drogie dziecko...”. Pani Opolska jeszcze słyszy stukot wzruszonego serduszka, jeszcze widzi wielkie łzy w czarnych, zamglonych oczach. Pokochała tę dziewczynę gwałtownie, całą mocą obudzonego serca. Rozeszły się późną nocą, a ona już za nią tęskni. Rozmawiały długo, długo jeszcze, a każde słowo Irenki zakwitało jak pąk — i oto ona, stara, siwa kobieta, ujrzała za jej sprawą wiosnę wśród mroźnej zimy; w mroku swego serca zobaczyła uśmiech, a z dumy jej, jak ze skały, tryskało żywe źródło łez. Pragnęłaby mieć ciągle tę dziewczynę przy sobie, móc ją tulić do piersi, całować te oczy, co tyle widziały smutków, i ogrzewać w swoich dłoniach te ręce drobnutkie, co usiłowały dźwignąć ciężar ogromny i ratować rodzoną ziemię.

Wśród wzruszeń pani Opolskiej błyskały czasem rzewne, nieznane jej dotąd uśmiechy, kiedy sobie przypominała niektóre ustępy z opowieści Irenki. Ta dziewczyna rzuciła na nią czar. A przy tym wszystkim taka jest śliczna, zgrabna, śmiała i roztropna.

— Moje dziecko najdroższe! — powiedziała głośno pani Opolska sama do siebie i sama słów tych słuchała ze zdumieniem jak dalekiego echa. Tak przecież kiedyś mówiła do swej córki.

Tak zatem stało się, że pani hrabina Opolska rozpoczęła nowe życie w dniu dwudziestym stycznia o godzinie dziewiątej wieczorem, a „Panna z mokrą głową”, wyspana, wesoła i szczęśliwa, rozpoczęła je nazajutrz, w dniu dwudziestym pierwszym stycznia, o godzinie jedenastej rano. O tej porze odebrano jej, niemal przemocą, jej skromną sukienkę, która miała wybitne skłonności do zupełnego rozpadnięcia się, i przebrano w prześliczne, kolorowe, wyborne kiecki, zakupione wśród radości i śmiechu. Pani Opolska naraziła swoją powagę na wielki despekt<sup>103</sup>, kiedy z młodzieńczą werwą, staczając z Irenką wesołe boje, usiłowała kupić dla niej cały sklep. Ująwszy się pod ręce, szły potem słoneczną ulicą, a pani Opolska aż oczy mrużyła z radości, widząc, że każdy przechodzień patrzy na Irenkę tak, jak gdyby zobaczył przed sobą cudo — jak na ślicznego ptaka, co zleciał na śnieg zbierać okruszyny słońca.

— Babciu! — rzekła Irenka, nazywając tak panią Opolską wedle murowanej umowy — To za piękne dla mnie.

— Nie ma na świecie takiej rzeczy, która by była za piękna dla ciebie — odrzekła pani Opolska z taką serdeczną przesadą, jakby od razu chciała odrobić wszystkie zaniedbania.

— Wszyscy na mnie patrz!

— To dobrze, bo przy sposobności może ktoś spojrzy i na mnie — zaśmiała się pani Opolska.

— Oj, babciu! — szepnęła nagle Irenka.

— Co się stało?

— Nic, nic... Zaraz będzie wielka heca!

Przemiana, Przebranie,  
Strój

<sup>103</sup>despekt (daw.) — urażenie ambicji lub honoru. [przypis edytorski]

Pani Opolska spojrzała przed siebie w sam czas, aby ujrzeć wyborne widowisko. Naprzeciwko nich szedł młodzieniec, w którego nagle piorun strzelił i tak dziwnie go poraził, że chłopak otworzył oczy i usta.

— Dzień dobry panu! — zakrzyknęła Irenka, mijając ów słup soli.

— Kto to był ten niemowa, który ci nawet nie odpowiedział na przywitanie? — spytała pani Opolska.

— Ten? To sławny śpiewak, Zadora — odrzekła Irenka tak, jakby z każdego rękawa mogła wytrząsnąć dziesięciu słynnych poetów, malarzy, tenorów, a na ostatek księcia Walii. — Ale go wzięło, co? — dodała z mrugnięciem lewego oka.

Nie tylko jego „wzięło”. W „Ustroniu” patrzono na nią jak na księżniczkę, która do tej pory udawała kopciuszka. Jeden tylko oparł się zjawisku, jeden, i to ten, który... Ech! Zbyszek znowu spojrzał na nią jak na powietrze, po którym tulają się resztki kolorowej tęczy. Było to tym okrutniejsze, że pani Opolska wyjeżdżała z Irenką wieczorem tego dnia do Warszawy. A on o tym wiedział...

Już niedaleka była godzina odjazdu; Irenka siedziała w salonie i rozgarniając wzrokiem liliowy zmierzch, chciała raz jeszcze spojrzeć na góry. Pani Opolska rozmawiała z panią Milecką w pokoju obok; Irenka słyszała wyraźnie, jak jej nowa babcia mówi o czymś ze śmiechem. Nagle rozległ się wielki tupot ciężkich narciarskich butów i gwałtowne trzaskanie drzwi — nieomylny znak, że wraca Zbyszek. Zawsze wkraczał z hałasem, w tej chwili jednak awanturował się z nadprogramowym dodatkiem przeraźliwych odgłosów. Zdejmując w przedpokoju płaszcz, najwyraźniej śpiewał. Było to tak niezwykle u tego melancholika, że Irenka zaczęła nasłuchiwać, zdziwiona. Zdziwiłby się każdy, usłyszawszy, że na przykład zaczął śpiewać kamień albo lód.

Zbyszek wpadł do pokoju rozpromieniony i burzliwy.

— Irenka, ty tu? — zaśmiał się wesoło. — Taka jesteś kolorowa, że nie wiedziałem w pierwszej chwili, czy to ty sterczysz czy lampa z barwnym abażurem. Wyjeżdżacie?

— Wyjeżdżamy — rzekła ona glucho. — Czy dlatego jesteś taki rozradowany?

— Bynajmniej. Możesz sobie tu siedzieć przez cały rok... Mam inne powody do radości!

— Można wiedzieć jakie?

— Można! Wiedziałaś, dlaczego byłem smutny, możesz dowiedzieć się, dlaczego jestem wesoły. Zresztą, za godzinę wyjeżdżasz, więc wszystko pojedzie z tobą. Irenko, jestem szczęśliwy!

— Och, to dobrze, to dobrze! — szepnęła Irenka gorąco.

— A wiesz, czemu? Odkochałem się! Z Gretą Garbo koniec, amen, *finis*<sup>104</sup>. Może do mnie pisać na Berdyczów<sup>105</sup>!

Liliowy świat zakręcił się wraz z Irenką. Z serca spadł jej ogromny kamień i bez szelestu potoczył się po dywanie.

— Zbyszkule! — rzekła z radością. — Już nie będziesz cierpiał?

— Tego jeszcze nie wiem — odpowiedział z nagłą chmurą na czole. — Wprawdzie przeszło mi tamto, ale przyszło nowe. Ja nie mogę żyć bez miłości. Zakochałem się na nowo...

— W kim? — zakwiliła Irenka.

Zbyszek wydobyl z kieszeni na piersi fotografię jasnowłosej niewiasty, tak szeroko uśmiechniętej, jak gdyby prosiła publiczność o staranne policzenie jej zębów. Irenka spojrzała rysim wzrokiem.

— Widzisz? To jest Liliana! — mówił Zbyszek.

— To jest czupiradło! — krzyknęła Irenka.

Chciał ją od razu zabić wzrokiem, ale ze zdumieniem spostrzegł, że jeszcze żyła. Usiłował więc dobić ją jadowitym śmiechem jak gwałtowną trucizną. Śmiech silniej podziałał, bo Irenka cokolwiek zbłądła i rzekła głosem zataczającym się z osłabienia:

— A co będzie ze mną?

— Jak to: z tobą? — zdumiał się Zbyszek.

<sup>104</sup>*finis* (łac.) — koniec. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*pisać na Berdyczów* — Berdyczów jest miastem w obwodzie żytomierskim na Ukrainie; powiedzenie „pisać na Berdyczów” pochodzi z poematu Juliusza Słowackiego (1809–1849) pt. *Beniowski* i odnosi się do źle funkcjonującej poczty na kresach polskich, a obecnie oznacza „pisanie donikąd”. [przypis edytorski]

— Przecież ja... Przecież ja... Ja jestem zakochana.

Zbyszek najpierw otworzył usta z wielkiego zdumienia; poznawszy zaś wielką tajemnicę Irenki, zamiast chwycić się za serce, chwycił się niespodziewanie za brzuch. Ze śmiechu zarżał jak młody żreback, ze śmiechu zatoczył się na najbliższą kanapę i wił się też ze śmiechu.

— Ludzie, ratujcie mnie, bo zginę! — ryczał wesoło. — Ten pędrak jest we mnie zakochany!

— To, to tak? — zapytała Irenka swego zrozpaczonego serca.

— Oj, skonam ze śmiechu! — darł się Zbyszek.

— Owszem! — krzyknęła Irenka. — Ty skonasz, ale nie ze śmiechu!

I zanim miał czas pojąć, co się stało, skoczyła ku niemu jak ryś na oglupiałą ofiarę. W wielu bojach zaprawna, zręczna i silna, wparła się nogami w dywan, a dla równowagi — rękami w jego czuprynę. Zrozpaczona miłość, zamknawszy oczy dla tym większej odwagi, zaczęła go okładać z cudowną pomysłowością, a jemu zdawało się, że spadł na niego grad wielkości gęsich jaj. Ona pokrzykiwała czasem głucho jak Amazonka, co pragnie zabić ducha we wrogu, a melancholik, broniąc się rękami i nogami, stchórzył w małym, robaczywym sercu i zaczął drzeć się jak opętany.

— To za Gretę Garbo! A to za Lilianę! — zapowiadała Irenka każdy cios, aby nie było pomyłki, który pada za którą.

Pani Opolska i pani Milecka wpadły przerażone do pokoju i stanęły jak wryte.

— Co tu się dzieje? — krzyknęła pani Milecka.

Nikt jej nie odpowiedział, bo każdy widział, co się dzieje. W tej chwili kanapa, zadrzawszy na czterech nogach jak zmordowany koń, zwała się z wielkim trzaskiem, a zrozpaczona miłość w dalszym ciągu tłukła czarną zdradę już bez wyboru miejsca, na osłep i bez wytchnienia.

Połączonym siłom, które przybiegły na plac boju, udało się z trudem rozdzielić gladiatorów, z których jeden z roziskrzonymi oczami i z rozdętymi chrapami drżał, pomściwszy swoją krzywdę serdeczną, a drugi wyobrażał obraz nędzy i rozpacz — blady, pobity, zhańbiony do końca swoich dni. Na domiar wszystkiego pani Opolska, zrozumawszy, że tu krzywdzą Irenkę, rzuciła na najbliższe krzesło swoją wytworność i niczym lwica postąpiła ku Zbyszkowi, jakby chciała zemścić się za swoje lwiatko. Lwiatko jednak rzekło zdyszonym głosem.

— Niech mu babcia da spokój! Ja to już zrobiłam dokładnie!

— Podła! Podła! Podła! — darł się Zbyszek, uciekając do swego pokoju.

— Pogadaj z piecem! — mruknęła Irenka, której już „przeszło”.

Potem, nieco bezładnie, zaczęła wyjaśniać zdumionej i zawstydzonej pani Mileckiej, że miała ze Zbyszkim krwawe porachunki, ale nie może powiedzieć, na jaki temat, i serdecznie ją błaga, aby się nie gniewała, że z jej rodzonego syna uczyniła kwaśne jabłko.

— Przyda mu się to — rzekła pani Milecka, bardzo niezadowolona z syna.

Pani Opolska szepnęła jej do ucha:

— To miłosna awantura i pożegnanie.

Pani Milecka dała jej znak oczami, że wie o wszystkim, uśmiechnęła się z przymusem i odeszła.

— Babuniu — rzekła wtedy Irenka cicho — ja bardzo przepraszam. Ja wiem, że nie powinnam bić się z takim dryblasem, ale on mnie strasznie obraził.

Pani Opolska udawała bardzo niezadowoloną i wyglądała na niej sukienkę.

— Co ty tak zaciskasz w ręce? — zapytała w pewnej chwili.

Irenka spojrzała, sama nie wiedząc, co dzierży tak kurczowo.

— Ach! — zdumiała się. — To kosmyk jego włosów. Zabiorę je na pamiątkę.

W pokoju Zbyszka trwała długa, gorąca rozmowa, podczas której pani Milecka często podnosiła głos na wyżyny bardzo mroźne. W chwilę potem weszła tam i pani Opolska z palmą zgody i melancholik musiał wysłuchać drugiego kazania. Stanął pakt, że ten krwawy ustęp historii powszechnej zostanie zachowany w tajemnicy, aby na rycerskim honorze Zbyszka nie było plamy; wreszcie długie targi doprowadziły do tego, że obie walczące potęgi nie będą się przepraszały wzajemnie, ale pożegnają się przy rozstaniu. Koszty bitwy miała zapłacić kanapa ze złamaną lewą tylną nogą.

Przy rozstaniu Irenka z niewinną miną wyciągnęła rękę do chmurnego melancholika.

Miłość niespełniona,  
Walka, Kara

— Żegnam cię, Zbyszku — powiedziała głośno. — Było mi bardzo przyjemnie.

A cicho dodała:

— Trzymaj się ciepło, zielony płomieniu Zakopanego.

Zbyszek dotknął jej ręki, jak gdyby dotykał węża, i odrzekł głośno:

— Żegnaj, Irenko!

A potem cicho:

— Jeszcze ja cię kiedyś przyłapię!

Irenka zaśmiała się głośno, pomyślawszy, że jej zbiór włosów, wydartych ze Zbysz-  
kowej głowy, może powiększyć się bardzo łatwo.

Rzuciła się potem w objęcia pani Mileckiej, która dodała ze śmiechem na zakończenie:

— A jeżeli, droga Irenko, zechcesz jeszcze kiedy łamać meble, zrób to, ale u konku-  
rencji, w pensjonacie naprzeciwko.

Pociąg pomknął szybko w doliny, szerokie i smętne, pełne mgieł i smutnej, rozwy-  
drzonej zimy — nie takiej jak ta, co w górach toczy po niebie złotą kulę słońca.

Irenka, jadąca po raz pierwszy w życiu w wagonie sypialnym, nie mogła długo usnąć.  
Wracała lekka, wesola i szczęśliwa. Każdy obrót żelaznych kół zbliżał ją do ukochanej  
gromadki, wypatrującej oczy. „Śmiertelna” miłość przeszła jej już zupełnie, wobec czego  
Irenka doszła do przekonania, że to nie była ciężka choroba, tylko lekka „wysypka”.

„Zbyszek nie był wart niezmiernej mojej męczarni” — rzekła sobie, ziewnąwszy, i usi-  
łowała machnąć ręką, ale nie chciało się jej wyciągnąć dłoni spod okrycia. Wobec tego  
usnęła. Śniło się jej, że śpi na poduszce wypchanej nie pierzem, lecz skalpem Zbyszka.

Obudziła się dopiero przed Warszawą z wielkim krzykiem:

— Jak to? To już? Ledwie zmrużyłam oczy.

Po upływie pół godziny wchodziła do pałacyku pani Opolskiej.

Stary lokaj, przywitawszy z chłodnym szacunkiem panią hrabinę, ciekawie zaczął  
przyglądać się Irence.

— Pan mnie nie poznaje? — zaśmiała się Irenka.

— Nie, panienko... Zaraz... Zaraz...

— Przed dwoma tygodniami!

— Już wiem! Panienka szukała pani hrabiny.

— To ja jestem, ta sama! — wykrzyknęła Irenka. — Niech się pan ze mną przywita.

Wyciągnęła do niego rękę. Stary człowiek spojrzał na nią dziwnie, lecz ręki jej nie  
dotknął.

— No! Niechże mi pan poda rękę!

On obejrzał się zalekłym wzrokiem, czy pani Opolska nie patrzy, potem z rozrzew-  
niającą radością w starych pocziwych oczach ujął jej rączynę w swoje spracowane dłonie  
i tulił ją, zbliżywszy do swojej piersi.

— Niech pani Bóg zapłaci, złota panienko — szepnął i podreptał szybko w głąb domu.

Nie minęła godzina, a Irenka zwiedziła dom od piwnicy do strychu. Przywitała się  
serdecznie z resztą domowników, a smutny, wytworny pałacyk napelniła zgłębieniem i wrza-  
wą. Co chwila wystrzelał w napuszonych, ciszą jak adamaszkiem wybitych pokojach jej  
okrzyk wesołego zachwyty. Pani Opolska chodziła za nią jak matka, która cieszy się  
radością swojego dawno niewidzianego dziecka. Smutny dom wydał się jej jakiś inny.  
Wszystko w nim, dotąd senne i drzemiące w ciszy, otwierało zdumione oczy i patrzyło  
na dziwnego gościa, co niepoważnie biegał po wszystkich pokojach i pokrzykiwał rado-  
śnie. Przodkowie pani Opolskiej spojrzeli ze ścian i zdawało się, że wszyscy uśmiechnęli  
się. Największa jednak przemiana uwidoczniła się tego dnia na twarzach służby: stary  
lokaj, Piotr, pokojówka, ruchliwa jak bąk, i kucharka, nieruchawa jak omszały dąb, od-  
bywszy krótką naradę, orzekli społecznie, że pani Opolska zmieniła się jak pod wpływem  
czarów. Piotr przysiągł, że słyszał, jak pani Opolska śmiała się i nuciła sobie półgłosem.  
Było to zdarzenie tak niesłychane, że kucharka, wytrącona cokolwiek z równowagi, po-  
sypała wyborne ciastka solą, a Piotr po dziesięć razy brał ten sam przedmiot do ręki i nie  
wiedział, po co to uczynił. Od lat czterdziestu był u pani Opolskiej i od lat czterdziestu  
po raz pierwszy odważył się na bohaterstwo, bo niewołany stanął przed nią i odważył się  
na zadanie jej pytania:

— Proszę pani hrabiny, czy panienka zostanie już u nas na zawsze?

Sługa

Radość

Stał się cud. Pani Opolska, zamiast porazić go spojrzeniem, uśmiechnęła się:

— A czemu Piotr o to pyta?

— Bo nie daj Boże, aby odjechała.

— Nie odjedzie, nie odjedzie — mówiła wzruszona pani Opolska. — Tak ją Piotr polubił?

— Czy można nie polubić słońca? — odpowiedział stary sługa pytaniem na pytanie. Irenka chciała jednak wyjechać czym prędzej.

— Babuniu złota — rzekła przytuliwszy główkę do piersi pani Opolskiej. — Ja muszę czym prędzej pojechać do mamy.

— Wiem o tym, jutro pojedziemy.

— Jak to: „pojedziemy”? — zapytała Irenka, zatrzymując oddech w piersiach.

— Bo ty pojedziesz i ja pojedę.

— O, Boże! — krzyknęła dziewczyna. — Babunia jest cudna, droga, święta!

„Ładna święta...”, pomyślała pani Opolska tuląc ją z miłością.

Pani Opolska miała jeszcze kilka rzeczy do załatwienia; musiały to być sprawy bardzo ważne, bo zamysłona chodziła długo po pokoju, a potem rozmawiała przez telefon. Irenka słyszała, że prosi do telefonu jakiegoś adwokata, ale zmartwiona odłożyła słuchawkę.

— Masz tobie — rzekła. — Mój adwokat wyjechał, a ja za wszelką cenę muszę z nim mówić jeszcze dzisiaj.

— Babuniu... — szepnęła Irenka. — Jeżeli o to idzie, ja babunię wystraszę adwokata za pięć minut.

— A któż to taki?

— Największy adwokat na świecie, tylko że nie ma szczęścia. Gdybym miała wielkie sprawy, tylko jego pytałabym o radę. To pan Podkówka.

— Ach, to twój dawny nauczyciel?

— I nauczyciel, i przyjaciel, i opiekun. Strasznie go kocham, chociaż to wielki cygan. Ja babuni opowiadałam, jakie on zrobił szachrajstwo z biletem kolejowym do Zakopanego.

— Prawda! — zaśmiała się pani Opolska. — Dawaj go tutaj, tego adwokata.

Pan Podkówka, wezwany do telefonu, najpierw na długo zaniemówił, usłyszawszy głos Irenki. Kiedy zaś dowiedział się, że go wzywa pani Opolska w sprawach urzędowych, obalił stół razem z telefonem, po drodze omal nie wywrócił rodzonej matki, jak okręt na rafę wpadł na żonę i krzyknąwszy zdławionym głosem: „Pierwsza sprawa!”, biegł pędem, wdzwijając na schodach płaszczy.

— Mój syn zwariował — zapłakała matka wielkim głosem.

Żona nic nie rzekła, tylko podniosła wdzięczne spojrzenie w stronę nieba.

Jej mąż zyskał tymczasem wielkie łaski u pani Opolskiej. Rozmawiała z nim długo, w wielkiej tajemnicy, wreszcie wyraziła uznanie dla światłego jego umysłu. Po zakończeniu urzędowej części konferencji skierowała pani Opolska rozmowę na Irenkę, a wtedy poważny adwokat oszalał tego dnia po raz drugi. Z niepoliticzonej liczby słów, którymi włada mowa polska, wybrał same słodcze, same rodzinne, słowa najtkliwsze, złociste, rumiane, pełne radości, wesela, chwały i szczęścia. Pani Opolska aż oczy zmrużyła i z wielkiego ukontentowania, i dlatego też, że mowa pana Podkówki była tak promienista i pełna niezmiernych blasków. Proste, uczciwe serce tego szewskiego syna śpiewało hymn, a pani Opolska słuchała oczarowana i dziwnie tym zdumiona, że taki mizerak, co do niedawna mieszkał na dalekim przedmieściu, ma w sobie tyle radosnego zachwyty.

— Widzę — rzekła z drżeniem w głosie — że ta dziewczyna i pana opętała.

— Ona? — wołał pan Podkówka. — Ona najgorszego diabła owinęłaby dokoła palca. Proszę pani! Mój teść jest rzeźnikiem. To twardy człowiek i, jak wiadomo, zalany krwią, a kiedy wspomni Irenkę, to słysząc, jak mu w sercu krew bulgoce. A moja matka, a moja żona! Irenka to jest człowiek! Ho! Ho!

Bezmiar podziwu zamknięty był w tym okrzyku, a w spojrzeniu pana Podkówki był bezmiar miłości.

— Będzie pan jej adwokatem — rzekła pani Opolska. — Już pan wie, że Irenka będzie miała swoje sprawy, a nikt inny nie będzie ich prowadził, tylko pan.

— Ja wiedziałem, że ta dziewczyna przyniesie mi szczęście — powiedział pan Podkówka łzawym głosem. — Ona pani też przyniesie szczęście, na Boga przysięgam, że przyniesie.

— Już przyniosła... — odpowiedziała pani Opolska.

Dziwna rzecz! Głos pani hrabiny był tak samo łzawy jak głos pana Podkówki. Niczym nie różnił się. Widać, że szczęście i nieszczęście równa ze sobą wszystkich ludzi.

— Jutro wyjeżdżamy — mówiła po chwili. — Wyjeżdżamy do pani Borowskiej, a niedługo znowu zobaczy pan Irenkę. Bardzo pan jest miłym człowiekiem, panie mecenasie. Czy pan chce jeszcze coś powiedzieć?

— Tak... Ale nie śmiem...

— Niech pan mówi, bardzo proszę...

— Trochę boję się, ale pani hrabina jest taka dobra, tak bardzo dobra... Niech pani uczyni mi wielką łaskę... Niech pani pozwoli pannie Irence pójść chociażby na pół godziny do nas... Ją spotkało wielkie szczęście... Niech i moja matka zapłacz nad nią z radości, a moja żona niech ją uściska... Pani hrabino!

Pani hrabina miała łzy w oczach.

— Irenko! — zawołała przez otwarte drzwi.

Dziewczyna weszła rozpromieniona i szelmowsko mrugnęła w stronę pana Podkówki.

— Jesteś zaproszona na całe dwie godziny do pana i do jego rodziny.

— Cudo! — krzyknęła Irenka.

Pani Opolska wzięła ją na stronę i mówiła szeptem:

— Kupisz po drodze trochę kwiatów i dasz je w swoim imieniu jego matce. A ode mnie powiedz tym ludziom, że im bardzo dziękuję za to, że ciebie kochają... Pan Podkówka jest dzielny człowiekiem.

— Z mojej szkoły — zaśmiała się Irenka cicho.

— A wracaj prędko! Do widzenia, drogi panie! Kiedy wrócimy, damy panu znać przez telefon.

Dotknęła ręką dzwonnka, który wywołał na widownię uśmiechniętego Piotra.

— Niech Piotr pomoże odziać się panience — rzekła.

— Także coś! — zawołała Irenka. — W naszym miasteczku jest dwóch paralityków, ale ja mam jeszcze zdrowe ręce.

Uściskała panią Opolską i wybiegła na ulicę, a pan Podkówka za nią. Ujęła go pod rękę.

— Miał pan kiedy taką babkę? Klasa, nie babka!

I czym prędzej zaczęła mu opowiadać o pobycie w Zakopanem, a kiedy doszła do tej chwili, kiedy zdjęła skalp ze Zbyszka, zaśmiała się tak głośno, że wszyscy przechodnie obejrzel się niespokojnie. Ujrawszy jednak, że w chmurny, zasępiony dzień idzie dziewczyna tak roześmiana jak słońce, uśmiechnęli się także.

## XIV

Nikt nie wie, o czym długo ze sobą rozmawiały panie: Opolska i Borowska. Zamknęły się w pokoju pani Borowskiej w domu doktora, a kiedy stamtąd wyszły, obie miały czerwone oczy, a na ustach uśmiech.

Triumf Irenki był wspaniały: zjednoczyła wszystkie serca. Dom doktora był pełen gwaru, śmiechów, gadaniny, płaczów, opowiadań, wzruszeń i miłości. Ciotka Amelia promieniała, jakby odmłodzona, mały Jaś wylazł po drabinie zachwyceń aż do siódmego nieba, obdarowany hojnie książkami i zabawkami, którymi raduje się wiek cieliący. Jedyne doktor wałęsał się, niemalże przerażony, i była taka chwila, że chciał uciec z własnego domu. Uradował się nieprzytomnie wszystkim tym, co się stało; po swojemu, dziwnym językiem podziękował Panu Bogu, że jego ukochana Irenka, ślicznie odziana, śmieje się w głos, niewypowiedzianie szczęśliwa, i że pani Borowska mogła uśmiechnąć się, spokojna. Stary samotnik i przezacny oryginał przestraszył się zgiełku i towarzyskiego życia. Z trwożnym lękiem patrzył na panią Opolską, przekonawszy się zaś, że nie może jej zastrzelić, jak to groźnie zapowiadał, i że musi jej być wdzięczny za tych, których kochał, uznał, że jako człowiek niezwyklej kultury musi przez czas pobytu osoby tak wytwornej, jak pani Opolska, stać się równie wytworny. I to przerażało go najbardziej. Uciec nie ma dokąd; zresztą nie wypada, aby gospodarz uciekał, a gości zostawiał w rozterce.

— Kobieta do rzeczy, chociaż hrabina — rzekł sobie głośno — a Irenka ma zbrodniczą duszę.

Irenka bowiem, przedstawiając go pani Opolskiej, mówiła wzruszona:

— A to jest pan doktor Lipień, który własnym sercem nakarmiłby głodnego... Ostatnią oddałby koszulę... Taki dobry, kochany...

I w bek. A on spłonął się jak róża najbardziej purpurowa. Stał jak żak, niewypowiedzianie zawstydzony i nie umiał wydusić z siebie ani jednego słowa. Pani Opolska ścisnęła jego rękę i powtarzała szeptem: „Niech pana Bóg wynagrodzi... Niech pana Bóg wynagrodzi”. Chciał zapaść się pod ziemię z tego powodu, że on, filozof, któremu służyło siedemdziesięciu siedmiu szatanów, porażony łzami tej zwariowanej Irenki, stał jak kolek z dębowego drzewa. Musiał przyznać, że serce zaśpiewało w nim z wielkiej, najszczęśliwszej radości — ale co tam serce, kiedy nogi, chude, patykowate, głupie nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Nie mógł postąpić kroku, tylko stał w purpurze rumieńca, oszołomiony, nieśmiały, pełen rozpacz. Postanowił więc naprawić złe wrażenie. Stanął przed lustrem w swoim gabinecie, splunął na nie i z groźnym mruknięciem: „Przekłęte muchy!”, wytarł je chustką do nosa. Przyjrzał się sobie uważnie i z litościwym uśmiechem, nakrapianym boleścią, westchnął:

— Tej gębie nic już nie pomoże. Stary but jest równie przystojny...

Zakrzętnął się więc, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, aby przynajmniej świetnym strojem wzmoczyć wytworność swojej figury. Odnalazł krawat, czerwony i płomienisty, i przewiązał go tak przemyślnie przez kołnierzyk, bardzo rogaty, że tylko Aleksander Macedoński<sup>106</sup> mógłby rozwinąć węzeł cięciem miecza. W krawat wbił złotą szpilkę, kształtu końskiej podkowy, a tak wspanialej, że można nią było okuć małego huculskiego konika<sup>107</sup>. Koszulę wyszukał niebieską, w misterne białe groszki, po czym ubranie wdział uroczyste, w którym pragnął być pochowany. Mankiety przypiął do koszuli białe i od święta płóciennie i ozdobił je spinkami niebywalej wspaniałości i ogromu. Były to talerze ze złotej blachy, zaopatrzone w kółka takie, jakie na potężnych przybijają brachmach. Nieskończenie wytwornego stroju dopełniały kamasze<sup>108</sup>, jaskrawożółte jak ludzka zawiść.

Tak strojny, oblekł twarz w powagę i poszedł pełnić rolę gospodarza przy bogatej wieczerzy, obmyślanej starannie na wzór dworskich uczt. Wielkie święto zbratania nie mogło się obyć bez wielkiej uczty, a hrabina nie mogła — wedle roztropnego pomysłu doktora — obejść się bez lokaja. W tym celu wypożyczył doktor chłopca do posług z zaprzyjaźnionej knajpy i długo go pouczał, że palca nie należy wsadzać do talerza z zupą nie dlatego, że zupa może być gorąca, lecz że nie jest to w zwyczaju w wielkim świecie. Znakomity lokaj w czarnym ubleczeniu i w białych rękawiczkach, które jeden staroza-

konny<sup>109</sup> całym pokoleniom wypożyczał do ślubu, obiecał posłuszeństwo i rozważę.

Irenka, ujrzawszy doktora, aż zawyła z radości:

— Boże, jaki wujaszek jest śliczny!

— Dziewczyno — rzekł doktor krwawym głosem — jeśli mnie będziesz hańbić publicznie, zastrzelę cię, siebie i wszystkich.

— Irenka mówi prawdę — szepnęła zachwyconym szeptem ciocia Amelia.

W tej chwili zły wiatr powiał przez jej serce.

— Czy pan doktor wystroił się tak dla pani Opolskiej? — zapytała gorzko.

— A panna Amelia myślała może, że do trumny?

— Niech pan odpuka, na Boga, niech pan doktor odpuka!

Na szczęście weszła pani Opolska pod rękę z panią Borowską.

„Jeżeli”, myślał doktor, „hrabina krzyknie przeraźliwie i ucieknie, podpalę dom i skończę w ogień”.

Pani Opolska spojrzała jednak na niego wesołym wzrokiem i nieznacznie mrugnęła w stronę pani Borowskiej.

„Będę żył na hańbę świata!” — pomyślał doktor wesoło.

<sup>106</sup>Aleksander III Macedoński a. Aleksander Wielki (356–323 p.n.e.) — król Macedonii z dynastii Argeadów w latach 336–323 p.n.e. Podczas podboju Anatolii, po przybyciu do miasta Gordion, Aleksander powinien był rozwiązać legendarny węzeł (by zgodnie z przepowiednią zostać panem całej Azji); jednak król po prostu przeciął go mieczem. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>koń huculski — rasa konia domowego, pochodząca od tarpana. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>kamasz (daw.) — sznurowany but z cholewką. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>starozaconny — wyznawca judaizmu, Żyd (w znaczeniu religijnym). [przypis edytorski]

Wpadł w przedni humor i stał się przedziwnie rozmowny. Świetny wytwórniś usiłował i słowom nadać polor i złocistą barwę. Widząc, że pani Opolska je niewiele, mówił pięknie:

— Niech pani machnie tego śledzia. Zaczyna to jest ryba i ma smak niebywały, a że ją czasem czuć na dwie mile, to nie jej wina, lecz przede wszystkim cebuli.

— Nie mogę, panie doktorze, nie mogę! — śmiała się pani Opolska. — Z moim żołądkiem nie jest zbyt dobrze.

— Pewnie jakiś konował wmówił w panią chorobę. Niech się pani strzeże ognia, zarazy i doktorów.

— A jak by pan doktor mnie leczył? Pan doktor przepisuje podobno cudowne zabiegi i trzeba się żegnać, modlić czy coś takiego.

— Poznaję jaszczurczy język tej oto dziewczyny. Owszem! Mógłbym panią wyleczyć. Niech pani weźmie codziennie o wschodzie słońca kawałek ananasa, dwie ostrygi i smażone fiołki. Proszę to razem pomieszać, dolać odrobinę esencji pachnącej, używanej do skrapiania włosów, trochę cynamonu i perskiego proszku<sup>110</sup>.

— I wszystko to zjeść — śmiała się pani Opolska.

— Zaraz, zaraz... Potem proszę dodać do tego laurowych kropli, proszków na bóle głowy, wszystkich pigulek, które pani ma w domu, zwinąć razem i kazać wrzucić do zlewu, a uczyniwszy to, przeżegnać się nabożnie, głośno krzyknąć i zjeść pieczeń wieprzową z kapustą i kartoflami. Jeśli pani potem nie wyzdrowieje, to za trzy dni będzie pogrzeb. Myślę jednak, że pani wyzdrowieje.

Pani Opolska śmiała się w głos. Było jej niewypowiedzianie dobrze. Była szczęśliwa dlatego przede wszystkim, że wszyscy patrzyli na nią z miłością. Śmierdział śledź, jedynym napojem była woda, mięso można było rąbać katowskim toporem, a jej to nie drażniło ani nawet nie zwróciła uwagi na tę gościnną biedotę. Przed niewielu dniami byłaby dostała mdłości i uciekłaby przerażona na widok lokaja, który miał minę taką, jakby zerwał się z szubienicy. Teraz nie byłaby stąd odeszła za żadne skarby, bo tu obok niej siedzi słodka, wpatrzona w nią pani Borowska, siedzi Irenka, dziecko najukochańsze, jest Jaś, smyk wesoły i ładny, i ta ciotka Amelia, dobra, cicha, uśmiechnięta jak kwiat jesieni. A ten doktor rozrzewnia ją, serdecznie ją rozrzewnia. Ma wrażenie, że przez czarne, złe morze dopłynęła do jakiejś malutkiej wyspy szczęśliwości, gdzie jest pogoda wieczysta, a ludzie tacy jak dzieci. Śmieją się, cieszą i radują, a przecież los bił w nich niemiłosiernie, a tej dobrej pani Borowskiej już czasem brakło łez. Pani Opolska teraz czuła, że — jak ten mądry lekarz — pragnie podzielić się ostatnią koszulą. Jakimś wielkim szczęściem wywdzięczyć się im za to szczęście, że na dnie serca odnalazła uśmiech, spokojny, łagodny i taki cudownie dobrotliwy jak uśmiech jesiennego dnia. Nie mogła zataić swoich myśli i nagle, kiedy cisza powiała nad stołem, powiedziała donośnie:

— O, jacy wy jesteście dobrzy, jacy dobrzy!

Doktor podniósł w górę palec.

— Pani myli się łaskawie — rzekł ponuro. — Może być, że są tu między nami ludzie dobrzy, ale są i zbrodniarze.

— Och, doktorze! — uśmiechnęła się pani Opolska. — Którzy to?

— Ja jestem jeden, człowiek niegodziwy, śmieszny i cokolwiek tknięty na rozumie, a ta oto Irenka to drugi zbrodniarz. Byłem spokojny, a przez nią przypominam furiata; nikogo nie kochałem, a teraz na tym punkcie jestem pomyłony i kocham nawet ją; robiłem w domu, co mi się podobało, a teraz muszę wycierać obuwie przed drzwiami i golić się codziennie. Ona ze wszystkimi tak robi... Zobacz pani, że nie minie rok, a będzie panią kręcić jak kucharz gęsią na rożnie... To jest... Przepraszam... Nie tak chciałem powiedzieć.

— Babuniu! — krzyknęła Irenka. — Wujaszek tak właśnie chciał powiedzieć, a teraz to się wykręca. On tak zawsze!

— Oto widzi pani żmiję, którą wykarmiłem własną piersią. Tfu, do licha! Znowu jakoś nie tak... Zresztą wszystko jedno.

— Ja wujaszka jeszcze ożenię — rzekła Irenka.

Doktor skrzywił się tak, jakby napił się octu z musztardą.

<sup>110</sup>*perski proszek* — organiczny związek chemiczny z grupy steroidów. [przypis edytorski]

— Swatano mnie raz — mówił głosem używanym na pogrzebach — z nadobną panną. Miała ona zęza, garb i jedną nogę krótszą. Żebrak spod kościoła zrobiłby z tymi ozdobami karierę. Niezbadane jest jednak serce kobiety! Oświadczyła, że jestem dla niej za brzydki, i stąd pochodzi moja melancholia.

— Pan doktor ma piękną duszę! — pocieszała go szmerem głosu ciocia Amelia.

— Duszę, powiada pani? Szkoda, że nie mogę dać kazać się przenieć, bo wtedy to, co jest na wierzchu, byłoby ukryte, a na jaw wyszłaby promienista piękność.

Pani Opolska poznała w lot tę duszę prostą i uczciwą. Rozmawiała z doktorem z przyjemnością, a czasem przyciszonymi głosami radzili nad przyszłością Irenki i całej rodziny Borowskich. Wtedy doktor, jak ojciec najlepszy, rozprawiał o tej dziewczynie, poza którą świata nie widział. Na jego stare, w małym miasteczku zaśniedziałe lata padł promień z jej dziecięcych oczów; drgnął stary doktor i spojrzał na życie jak na błękit. Ucieszyła się jego samotność, bo miał do kogo przemówić, ucieszyło się jego pocziwe serce, bo miał o kogo zatroskać się. W tej chwili nie dawał tego poznać po sobie, lecz drżał na myśl, że niedługo zniknie z jego życia ta jasna, radosna młodość, bo Irenkę wywiozą daleko, daleko.

Dzień ten nadchodził nieuchronnie. Pani Opolska zapowiedziała wyjazd wspólny, jeszcze tylko na coś czekała. Codziennie otrzymywała depesze lub pośpieszne listy: to mecenas Podkówka pracował sumiennie, wykonując jakieś tajemne jej zlecenia. Nigdy jeszcze poczta w miasteczku nie wiodła tak niespokojnego żywota jak za owych dni. Do-  
tąd zdarzało się, że raz jeden w miesiącu wystukiwał telegrafista radosną wieść: „Są gęsi na sprzedaż. Nu?”. A potem przyjmował odpowiedź: „Ile za te kościotrupy?”. Teraz czasem dwa lub trzy razy w ciągu dnia spadały nań zdyszane depesze pana Podkówki. Aż razu jednego zjawił się telegram bardzo obszerny. Pani Opolska uśmiechnęła się. Wieczorem zaś, kiedy zebrali się wszyscy przy stole, spojrzała po twarzach wokół. Zaczęła mówić na pozór bardzo spokojnie, lecz głos jej drżał ze wzruszenia:

— Mam dziwną wiadomość, moi drodzy. Biały dom, w którym mieszkaliście tak długo, został znowu kupiony.

Oni wszyscy umilkli, jakby ujrzeli białe, smutne widmo czegoś, co bardzo, bardzo kochali. Zdziwieni byli, że pani Opolska o nim wspomina.

— Któż go kupił? — zapytał doktor, chcąc tymi słowami rozprężyć smutną ciszę, co cichym lotem zleciała na nich jak miękopióra sowa.

— Irenka! — odpowiedziała ze wzruszeniem pani Opolska.

„Hrabina musiała napić się spirytusu z mojej apteczki”, pomyślał doktor, sam prze-  
rażony swoim posądzeniem. Głośno zaś dodał:

— Pani raczy żartować...

Wszyscy byli tego zdania i uśmiechnęli się błado. Ona zaś mówiła głosem drgającym:

— Może być, że gdybym była w odpowiednim czasie zjawiła się wśród was, miesz-  
kalibyście tam do dzisiaj... Nie zjawiłam się i stało się nieszczęście... Przebaczone mi...

— Babuniu! — wykrzyknęła Irenka boleśnie. — Po co o tym mówisz?

— Bo mi to sprawia ulgę... I ty mi przebac, moje dziecko... Ty chciałaś, biedactwo  
drogie, ratować ten dom... Ja wszystko wiem... Zaraz, zaraz... Wszystko wam powiem...  
Otóż pan Podkówka doniósł mi dzisiaj, że z polecenia jednej pani odkupiono ten dom  
dla tej, która go tak kochała... Dla Irenki...

— Rozumiem! — ogłosił doktor.

— Dom będzie wolny na wiosnę... Na wiosnę wróćcie do swojego domu... A jeżeli  
Irenka mnie zaprosi, na wiosnę zjadę tam i ja... Chlebem i solą powitam ją we drzwiach...  
I doktor przyjedzie, i... Wszyscy... I wszyscy... Czy tak będzie dobrze, córuchno?

Nikt nawet słowa jednego nie wypowiedział. Szerokimi oczyma patrzono na panią  
Opolską, która szczęśliwa i rozjaśniona objęła ich spojrzeniem jak ramionami. Irenka  
podniosła się powoli: była błada i ręce jej drżały. Chwiejąc się, podeszła do pani Opolskiej  
i z nagłym szlochem rzuciła się w jej ramiona.

Doktor patrzył potem z rozrzwinięciem, jak cały świat zamienił się w radość wzru-  
szoną do głębi serca; wszyscy ściskali wszystkich, a zjednoczonymi siłami czyniono to  
z panią Opolską, która wykrzykiwała:

— Czego ode mnie chcesz!... Cóż tak nadzwyczajnego!... Udusisz mnie, Irenko...

Doktor podeszedł do niej ostatni i podniósłszy palec w górę, wygłosił uroczystie:

Dom

— Morowa z pani kobita!

Zwróciwszy się zaś ku Irence dodał:

— Widziałem grube dziedziczki i cienkie dziedziczki. Widziałem takie, co miały czworo dzieci, i takie, co miały ośmioro dzieci. Widziałem rozmaite, ale takiej dziedziczki, co ma mleko pod nosem, jako żywo nie widziałem.

Irenka śmiała się do niego przez łzy.

Kiedy wielki rwetes tego dnia opadł wreszcie dopiero następnego dnia wieczorem (z przerwą nocną) i ukoił się jak ciepły wiatr, co przyleciał z końca świata, gdzie jest wieczyste lato, pani Opolska dała znak do wyjazdu. Wszyscy mieli na resztę zimy pojechać do Warszawy, aby tam niecierpliwie czekać owej wiosny najszcześniejszej. Doktor miał pozostać na gruzach i strzec tych mizernych pamiątek, które kurczyły się z zimna w dwóch izdebkach mieszkania pani Borowskiej. I one wrócą z wiosną tam, skąd je obsypane łzami jak rosą wywieziono na wygnanie. Doktor przysiągł Irence, że ich będzie pilnował jak żrenicy lewego oka.

— Co nocy będę chodził tam z dubeltówką — przyrzekał groźnie — i biada temu, kto chciałby oderwać nogę od twojego stołu. Przede wszystkim zaś będę miał oko na burmistrza.

Doktor dziwnie nadrabiał miną. Coraz częściej gadał sam do siebie i coraz częściej zdarzało mu się, że na swojej drodze spotykał ściany domów lub latarnie. W wielkim roztargnieniu wołał: „Przepraszam” i szedł dalej, zadumany. Żywił wielki szacunek dla pani Opolskiej, równocześnie jednak i wielki żal. Jej dziełem jest ta cała rewolucja i to całe trzęsienie ziemi. Ale trudno: stało się, co najlepszego stać się mogło. Niech jej Pan Bóg da zdrowie... Wyratuje tę gromadkę z rozbicia i z potopu, bo co byłoby się z nimi stało? Doktorem wstrząsnął dreszcz na myśl, że musieliby zmarnieć na nic, chociażby on najdziwniejszych dokazywał sztuk. Coś tam kiedyś bredził w rozmowie z Irenką, że ma po prababce pończochę pełną potężnych skarbów. Pończocha może by się znalazła, tylko z tymi skarbami to było łgarstwo. A teraz Irenka zamieszka w białym domu. To szczęście, to wielkie szczęście, bo to przecież niedaleko. Będzie ją widział często albo też nie będzie jej widział. Zjedzie na wiosnę, ale potem będzie musiała pojechać do miasta, do szkoły, a majątkiem będzie gospodarzył jakiś zawodowy rolnik. Była już wczoraj o tym mowa. Nie będzie Irenki.

— Dobry wieczór, panie doktorze! — zawołał przechodzień.

— Daj mi pan spokój, do stu diabłów! — wrzasnął doktor. — Ja mam ciężkie zmartwienie — mruczał, oddalając się pośpiesznie — a ten do mnie z jakimiś interesami.

Ciężkie zmartwienie doktora zaczęło się naprawdę następnego dnia dopiero. Mieli wyjechać o zmierzchu, a od świtu rozpoczął się rwetes, pakowanie, przypominanie, nawoływania. Zdawało mu się, że w jego domu wybuchł pożar, podczas którego rozlegał się śmiech. Jedna ciocia Amelia nie zaśmiała się ani razu i tak mogło zdawać się, że ona jedna wyjeżdża niechętnie. Gdyby w tym domu naprawdę był pożar, ona byłaby go straszliwie rozděła swoimi westchnieniami. Ile razy spojrzała na doktora, wdychała smutno. Gdyby ktoś był jedno wyszeptał słowo, aby pozostała, zaśpiewałaby z radości. Nikt nie wiedział dlaczego. Jej serce wiedziało tylko. Chciało się jej płakać, ale udawała, że uśmiecha się, kiedy doktor dawał jej roztropne rady:

— A w Warszawie niech panna Amelia nikomu nie dowierza. Zjawi się tam pewnie jeden z drugim fatygant<sup>111</sup> i powie: „Kocham cię, luba Amelio!”. Wspomni pani moje słowa! A pani niech nawet okiem nie mrugnie i serca nikomu nie oddaje, bo im tam nie o serce idzie, ale o posag.

— Posagu nie mam, a serca nie oddam nikomu — rzekła ona cicho.

— A czemuż to, szlachetna ciociu Amelio?

— Bo moje serce jest pęknięte! — powiedziała ona z trudem i łatwo uciekła.

— Niech i ciebie, biedactwo, Bóg pocieszy — mruczał doktor serdecznie.

Ale i jemu zdawało się, że ma pęknięte serce, kiedy zaczęli go żegnać. Nawet pani Opolska uściskała go serdecznie i tklawie. Wszystko zniósł mężnie.

Aż wreszcie podeszła ku niemu ona — Irenka.

Rozstanie

<sup>111</sup>fatygant (daw.) — mężczyzna zabiegający o względy kobiety. [przypis edytorski]

Doktor chciał przemówić wesoło, ale coś go chwyciło za gardło. W piersiach zrobiło mu się zimno jak w piwnicy. Patrzyli sobie w oczy takim spojrzeniem, w którym prócz niezmierniej miłości nie było nic innego. Irenka też nic nie mówiła, ale on słyszał najwyraźniej słowa drżące i rozplakane.

— Niech ci Bóg zapłaci za wszystko, ty najlepszy na świecie... Otarłeś nasze łzy ręką miękką i miłosierną... Oddałeś nam serce, jasne, złote serce... Pocieszałeś nas, kiedy byliśmy smutni... Kocham cię jak ojca, ty dobry, ty złoty, ty samotny człowieku... Będę modliła się za ciebie, a póki mego życia, będę pamiętać o tobie... A gdybyś kiedy potrzebował pociechy, pomyśl tylko o mnie, o swojej ukochanej Irence, a ja przybiegnę... Żegnaj, żegnaj, wujaszku...

A nagle powiedziała szeptem:

— Wujaszku! Wujaszku! Co to! Taki stary i płacze...

On zaś rzekł nieswoim głosem:

— Ja się śmieję... Ale czemu ty beczysz?

Objął jej głowę i całował wiele, wiele razy.

— Dziecko moje — powtarzał — dziecko moje jedyne... Niech ci Bóg...

Więcej już nie mógł powiedzieć, bo chociaż szukał z ogromnym trudem, nie mógł znaleźć słów.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/makuszyński-panna-z-mokra-glowa/>

Tekst opracowany na podstawie: Kornel Makuszyński, Panna z mokrą głową, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1990.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury ([wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl)). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Wolne Lektury.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Alicja Pająk, Elżbieta Sekuła, Patrycja Leonarczyk.

ISBN 978-83-288-7862-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).